

Trucicielka

Wszystko było jak zwykle. Wstałam rano, zmyłam twarz, wzięłam prysznic, ubrałam się, zjadłam śniadanie i poszłam do szkoły. W szkole było wszystko normalnie. Lekcje, przerwy, rozmowy z przyjaciółkami. Wszystko się odbywało jak zwykle. W domu też było normalnie. Mama i tata nie zauważyli niczego. Wszystko było jak zwykle. Wstałam rano, zmyłam twarz, wzięłam prysznic, ubrałam się, zjadłam śniadanie i poszłam do szkoły. W szkole było wszystko normalnie. Lekcje, przerwy, rozmowy z przyjaciółkami. Wszystko się odbywało jak zwykle. W domu też było normalnie. Mama i tata nie zauważyli niczego. Wszystko było jak zwykle.

Wszystko było jak zwykle. Wstałam rano, zmyłam twarz, wzięłam prysznic, ubrałam się, zjadłam śniadanie i poszłam do szkoły. W szkole było wszystko normalnie. Lekcje, przerwy, rozmowy z przyjaciółkami. Wszystko się odbywało jak zwykle. W domu też było normalnie. Mama i tata nie zauważyli niczego. Wszystko było jak zwykle. Wstałam rano, zmyłam twarz, wzięłam prysznic, ubrałam się, zjadłam śniadanie i poszłam do szkoły. W szkole było wszystko normalnie. Lekcje, przerwy, rozmowy z przyjaciółkami. Wszystko się odbywało jak zwykle. W domu też było normalnie. Mama i tata nie zauważyli niczego. Wszystko było jak zwykle.

Wszystko było jak zwykle. Wstałam rano, zmyłam twarz, wzięłam prysznic, ubrałam się, zjadłam śniadanie i poszłam do szkoły. W szkole było wszystko normalnie. Lekcje, przerwy, rozmowy z przyjaciółkami. Wszystko się odbywało jak zwykle. W domu też było normalnie. Mama i tata nie zauważyli niczego. Wszystko było jak zwykle. Wstałam rano, zmyłam twarz, wzięłam prysznic, ubrałam się, zjadłam śniadanie i poszłam do szkoły. W szkole było wszystko normalnie. Lekcje, przerwy, rozmowy z przyjaciółkami. Wszystko się odbywało jak zwykle. W domu też było normalnie. Mama i tata nie zauważyli niczego. Wszystko było jak zwykle.



- Uwaga, idzie trucicielka!

Grupa dzieci nagle znieruchomiła, jak zamykająca się dłoń. Po chwili pognały schronić się w głębi wiaty nad ujściem wodnym, pod kamienną ławką, w chłodnym kącie, z którego wszystko widziały, lecz ich nie było widać. Tam, żeby się jeszcze bardziej przestraszyć, dzieciaki wstrzymały oddech.

W promieniach południowego słońca Marie Maurestier przeszła przez ulicę. Była to wysoka siedemdziesięcioletnia kobieta, powolna, pomarszczona, zadbana, sztywna i często rozdrażniona. W nakrochmalonym czarnym kostiumie, ściskającym ją na wysokości żołądka, posuwała się naprzód drobnymi krokami, albo z obawy przed upałem, albo z powodu zapalenia stawów, które powodowało przykurcze i spowalniało jej chód. Kołysała się z niezadarnym majestatem, czym robiła wrażenie na otoczeniu.

Dzieci zaczęły szeptać:

- Myślisz, że nas widziała?

- Chodźcie, krzyknijemy, to się przestraszy!
- Nie bądź głupi. Ona się nie przejmie niczym ani nikim. To raczej ty powinieneś panikować.
- Ja się nie boję.
- Jeżeli zrobisz coś, co jej się nie spodoba, poderżnie ci gardło! Jak tym wszystkim facetom.
- Nie boję się, mówię ci...
- A jej mężowie byli więksi i silniejsi od ciebie...
- Pfff... Przecież się nie boję!

Były ostrożne i pozwoliły Marie Maurestier się oddalić, unikając wszelkich wyzwisk czy innych złośliwych żartów.

Dwadzieścia lat wcześniej po dwóch procesach sąd umorzył sprawę i zwolnił Marie Maurestier z więzienia, gdzie przebywała w areszcie. Większość mieszkańców Saint-Sorlin uważała, że Marie Maurestier jest niewinna, poza dziećmi, które wołały mijać na ulicach miasteczka morderczynię, bo ich życie stawało się od tego ekscytujące i niezwykłe. Dorośli uważali, że Marie Maurestier jest niewinna z nie bardziej racjonalnego powodu: po prostu odrzucali myśl, że mogą codziennie mijać przestępczynię na wolności, pozdrawiać ją, chodzić tymi samymi co ona ulicami, do tego samego kościoła i tych samych sklepów; dla spokoju ducha potrzebowali, aby była niewinna tak jak oni.

Nikt jej tu tak naprawdę nie lubił, ponieważ ta dama, dumna, powściągliwa, zdolna do ciętych

ripost, nie wzbudzała ani sympatii, ani przyjaźni; wszyscy za to cieszyli się z popularności, jaką zapewniała okolicy. „Trucicielka z Saint-Sorlin”, „Diablica z Bugey”, „Messalina z Saint-Sorlin-en-Bugey” – przez kilka sezonów te krzykliwe tytuły królowały na pierwszych stronach codziennych gazet, od nich zaczynały się informacje radiowe i telewizyjne. Cały ten medialny szum przyciągnął ciekawskich; nawet jeżeli zainteresowanie trucicielką uważano za chorobliwe, nazwa Saint-Sorlin znalazła się na pierwszym planie, a nagle rozgłos miasteczka skłaniał kierowców, aby zjechać z autostrady i wpaść tu na kawę, przekąsić coś w miejscowej gospodzie, kupić chleb w piekarni czy przejrzeć prasę, bo być może dojrzą gdzieś Marie Maurestier. Wszyscy oni dziwili się, że takie ładne, spokojne miasteczko, usiane ujęciami wody źródlanej, którego kamienne budowle pokrywały się w pogodne dni milionami kwiatów róż, hodowlanych lub dzikich, że taka niepozorna miejscowość nad Rodanem pełnym pstrągów i szczupaków, mogła dać schronienie tak czarnej duszy. Cóż za przewrotna reklama! Gdyby w tym miasteczku z tysiącem dusz był ośrodek informacji turystycznej, jego pracownicy nie wymyśliliby nic lepszego niż Marie Maurestier, aby je wypromować; zresztą czyż pewnego dnia mer, zachwycony tym napływem turystów,

nie zadeklarował w porywie entuzjazmu, że jest jej „fanem numer jeden”? Nie trzeba dodawać, że pani Maurestier ostudziła jego zapal lodowatym wzrokiem, wzmocnionym wrogim milczeniem.

Marie Maurestier, z wiklinowym koszykiem w ręku, przeszła przed gospodą, w ogóle nie zerkając do środka, ponieważ wiedziała, co się dzieje za zielonkawym szkłem okien: przykleiwszy nosy do szyb, klienci obserwowali ją uważnie.

- To morderczyni!

- Wygląda, jakby wszystko miała gdzieś...

- Ale snobka!

- I pomyśleć, że przez to coś zginęli ludzie!

- Została oczyszczona z zarzutów...

- Oczyszczonym można być tylko wtedy, gdy ma się brudne ręce, mój drogi! Właściciel restauracji, od którego przed chwilą próbowałem coś wyciągnąć, powiedział mi, że nie ma dymu bez ognia...

Chociaż mieszkańcy jej odpuszczali, nie rozpraszali podejrzeń turystów, ponieważ pozbywanie ich tej atrakcji i zniechęcanie do wizyty w Saint-Sorlin nie wchodziły w grę. Nie dając się prosić, dyskretnie wskazywali podróżnym, któredy chadza Marie Maurestier, jaki ma rozkład dnia, zwyczajnie, gdzie znajduje się jej dom na wzniesieniu... A gdy ich pytano, czy uważają ją za winną, odpowiadali ostrożnie: „Kto wie?”.

Zresztą nie tylko oni dbali o zachowanie tajemnicy: o Marie Maurestier regularnie przypominały w swoich programach stacje telewizyjne, podkreślając dwuznaczności i strefy cienia w jej życiu; chociaż dziennikarze musieli informować o decyzji wymiaru sprawiedliwości – w przeciwnym razie adwokat Marie Maurestier zmuszał ich do płacenia ciężkich odszkodowań – sugerowali, że sprawę umorzono raczej w wyniku „braku konkretnych dowodów” niż wykazania niewinności.

Dziesięć metrów dalej, przed szyldem tapicera, Marie Maurestier zatrzymała się i sprawdziła, czy w środku jest jej najgorszy wróg. Ha! – był. Raymond Poussin, stojąc tyłem do szyby, z próbkami materiałów w rękach, perorował w najlepsze, zwracając się do pary, która powierzyła mu do naprawy fotel.

„Ten głąb jest prostacki jak pakuły, którymi wypycha oparcia, i brzydki jak to włosie, którego używa” – pomyślała. Wbiła w niego ciężkie spojrzenie, kierując całą swoją nienawiść w jego kark, choć nie słyszała jego przemowy.

– Maurestier, proszę państwa? To największa zbrodniarka na wolności, jaka chodzi po francuskiej ziemi. Trzy razy wyszła za bogatszych i starszych od siebie mężczyzn. Wszyscy trzej zmarli kilka lat po ślubie. Pech, prawda? I za każdym

razem – ona dziedziczy! No tak, po co zmieniać dobre nawyki? To przy trzecim, Georges’u Jardin, moim koledze, podejrzenia jego pięciorga dzieci rozpętały śledztwo: ich ojciec cieszył się świetnym zdrowiem, a gdy tylko ożenił się z tym potworem, zaczął gasnąć, położył się, a dwa tygodnie przed śmiercią wydziedziczył je na rzecz obcej kobiety! Tego było już za wiele! Policja odkopała ciała poprzednich mężów, w których specjaliści wykryli podejrzone ślady arszeniku. Wsadzili ją do więzienia, czekając na proces, ale za późno – i dla mężów, i dla pieniędzy. A co wesoła wdówka zrobiła z odziedziczoną fortuną? Wydała na kochanka, to był jakiś Rudy czy Johnny albo Eddy, miał jakieś takie imię, niby amerykańskie. A, ten to z kolei był młody, nie jakieś próchno, jak wcześniejsi, tylko przystojniak, miłośnik surfingu z Biarritz, który całą kasę przepuścił w kasynie, strwonił na ciuchy i samochody. Z faceta był niezły żigolak, taki tuman, rozumu nie miał za grosz. No, trudno mieć o to do niego pretensje, on przynajmniej zabrał jej to, co ściągnęła od innych. Mówi pan, że jest sprawiedliwość? Ano nie! Jego też zgładziła, playboya. Nie dla forsy, ale dlatego, że ją rzucił. Nikt go już nigdy nie widział. Ta Maurestier przysięga, że uciekł za granicę. Moim zdaniem jego trup gnije na dnie morza z kamieniem u nogi. Jedna tylko osoba miała

wiedzieć o jej zbrodniach, jej siostra. Blanche. Ładna dziewczyna, trochę niedorozwinięta; starsza siostra, ta Marie Maurestier, od zawsze się nią opiekowała. W sumie nawet taka szmata może żywić szczere uczucia; są kwiaty, które rosną na łajnie. Tak, tylko że jej siostra też zginęła! W samym środku śledztwa! Dobrze, zgoda, tej śmierci Maurestier nie może być winna, bo gdy jej siostra zginęła, siedziała w areszcie, a to w dodatku była kraksa samolotu, w której stu trzydziestu dwóch pasażerów w jednej sekundzie zostało startych na proszek. Doskonałe alibi... Ale mimo wszystko jakie miała szczęście! Jakby nad zbrodniarzami czuwał jakiś bóg! Bo od momentu, gdy zginęła jej głupia siostra, która plątała się w zeznaniach na każdym przesłuchaniu, raz jako świadek oskarżenia, raz obrony, Maurestier i jej adwokat poczuli się spokojniejsi, poprawili się, zaczęli opowiadać wszystko w taki sposób, żeby uniewinnić diabolicę.

Marie Maurestier, stojąc na ulicy, odgadła z beładnych ruchów Raymonda Poussina, który stawał się coraz bardziej czerwony, że mówi o niej. Klienci, zafascynowani całą sprawą, nie zauważyli, że kobieta, o której mowa, stoi naprzeciw nich, tuż za rzucającym przekleństwami oskarżycielem.

- Wykorzystała śmierć swojej siostry do cna, ta Maurestier! Tryskając łzami jak fontanna, powtarzała, że poza wszystkim szczęśliwie się

złożyło, że młodsza siostra zginęła w tej strasznej katastrofie lotniczej, bo inaczej oskarżono by ją, Marie, o wysłanie siostry na tamten świat. Bo wszyscy uważali, że zabija ludzi, których kocha, swoich mężów, siostrę; miała nawet popełnić zabójstwo bez trupa, tego Rudy'ego, Johnny'ego, Eddy'ego – jakoś tak mu było, jak jakiemuś hippisowi – niby jej kochanka, a przecież on uciekł z Francji przed wierzycielami i podejrzanymi interesami, które się za nim ciągnęły. Toczyły się przeciw niej postępowania i cokolwiek się działo, wszyscy uważali, że to kryminalistka. Jej adwokat trzymał się tej linii i to się opłaciło. Badania wykazały, że na cmentarzach w okolicy używano środka chwastobójczego z arsenikiem, a wobec tego każde zwłoki ekshumowane po latach leżenia w ziemi wydawały się zatrute, zwłaszcza jeżeli dużo padało. Ona i jej adwokat wygrali oba procesy. Uwaga, panowie i panie, celowo powiedziałem „ona i jej adwokat”. Nie sprawiedliwość. Nie prawda.

W tym momencie tapicer poczuł dotkliwy ból w karku. Podniósł rękę, żeby odgonić owada, po czym się odwrócił.

Marie Maurestier wpatrywała się w niego. Serce starego mężczyzny zamarło, zabrakło mu tchu.

Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie, ona twardo, on w panice. Emocje, których Raymond

Poussin od zawsze doświadczał w pobliżu tej kobiety, były bardzo silne: kiedyś wyobrażał sobie, że to miłość, do tego stopnia, że zaczął się zalecać do Marie Maurestier; dziś już wiedział, że to nienawiść.

Po dobrej minucie Marie Maurestier postanowiła przerwać tę walkę na spojrzenia, wzruszyła ramionami i poszła dalej, jakby nic się nie wydarzyło.

Prosta i sztywna przedefilowała przed ogródkiem kawiarni, w którym rozmowy natychmiast umilkły, po czym weszła do rzeźnika.

Tu też od razu ucichło. Stanęła skromnie w kolejce za innymi klientami, lecz szef, jakby na mocy milczącego porozumienia, przerwał swoje czynności, dając do zrozumienia, że najpierw zajmie się nią.

Nikt nie zaprotestował. Ludzie nie tylko uznawali ten szczególny status Marie Maurestier, ale w jej obecności od razu stawali się zamyśleni, boleśnie zadumani. Nie mając odwagi przy niej gawędzić ani nawet zwrócić się do niej, tak bardzo onieśmiala ich jej legenda, oczekiwali, że jak najszybciej się oddali.

Dlaczego o niej nie zapominali? Dlaczego, chociaż uniewinniona, stała się mitem? Dlaczego wciąż o niej mówili, choć minęło dziesięć, dwadzieścia lat?

Ponieważ w postaci Marie Maurestier było wi-
dać ten podstawowy dysonans, który sprawia, że
publiczność zaczyna marzyć, który czyni z ludzi
gwiazdy: jej wygląd nie pasował do jej zachowa-
nia. W codziennym życiu pielęgniarka, która po-
ślubia swoich bogatych, starszych pacjentów, to
raczej ładna, ujmująca dziewczyna, o wydatnych
kształtach, podkreślająca je seksownymi ubra-
niami. A Marie Maurestier nawet za młodo ni-
gdy nie wyglądała młodo – jej ciało było zwiędłe,
przekwitłe już przed przekwitaniem; ta wielka
klacz o groźnej posturze, nieprzeniknionej twa-
rzy stroiła się w bluzki z wysokim kołnierzykiem,
w wielkie okulary skrywające twarz, w buty raczej
solidne niż eleganckie. Kobieta, o której pismacy
wypisywali, że pożera mężczyzn, wyglądała na
kobietę aseksualną, bez pragnień. Jaki mógł być
związek między tą cnotliwą twarzą Marie a jej wie-
lokrotnymi małżeństwami albo tą namiętnością
do Rudy'ego, włochatego kochanka, palacza join-
tów, sportowca w rozpiętej koszuli, z której wyzie-
rała opalona klatka? Inna sprzeczność: w opinii
zwykłych ludzi trucicielka, zwłaszcza trucicielka
recydywistka, ma rysy ostre, wyraziste, a zza nich
wyziera występek, chęć zemsty, niegodziwość; Ma-
rie Maurestier wyglądała zaś raczej jak skrupu-
latna nauczycielka, a nawet katechetka – obno-
siła się ze swoją wiarą, bo była bardzo pobożna.

Krótko mówiąc, cokolwiek o niej opowiadano, jej wygląd nigdy do tego nie pasował: nie przystawał ani do jej miłości, ani do jej zbrodni.

- Nie ma powodu, żebym była obsłużona przed tymi paniami i panami - szepnęła Marie Maurestier pokornym, łzawym głosem, jakby ofiarowano jej ten przywilej po raz pierwszy.

- W moim sklepie robię to, co uważam za stosowne, proszę pani - odparł ze spokojem rzeźnik. - Ci państwo się zgadzają, prawda?

Stojący w kolejce ludzie pokiwali głowami.

- Więc wątróbka wołowa dla mnie i płucka dla mojej kotki.

Mimo woli wszyscy wysłuchali zamówienia jak przepisu na ewentualną truciznę.

Czyż Marie Maurestier nie wyglądała po prostu na nieszkodliwą?

Gdy zaczynało się ją obserwować, pojawiały się wątpliwości... Chwilami jej szare oczy błyszczały twardo, nie do wytrzymania. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, w trakcie procesu na pewno sędzia, prokurator generalny i świadkowie oskarżenia padliby trupem! Jej wypowiedzi były autorytarne, nieznośne sprzeciwu; niektórych wyzywała od imbecyli, kretynów, narcyzów, a potem obalała ich zeznania; w takich przypadkach wzbudzała podziw, bo jej repliki trafiały w sedno. Tym, których pokaleczyła ciężko było potem przywrócić

dobrze imię; nic nie odrastało na ziemi, którą spała. Inteligencja tej kobiety, choć w ogóle nie wyglądała na inteligentną, czyniła z niej diabolicę. Jakąkolwiek by przyjęła postawę, wprowadzała zamęt. Winna? Jej surowe oblicze nie było wystarczająco zepsute. Niewinna? Na jej twarzy brakowało czułości. Sprzedać ciało starym piernikom? Nie, to ciało musiałoby przynajmniej być godne pożądania, wzbudzać pożądanie albo chociaż – samo pożądać. Kochać szczerze tych podstarzałych mężczyzn? Nie wydawała się do tego zdolna.

Stara dama schwyciła dwa pakunki, które wyczył jej sprzedawca.

– Dziękuję, Mariuszu.

Rzeźnik zadrzał. Jego żona za kasą powstrzymała czkawkę. Imię rozmówcy w ustach Marie Maurestier brzmiało kompromitująco. Poza rodziną i przyjaciółmi nikt w miasteczku nie nazywał pana Isidore imieniem, które mu dano na chrzcie, ponieważ nie był to człowiek, który pozwoliłby sobie na taką poufałość. Przyjął cios oszołomiony, podczas gdy jego żona, z zaciśniętymi zębami, wydawała Marie drobne, nie pozwalając sobie na żaden komentarz. Wyjaśni to sobie z mężem później.

Marie Maurestier wyszła, życząc wszystkim miłego dnia. W odpowiedzi na pozdrowienie usłyszała skwapliwy, lecz niewyraźny pomruk.

Na chodniku minęła Yvette i jej dziecko. Nie witając się z matką, rzuciła się do niemowlęcia.

- Dzień dobry, kochanie, jak się nazywasz? - zapytała słodkim głosem.

Jako że czteromiesięczne dziecko oczywiście nie mogło odpowiedzieć, Yvette odpowiedziała za nie.

- Marcello.

Ciągle traktując z góry matkę, Marie uśmiechnęła się do chłopca, jakby to on do niej przemówił.

- Marcello? Jak ładnie... To dużo bardziej eleganckie imię niż Marcel.

- Ja też tak uważam - przytaknęła zadowolona Yvette.

- Ile masz braci i siostr?

- Dwie siostry, trzech braci.

- Więc jesteś szósty? To dobrze, to dobra cyfra.

- Tak? - zawołała Yvette zaskoczona.

Nie zwracając uwagi na jej pytanie, Marie ciągnęła rozmowę z dzieckiem:

- A dlaczego Marcello? Bo twój tata jest Włochem?

Matka oblała się rumieńcem. Całe miasteczko wiedziało, że Yvette, która sypiała z byle kim, pewnie nie miała pojęcia, kto był ojcem tego dziecka, podobnie jak poprzednich.

Odwracając się wreszcie do Yvette, Marie posłała jej szeroki uśmiech i weszła do piekarni

Złoty Placek. Wszyscy w piekarni słyszeli rozmowę dwóch kobiet i czuli się zażenowani.

Czy Marie Maurestier była w tej rozmowie miła czy złośliwa? Nie da się powiedzieć. Gdy wypowiadała jakąś opinię, nikt nie wierzył, że mówi szczerze, wszyscy uważali, że udaje. To, co demonstrowała gestem czy słowem, wyrażało głównie jej opanowanie: kontrolowała najłżejsze drgnienie rzęs, z wirtuozerią modulowała głos w taki sposób, że litość, gniew, szloch, milczenie czy poruszenie wydawały się w jej przypadku udawane. Była fascynującą aktorką – dlatego że jej aktorska gra była wyraźnie widoczna. Nie kryła się z nią, nie miała zamiaru sprawiać wrażenia naturalnej; przeciwnie, sposób, w jaki grała, przypominał, że sztuka to przecież coś nienaturalnego. Marie Maurestier była teatralna i nigdy nie porzuciła swojej roli, będąc zawsze świadomą siebie. Niektórzy widzieli w tym dowód jej fałszywości; inni – wyraz godności.

– Pół bagietki poproszę!

Nikt poza Marie Maurestier nie kupował już połowy bagietki; a jeżeli ktoś zaryzykował, oburzony młody piekarz posyłał takiego sknerę do wszystkich diabłów. Ale gdy kiedyś spróbował wyjaśnić Marie, że sprzedaje albo całą bagietkę, albo nic, ona odrzekła:

– Bardzo dobrze. Gdy już pan będzie w stanie upiec chleb, który po trzech godzinach nie będzie

czerstwy, będę go u pana kupować co dwa dni. Proszę mnie powiadomić. A do tego czasu będę brała codziennie pół bagietki.

Gdy czekała na drobne, jakaś turystka, nie mogąc się powstrzymać, zawołała:

- Czy może mi pani dać autograf?

Marie spochmurniała, jakby miała się rozżłościć, ale odpowiedziała wyraźnie:

- Oczywiście.

- Och, dziękuję pani, dziękuję! Wie pani, tak bardzo panią podziwiam. Widziałam wszystkie programy o pani w telewizji.

Marie obrzuciła kobietę spojrzeniem oznaczającym „biedna kretynka”, złożyła podpis, oddała jej notes i wyszła.

Jak Marie Maurestier żyła z tą sławą, która nie mijiała mimo upływu lat? Choć ostentacyjnie demonstrowała, że jej ona ciąży, pewne szczegóły zdradzały, że też się nią bawi; jako nieprzeciętna obywatelka zgadzała się, w sposób całkiem naturalny, zasiadać na honorowym miejscu podczas przyjęć, ślubów i bankietów. Gdy media chciały przeprowadzić z nią wywiad albo ją fotografować, natychmiast dzwoniła do swojego adwokata, żeby wynegocjował odpowiednie wynagrodzenie. Zeszłej zimy, gdy powaliła ją ciężka grypa, po cichu cieszyła się z przybywających do niej z miasteczka pielgrzymek mieszkańców, zaniepokojonych, że

mogą stracić swój historyczny zabytek, i pytających o jej zdrowie. A tego lata, pewnego skwarne go popołudnia, gdy zatrzymała się w kawiarni, aby napić się wody z miętą, ale nie miała drobnych, nawet nie przeprosiła właściciela, tylko oświadczyła:

- W zamian za wszystkie pieniądze, jakie pan na mnie zarabia, może mi pan coś postawić.

Marie Maurestier, nieco przygarbiona, jakby ciało jej ciążyło, zawróciła i zaczęła powoli piąć się z boczem na wzniesienie, na którym mieszkała. Z upływem czasu coraz lepiej grała rolę ofiary; teraz doskonale już wiedziała, jak nosić piętno pomylki sądowej. Oczywiście na początku strzeliła kilka gaf: na przykład po zwolnieniu z więzienia w pewnym wysokonakładowym czasopiśmie ukazały się jej zdjęcia, na których głaskała swoją kotkę lub zbierała w ogrodzie ulubione róże, zadowolona, uśmiechnięta, beztroska. Efekt był katastrofalny: ta szokująca wesołość nie pasowała ani do wdowy, którą była, ani do kobiety złamanej przez lata niesprawiedliwie spędzone za kratkami, którą być powinna. Gdy tylko ukazał się ten reportaż, inne gazety zaczęły od nowa masowo publikować pełne nienawiści artykuły, które podnosiły wątpliwości, węszyły kłamstwa, próbując znów zrobić z niej winną. Wskutek tego zaczęła się zachowywać pokornie, niczym wielki zraniony ptak, i nigdy już nie porzuciła tej strategii.

Wdrapywała się pod górę główną ulicą miasteczka. Na wzgórzu, ponad dachami i gołymi platanami, rozpościerały się opustoszałe marcowe pola winorośli, przynębiająco regularne, ogołocone, smutne niczym ściana z palików, na których pomiędzy drutami wiły się tylko poskręcane łodygi.

Przechodząc obok kaplicy, zadrżała.

Z budynku dochodziły dźwięki psalmu. Co? Czy to możliwe, żeby...

Marie rzuciła się na schodki tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to artroza i odciski, pchnęła drzwi, w których skrzypnął zamek, po czym, nieruchomiejąc z wrażenia, dała się otoczyć falom muzyki niczym upajającemu zapachowi, dała się im muskać, pieścić, przeniknąć.

Młody ksiądz grał na fisharmonii.

Jego uroda była czysta i bezczelna. Miał skórę tak bladą, jakby ją pudrował, a usta jakby złożone do pocałunku. Był sam w nawie; promieniał, otoczony złotym światłem, które niczym jego sprzymierzeniec wpadało przez witraż i kładło się na jego ramionach. Oświetlony lepiej niż ołtarz, bardziej pociągający niż Chrystus na krzyżu, wydobywając z instrumentu subtelne dźwięki, które unosiły się aż pod sklepienie, sam był centrum kościoła. Zafascynowana jego jasnymi, gładzącymi klawisze dłońmi, Marie przyglądała mu się

ze wzruszeniem, jakie zwykle wywołuje widok zjawiskowej postaci, aż do chwili, gdy na zewnątrz kościoła ktoś włączył hałaśliwy silnik motocykla, co sprawiło, że obrócili się w stronę wejścia.

Ksiądz, odkrywszy obecność gościa, przerwał grę i wstał, aby ją przywitać.

Marie Maurestier o mało nie zemdląła. Chudy, niewiarygodnie wysoki, raczej chłopięcy niż męski, rozjaśnił się na jej widok, jak amant, który spotyka kochankę. Omal nie otworzył ramion, aby ją objąć.

- Witaj, córko. Bardzo się cieszę, że przydzielono mi to miejsce, Saint-Sorlin. Dopiero skończyłem seminarium, to będzie moja pierwsza parafia. Czyż to nie szczęście, że zacznym w takim ładnym miejscu?

Zmieszana brzmieniem jego głosu, mrocznym i aksamitnym, Marie wybełkotała, że to miasteczko powinno się cieszyć.

Podszedł do niej energicznie.

- Jestem ojciec Gabriel.

Zadrżała. Anielskie imię, które kontrastowało z poważnym brzmieniem jego głosu.

- Z kim mam przyjemność? - zapytał, zdziwiony, że się nie przedstawiła.

- Marie...

Zawahała się, czy ujawnić swoje nazwisko. Bała się, że nazwisko, które tyle razy pojawiało

się w prasie w rubryce kryminalnej, pograży tę twarz w smutku, że zbruka ten dziecięcy uśmiech. Mimo to zaryzykowała.

- Marie Maurestier.

- Cieszę się, że mogę panią poznać.

Ze ściśniętym gardłem zauważyła, że słysząc jej nazwisko, nie nabrał dystansu - nie okazał ani przerażenia, ani dezaprobaty. Zdumiewające! Niesłychane! Rozmawiał z nią taką, jaka była, nie osądzając jej, nie traktując jej jak wzbudzające ciekawość zwierzątko w klatce.

- Chodzi pani czasem do kościoła, Marie?

- Codziennie przychodzę na nabożeństwo.

- Nie przeżyła pani nigdy kryzysu wiary?

- Bóg nie zniósłby mojej zmienności. Gdybym nie dorastała do jego wymagań, natychmiast by mnie do tego zmusił.

Chciała wypowiedzieć pokorną myśl, a spostrzegła, że wyszło jej zdanie pełne pychy. Stawiać się na równi z Bogiem! W dodatku na jego zawołanie! Ale ojciec Gabriel, po chwili niepewności, umiał odczytać jej przesłanie.

- Wiara jest łaską.

- Właśnie! Kiedy człowieka obleci tchórz, Bóg daje mu kopniaka w tyłek, żeby znów zaczął wierzyć!

Sama była zaskoczona swoimi słowami. „Daje mu kopniaka w tyłek”! Dlaczego użyła tego

wrażenia, obcego jej słownictwu? Co jej strze-
liło do głowy? Odezwała się jak żołnierz na po-
ligonie, gwałtownie i dosadnie. Czy zrodziła się
w niej potrzeba, aby przed tym łagodnym człowie-
kiem grać mężczyzną? Spuściła oczy, zmieszana,
gotowa przyznać się do błędu.

– No to, córko, spotkamy się o siódmej na na-
bożeństwie?

Otworzyła szeroko usta, po czym kiwnęła
głową. „Wybaczył mi – pomyślała. – Jaki wspa-
niały człowiek!”

Następnego dnia przyszła do kościoła na zim-
ną, poranną mszę jako pierwsza.

Gdy ojciec Gabriel wyszedł z zakrystii, z wstęgą
z zielonego jedwabiu na nieskazitelnie białej al-
bie, przez chwilę była olśniona: wyglądał równie
młodo i uroczo, jak we wspomnieniu z poprzed-
niego dnia. Razem z nim przestawiała klęczniki,
przesuwała chwiejące się krzesła, układała bu-
kiety kwiatów w wazonach, porządkowała ksią-
żeczki do nabożeństwa, jakby razem przygotow-
wali przyjęcie dla przyjaciół.

Zaczęli się schodzić katolicy z miasteczka. Do-
łączali do stojącej przy wejściu grupki powściąg-
liwych osób, w wieku średnio osiemdziesięciu
lat, w czarnych ubraniach, o siwych włosach; nie

wchodzili dalej, nie tyle z wrogości do nowego księdza, ile po to, aby dać do zrozumienia, że traktują go z dystansem i że bardzo cenili jego poprzednika.

Jak gdyby ich rozumiał, ojciec Gabriel wyszedł im na spotkanie, przedstawił się, znalazł odpowiednie słowa, aby oddać cześć zmarłemu w wieku stu lat poprzedniemu proboszczowi, po czym zachęcił ich, żeby usiedli w rzędach sąsiadujących z prezbiterium.

Gdy szedł w stronę ołtarza, Vera Vernet, o której Marie nie myślała nigdy inaczej niż „stara baba”, wymamrotała pod wąsem:

– To niepoważne, biskup z nas kpi; on jest o wiele za młody! Przysłali nam seminarzystę.

Marie, uśmiechnięta, nie odpowiedziała. Miała wrażenie, że po raz pierwszy uczestniczy w nabożeństwie. Swoją żarliwością, zaangażowaniem w każde słowo i każdy gest ojciec Gabriel stwarzał na nowo chrześcijańską mszę. Drżał z emocji, czytając Ewangelię, z zamkniętymi oczyma pograżał się w modlitwach, jakby zależało od tego jego zbawienie. W jego sposobie wypełniania obrządku czuło się gorliwość, nie rutynę.

Marie Maurestier patrzyła na siedzących wokół niej szacownych parafian, którzy wydawali się oszołomieni tym, co się dzieje; można by pomyśleć, że siedzą nie na ławce kościelnej, ale w fotelu samolotu, który właśnie przekracza granicę

dźwięku. Entuzjazm proboszcza udzielił im się jednak i wszyscy po kolei zaczęli stawiać sobie za punkt honoru, aby zachowywać się jak żarliwi katolicy. Bez szemrania wstawali, siadali, klękali, maltretując swoje powykrzywiane stawy; śpiewali pełnym głosem; recytowali *Ojcze nasz*, wymawiając wyraźnie słowa i nadając pustym formułkom sens. Po półgodzinie nie było już wiadomo, kto kogo uwodzi – pasterz swoje owieczki czy owieczki pasterza – tak bardzo wszyscy prześcigali się w entuzjazmie. Nawet ta koza Vera uklękała w natchnionej pozie, przyjmując hostię.

– Do jutra, ojcze – wyszeptła Marie, schodząc ze schodów kaplicy.

Zadrżała. Jaka rozkosz powiedzieć „ojcze” do tak młodego mężczyzny, gdy samej ma się tyle lat!

Gdy wychodziła z nabożeństwa, na twarzy Marie pojawił się uśmiech, lecz nie dzieląc się z nikim swoim zadowoleniem, poszła do siebie. Była szczęśliwa z powodu przybycia proboszcza, ale czuła też dziwną dumę: zwycięstwo Gabriela wydawało jej się też własnym zwycięstwem.

Zdobycie życzliwości mieszkańców miasteczka nie zajęło Gabrielowi wiele czasu. W ciągu kilku dni swoją obecnością na ulicach, w kawiarni, na plebanii, gdzie poza lekcjami katechezy zaczął też

prowadzić lekcje czytania i pisania, potwierdził dobry początek: podobał się wszystkim, był przekonujący. Odprawiane przez niego nabożeństwa szybko przyciągnęły wiernych z innych miasteczek. Saint-Sorlin gratulowało sobie takiego księdza. Nawet niewierzący uważali, że jest wspaniały.

Marie słuchała roznoszących się o nim wieści jak matka, której wszyscy gratulują syna. „No wreszcie, trochę im zajęło zrozumienie tego, co ja widziałam od razu”.

Nie zdając sobie z tego sprawy, w towarzystwie księdza stawała się inna. Jasne, jej codzienna rutyna i sztywne zwyczaje pozostały niezmienione, ale towarzyszyły im teraz niezwykle uczucia.

Punkt o szóstej, wstając z łóżka, myślała o tym, że Gabriel też właśnie się obudził. Gdy się myła, nago, przed lustrem w łazience, wyobrażała sobie, że on też się przygotowuje, także nago, do ich bliskiego spotkania. Gdy z przyspieszonym oddechem przestępowała próg kościoła, przychodziła tyleż do Boga, co do Gabriela. W czasach poprzedniego księdza w kościele w Saint-Sorlin czuć było Bogiem, jak u rzeźnika czuć trupem – był to mdły, odrażający odór rozkładu; odkąd przejął go Gabriel, rozchodził się tam tylko zapach lilii, kadzidła, wosku, witraże były czyste, posadzki wyszorowane, obrusy na ołtarzu wyprasowane, krótko mówiąc, miało się wrażenie, że

Bóg i pokorny młody człowiek wspólnie osiedli w tym ładnie urządzonej gmachu.

W chwili gdy Gabriel otwierał drzwi zakrystii, pobłyskując zieloną jedwabną szarfą, i mówił: „Witam was, moje córki, cieszę się, że was widzę”, Marie przywłaszczała sobie to zdanie. Spełniając jego polecenia: „ukłękniemy”, „wstańmy”, „śpiewajmy”, „módlmy się”, była posłuszna zarówno liturgii, jak i człowiekowi. Pobożnie spijała mu słowa z ust. Jaka różnica w porównaniu z dawnym zachowaniem, gdy podczas kazań uczyła się na pamięć nazwisk, imion i dat wymienionych na marmurowych płytach wmurowanych wzdłuż nawy ku czci wielkich zmarłych miasteczka! Dzięki Gabrielowi objawiała jej się siła i finezja Ewangelii, nie tylko dlatego, że opowiadał o nich w szczególny sposób, ale też dlatego, że widziała go w roli Jezusa: pięknego, wrażliwego, pełnego miłości do ludzi, do kobiet. Często sama wcielała się w Marię Magdalenę i stojąc naprzeciw Jezusa-Gabriela, drżała z czułości, karmiąc go, obmywając mu stopy, a potem osuszając je swoimi rozpuszczonymi włosami; święte wersy nabierały sensu, gdyż stawały się ciałem.

Źle za to znosiła pojawianie się w każdą niedzielę ludzi, którzy zwykle nie chodzili do kościoła. Pewnego ranka, będąc sam na sam z Gabrielem, poczuła potrzebę doniesienia na nich.

- Ojcie, ci wszyscy Dubreuil, Morin, Desprairies i Isidore wcześniej nie przychodzili na mszę.

- Tym lepiej, nigdy nie jest za późno. Proszę sobie przypomnieć przypowieść o robotnikach ostatniej godziny.

- Zastanawiam się, czy Jezus zadał sobie pytanie, co pomyślą robotnicy pierwszej godziny, dowiadując się o hojności, jaką obdarzył spóźnialskich.

- Jezus zadał sobie to pytanie: wiedział, że wierzący pierwszej godziny znajdą radość w pogłębianiu swej dobroci.

Nie pojmując, że ta odpowiedź odnosi się do niej i że ma ją nakłonić do większej uprzejmości, podsumowała zrzędliwym tonem:

- No taaaak... To turyści, przychodzą na mszę, bo lubią nowości. Moja babcia mówiła: „Nowa miotła dobrze zmiata”.

- Jeżeli przychodzą z ciekawości, to moim zadaniem jest zatrzymanie ich na dłużej, moja córko. Mam nadzieję, że mi się to uda.

Przyjrzała mu się: był pełen pasji, dobroci, jakby małostkowość była mu nieznaną. Pożalowała swojego pesymizmu i rumieniąc się, oznajmiła szczerze:

- Uda się ojcu. Zrobi z nich ojciec wiernych, nie mam wątpliwości.

W gruncie rzeczy pragnęła po prostu, żeby traktował ją w sposób uprzywilejowany; mogła

tolerować to, że proboszcz zajmuje się wszystkim, nawiązuje rozmowy, a nawet czyni cuda, tylko wtedy, gdy jej okazywał szczególną uwagę. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, aby te złożone uczucia nazwać prostym słowem „zazdrość”.

Oczywiście na Yvette, która nagle wtargnęła do kaplicy, też nie spojrziała życzliwym okiem.

Yvette była przede wszystkim swoimi udami. O ile są kobiety, u których zauważa się najpierw oczy, usta lub twarz, o tyle Yvette miała do zaofiarowania przede wszystkim uda. Na próżno by się zmuszać do skupienia uwagi na jej twarzy, gdy mówiła; gdy tylko przymus zniknął, wzrok lądował na jej udach. Dwie kolumny ciała, ciepłe, mlecznobiałe, o tak drobnej fakturze skóry, że chciało się ich dotknąć, sprawdzić własnoręcznie, jak są delikatne. Jakkolwiek byłaby ubrana, jej uda zwyciężały; gdy założyła krótką sukienkę, miało się wrażenie, że sukienka ta została ucięta specjalnie po to, aby pokazać uda; jej spódniczki rozchylały się, aby ożyły uda, szorty ledwie skrywały jej uda, i nawet spodnie były niczym formy, w które wlano idealne uda. Marie do tego stopnia była przekonana, że całą Yvette da się sprowadzić do jej ud, że gdy ich właścicielka odzywała się do niej, nie odpowiadała.

Trzeba ponadto wyjaśnić, że Yvette była miejscową dziwką. Okresową dziwką. Gdy pod koniec

miesiąca brakowało jej pieniędzy, sprzedawała ciało mężczyznom. Zresztą na tym polegał jej problem: wszyscy traktowali ją jak dziwkę, oprócz niej samej; wszyscy akceptowali to, że jest dziwką – bo przecież ktoś nią musi być, jak powiedziała by babcia Marie – oprócz niej samej. W rezultacie, gdy tylko słyszała, że zaczynają o niej krążyć żarty albo gdy zaczynano ją obrzucać pożądlivymi spojrzeniami, cierpiała, robiła obrażoną minę, otulała się swoją zranioną dumą, obnosząc, niczym medal za męczeństwo, ostatnią zniewagę, jaka ją spotkała.

Marie uważała, że Yvette jest śmieszna, ale zaniepokoiła się, widząc, że ta bezwstydna para ud kręci się wokół księdza.

– Wstrętna świnią!

Młody ksiądz uśmiechał się do Yvette jak do innych, uściskał jej dłoń, przyjął ją z uwagą – ale tego było już dla Marie za dużo.

– Biedak, jest tak niewinny, że nie dostrzega jej gierki. Ale przecież to mężczyzna. Ona w końcu postawi na swoim...

Bo dla niej nie było żadnych wątpliwości: Yvette chciała upadku księdza.

Gdy pewnego popołudnia przyszła zmienić kwiaty przy ołtarzu i zobaczyła, jak Yvette wyskakuje z konfesjonału, z gołymi udami, powiekami spuchniętymi od płaczu, purpurowym rumieńcem kobiety, która doznała rozkoszy, pomyślała,

że najgorsze się stało. Marie o mało się na nią nie rzuciła, nie uderzyła jej w twarz. Na szczęście za nią pojawił się ksiądz Gabriel, na którego twarzy malowały się spokój, świeżość, czystość. Marie dała poruszonej młodej kobiecie wyjść z kościoła, z trzaśnięciem drzwiami, po czym podeszła do wazonu ze zwiędłym bukietem.

„Proboszcz właśnie ją odtrącił – pomyślała Marie – i dlatego para ud jest wściekła”.

Gdy wymieniała gnijące lilie na świeże, które właśnie zerwała w swoim ogrodzie, jej serce znów zaczęło bić spokojniej.

Proboszcz podszedł do niej zasmucony. Przyjrzała mu się uważnie. Pożałował, że nie potrafił ukryć niepokoję, i odwrócił twarz.

Marie postanowiła skorzystać z tej chwili bliskości.

– Ładna jest ta Yvette, prawda?

On, zdziwiony, wybełkotał coś niewyraźnie. Marie nalegała:

– Nie? Nie wydaje się księdzu ładna?

– Nie patrzę na wiernych w ten sposób.

Powiedział to twardym tonem. Szczerzość księdza uspokoiła Marie, chociaż jego zły humor nie mijał, niczym zupa w garnku, która gotuje się dalej, stojąc na kuchence, mimo że ktoś już wyłączył pod nią palnik.

– Przypuszczam, że ksiądz wie, kim jest Yvette?

- Co ma pani na myśli?

- To miejscowa prostytutka. Chyba tego przed księdzem nie ukryła?

- Niczego przede mną nie ukryła: jest wielką grzesznicą. A dlaczego, pani zdaniem, poświęcam jej tyle czasu?

- Pasjonują księdza jej grzechy?

- Ależ skąd. Czyż nie jestem tutaj po to, aby leczyć strapione dusze? W gruncie rzeczy to paradoks: muszę poświęcać się w większym stopniu duszom upadłym niż czystym.

Pod wpływem tego zdania Marie doznała olśnienia. A więc o to chodzi? Ksiądz Gabriel otacza większą troską występki niż cnotę? Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

- Proszę księdza, czy przyjmie ksiądz moją spowiedź?

Weszli do drewnianej, wywoskowanej skrzynki. Marie oddzielała od księdza tylko cieniutka kratka, miała wrażenie, że go dotyka.

- Czy ksiądz wie, że kilka lat temu byłam oskarżona o zabicie paru mężczyzn?

- Wiem, córko.

- Twierdzono, że otrulałam moich trzech mężów i wykończyłam czwartego, który miał być moim kochankiem!

- Tak, wiem, co pani wycierpiała. Wiem też, że ludzka sprawiedliwość oczyściła panią.

- Więc zrozumie ksiądz, dlaczego nie mam żadnego szacunku dla ludzkiej sprawiedliwości.
- Nie pojmuję...
- Boję się tylko sprawiedliwości boskiej...
- Ma pani rację.
- Bo jeżeli nawet dla ludzi jestem teraz bez winy, przed Bogiem ciągle mam pełno grzechów.
- Oczywiście. Jak my wszyscy.
- Tak, ale do tego stopnia...

Nachyliła się do niego i szepnęła:

- Zabiłam ich.
- Tak?
- Moich trzech mężów.
- O Boże!
- I Rudy'ego, mojego kochanka, też.
- Nieszczęsna...

Ze złośliwym uśmiechem dodała:

- I jeszcze jego kochankę, Olę, Rosjanę. Tu się ksiądz uśmieje, nigdy mnie o to nie oskarżono, bo nikt nie zauważył, że zniknęła. Nie było nikogo, kto by żałował tego karalucha.

- Jezusie, Maryjo, Józefie, przyjdźcie nam z pomocą jak najszybciej!

Młody ksiądz przeżegnał się, ale nie z wielkiej pobożności, tylko ze strachu przed zbrodniami, które wyjawiała, jakby próbował je zaklinać.

Marie Maurestier delektowała się jego przerażeniem. Żegnaj, Yvette! Teraz na scenę wchodzi Marie!

Tego dnia opowiedziała mu o najdawniejszym ze swoich mordów. Aby go za bardzo nie zszokować i też za bardzo nie odstraszyć, przedstawiła mu to otrucie jako akt współczucia – jej biedny mąż cierpiał tak bardzo, że zachowała się raczej jak pielęgniarka niż zbrodniarka. Według tego, co mówiła, na swoim Raoulu nie dokonała mordu, lecz eutanazji.

Młody ksiądz słuchał jej, trupio blady, pełen potępienia, przerażony.

Wyszedł bez słowa, kreśląc tylko przed nią znak krzyża.

Nazajutrz, na mszy o siódmej rano, widząc jego cienie pod oczami, domyśliła się, że spał niewiele albo bardzo źle.

Po obiedzie przyszedł do konfesjonału i przyznał, że prawie nie zmrugał oka.

Była zachwycona. Miała władzę nad jego duszą i ciałem, całą noc przewracał się w łóżku, myśląc o niej. Ponieważ ona przez całą noc robiła to samo, można było prawie uznać, że spędzili ją razem.

Po południu znów mówiła o swojej pierwszej zbrodni, zabójstwie Raoula i instynktownie, nie wiedząc dlaczego, wygłosiła zupełnie inną wersję, dużo czarniejszą, bardziej realistyczną, podkreślając, jaką czuła odrazę do starego ramola i niechęć do dotykania go, do czego ją zmuszał.

Przedstawiając siebie jako młodą kobietę, ofiarę przedpotopowego rozpustnika, demaskowała swoje mroczne emocje, wyrachowane plany, zbrodnicze pragnienia; opisała ze szczegółami długi proces trucia arsenikiem, rozłożony na dziewięć miesięcy, tak aby dawka okazała się śmiertelna, ale niewykrywalna; ulgę, jaką poczuła przy zgonie, komedię zapłakanej wdowy odegraną na pogrzebie, radość z pieniędzy i domu, które dostała, i z tego, że nikomu nie jest już nic winna.

Każdego dnia przychodziła do kościoła, aby w konfesjonale wyłożyć swoje zbrodnie. Każdej nocy opętany opowieścią o jej okrucieństwach młody ksiądz tracił kilka godzin snu.

Opowiadając swoją historię, Marie czerpała radość z tego, że wreszcie może ją z siebie wyrzucić, może pokazać komuś swoje wspomnienia, a zwłaszcza z odkrywania pobudek, których się nie spodziewała. Bo o ile zabójstwa pozostawały wciąż takie same, powody, z których je popełniła, zmieniały się od poniedziałku do niedzieli. Który był prawdziwy? Ten z wtorku, środy, piątku czy soboty? Wszystkie. Pasjonowały ją te szczegóły. Ponieważ latami musiała trzymać się tego, że jest niewinna, zagłębianie się w wersji „winna” pozwalało jej uchwycić złożoność swojego zachowania, nieskończony wachlarz własnych intencji. Marie

promieniała, odkrywając siebie – tak różnorodną, głęboką, wspaniałą... Została jej dana dodatkowa władza: miała teraz nie tylko prawo do decydowania o ludzkiej śmierci lub życiu, ale nawet prawo do decydowania o tym, na ile prawdziwe były jej czyny – tworzyła na nowo własne życie, niczym pisarz piszący powieść, rozgrzebując, interpretując, badając i obalając dotychczasowe banały.

Zawładnęła młodym księdzem. Już wcale nie spał. Był niezdolny do zainteresowania się czymkolwiek innym. Spotkań w konfesjonale zarówno oczekiwał, jak i obawiał się ich. Jego młodzieńczy zapach się wypalał. Tak jakby Marie wciągnęła go do swojego świata, obarczyła swoim wiekiem, zmęczeniem, brzydotą... Oczywiście ona nie zdała sobie z tego sprawy; dla niej proboszcz był taki jak przedtem.

Moment najbardziej intensywny dla księdza i dla grzesznicy nadszedł wtedy, gdy opowiadała o surferze Rudym, jedynej zmysłowej namiętności swego życia, tym bardziej gwałtownej, że nieoczekiwanej, bo wcześniej seks nie interesował Marie. Najpierw wydawało jej się, że kocha go prawdziwą miłością, zaskoczona tym, że myśli o nim od rana do nocy. Lecz w końcu zdała sobie sprawę, że chciała przede wszystkim jego pieszczot, jasnych włosów, zapachu, dotyku ich ciał. Rudy miał w sobie to coś, co podnieca, przyciąga,

przyjemnie łechce; potrafił wytworzyć wokół siebie atmosferę zmysłowości o niezwyklej sile, która zamieniała się w gorycz, gdy znikał. Opowiadanie Gabrielowi o mężczyźnie, którego nieprzytomnie pożądała, wywołało dwuznaczne, gwałtowne podniecenie, w którym przeszłość wdzierала się w terażniejszość; gdy wychodziła z konfesjonału, trawiła ją chęć pocałowania księdza, zerwania z niego sutanny, aby palcami zbadać fakturę jego skóry. Jej namiętność do Gabriela wzrosła.

Od czasu gdy nadeszła wiosna, ich tajne spotkania w ciasnym konfesjonale stały się duszne. Zegnali się wycieńczeni, bladzi, ale odzyskiwali siły, aby znów się spotkać.

Czuła frywolną radość, szokując Gabriela, trochę jakby byli w łóżku, a ona go ośmielała, ucząc wyrafinowanych, zmysłowych sztuczek, odważnych, zakazanych, nieoczekiwanych. Rozwodziła się więc nad tym, z jaką brutalnością utopiła swojego kochanka: to był impuls. Trzeba powiedzieć, że tamtego wieczora Rudy wypił tyle, że nie miał już ani siły, ani przytomności umysłu, aby stawić jej opór, gdy dusiła go w wannie. Potem podkreśliła, jaką zimną krwią się wykazała, ukrywając zbrodnię; uwielbiała opowiadać o tym, jak ona i jej siostra Blanche zawinęły trupa w dywan, wrzuciły go do skradzionego samochodu, przejechały siedemset kilometrów i nocą, w Bretanii,

wypożyczyły łódź; o tym, jak zmarły, obciążony kamieniami, pograżył się w czarnych wodach; o powrocie wczesnym rankiem; o dokładnym czyszczeniu samochodu; i wreszcie o porzuceniu tego samochodu, z kluczykami, na parkingu nawiedzanym przez złodziei, tak aby zostawili na nim swoje odciski. Działo się to z dala od Saint-Sorlin, w Biarritz, gdzie spadek po trzech zmarłych mężach pozwalał jej na wynajęcie domu.

Ten jeden, jedyny raz w życiu wyjawiała też sprawę Olgi, kochanki Rudy'ego, regularnej kochanki, do której wracał pomiędzy przygodami z dojrzałymi kobietami. Olga, zaniepokojona nieobecnością swojego mężczyzny, wtargnęła do Marie i wykrzyczała, że podejrzewa ją o zgładzenie surfera, że doniesie na nią policji. Nie zdradzając ani wzburzenia, ani obawy, Marie oświadczyła, że Rudy ukrył się za granicą i że powierzył jej pewną sumę pieniędzy, którą ma przekazać Oldze. Obietnica zysku sprawiła, że kłamstwo stało się wiarygodne, i powstrzymała Rosjankę przed wizytą na komisariacie. Marie umówiła się z nią wieczorem, w ogródku baru, który przyciągał całą okoliczną młodzież. Tam wręczyła jej kopertę z kilkoma banknotami, ukradkiem wrzuciła truciznę do jej drinka, obiecała dostarczyć jej resztę pieniędzy następnego ranka i zostawiła ją w towarzystwie hulaków.

Chociaż ani prasa, ani lokalne władze nigdy nie doniosły o śmierci Olgi, Marie była przekonana, że kobieta zmarła, bo Rosjanka nie przyszła po resztę należności.

Słyszając, jak mówi o zabójstwach, świecie przestępczym, o szantażach, o zepsuciu, Gabriel był na progu załamania. Marie widziała jego wzburzenie, miała wrażenie, że wprowadza go w prawdziwe życie, w świat taki, jaki jest, brutalny, wrogi. W pewnym stopniu zaprzeczała postawie księdza.

Od tego czasu Yvette mogła sobie popłakiwać samotnie po kątach, bo Gabriel splewał ją, gdy tylko się zbliżała, zapewniając, że poświęci jej chwilę, gdy tylko będzie miał ku temu okazję. Odprawiał jak najszybciej innych penitentów. Choć nadal wspaniale odprawiał msze, to nie był wolny, bo opętały go wyznania trucicielki, jej zabójstwa stały się jego koszmarem. Marie Maurrestier wygrała. Panowała nad nim i nad miasteczkiem.

Była zachwycona tym, że dochowywał jej sekretów, oczarowana, że kłamie na jej temat, stawia czoło rozgoryczonym starym kwokom, które swoimi brzydkimi, skrzeczącymi głosami wyrażały zdziwienie, że poświęca jej tyle godzin.

- Chyba nam ksiądz proboszcz nie powie, że ona jest niewinna? Bo jeżeli jest, to dlaczego zamieszkała w konfesjonale?

- To dusza, która wycierpiała straszne niesprawiedliwości, jak na przykład obrzydliwe oskarżenia, takie jak te, które ty, córko, podnosisz w tej chwili bez dobrych intencji.

Był nie tylko jej powiernikiem; stał się jej współnikiem. Łączyła ich nie tylko prawda; łączyła ich zbrodnia. Czyż nie popełniali wspólnie zbrodni?

Upajała się tą wspólnotą.

Po pięciu tygodniach spowiedzi doszła do wniosku, że wyczerpująco opowiedziała już o sobie. Dorzuciła jeszcze kilka podłości popełnionych podczas dwóch procesów, świadoma, że wystrzeliwuje ostatnie naboje i że niedługo zostanie bez amunicji.

Obawiała się, że to zapowiedź końca jej dominacji.

W najbliższą środę młody ksiądz oświadczył wiernym, że przez kolejne dwa dni go nie będzie. I już! Bez dalszych wyjaśnień! Brutalnie! Jej też nie powiedział nic więcej.

Co się działo?

Uciekał od niej, bo nie zaspokajała już jego ciekawości szokującymi wyznaniemami? Nie wymyśli nowych zbrodni! Czy żeby go zatrzymać, musi kłamać, musi przemienić się w Szeherazadę?

Te długie godziny bez Gabriela wydawały jej się nie do przeżycia. Cierpiała. Jak to? Obnażyć

się przed księdzem i osiągnąć tylko to, milczenie, ucieczkę... Gabriel stanowczo nie był wart więcej niż inni.

Znudzona, zniechęcona, przygnębiona, w piątek o siódmej wieczorem odkryła, że na kostkach jej nóg pojawiła się egzema. Aby ukarać się za to, że na niego czeka, oparła stopy na stołku i rozdrapała je do krwi. Umierała z nudów. W domu wypełnionym zapachem ceraty nie udawało jej się na niczym skupić uwagi: ani na zardzewiałej podkowie przyczepionej do ramy okna, ani na kalendarzu od listonosza, a tym bardziej na gazetach z drobnymi ogłoszeniami.

O ósmej ktoś zadzwonił do drzwi.

To był on.

Przepelniła ją radość. Jeżeli nawet wyjechał, to wraca przede wszystkim do niej. Zakryła nogi, poprosiła, aby wszedł, chciała go nakarmić i napić. Odmówił i dalej stał, bardzo poważny.

- Marie, dużo myślałem o tym, co mi pani powiedziała, o tych strasznych sekretach, których jestem depozytariuszem, niemym depozytariuszem, bo nigdy nie zdradzę tajemnicy spowiedzi. No właśnie. Wyjechałem na dwa dni, żeby się zastanowić. Radziłem się mojego biskupa oraz ojca, który mnie kształcił w seminarium. Nie powtarzając

pani słów, wspomniałem o pani przypadku, aby się dowiedzieć, jak postępować. Podjąłem decyzję. Decyzję, która dotyczy nas obojga.

Uroczyście, jakby proponował jej małżeństwo, chwycił ją mocno za nadgarstki. Zadrżała.

- Wyznałaś grzechy Bogu.

Zacisnął palce.

- Teraz przyznasz się do winy przed ludźmi.

Marie wyrwała mu rękę i zrobiła krok do tyłu.

Nalegał.

- Tak, Marie! Musisz wziąć na siebie swoje zbrodnie. Tak będzie lepiej dla sprawiedliwości. Tak będzie lepiej dla rodzin ofiar. Tak będzie lepiej dla prawdy.

- Nie obchodzi mnie prawda!

- Nie. Prawda cię obchodzi, bo mi ją wyjawiałaś.

- Księdzu! Tylko księdzu! Nikomu innemu!

Ze zgrozą stwierdziła, że nic nie rozumiała. Nie służyła prawdzie, tylko się nią posługiwała! Użyła jej tylko po to, aby go zniewolić, uwieść. Wbrew temu, co przypuszczał, to nie do Boga mówiła, ale do niego, tylko do niego!

Potrząsnął głową.

- Chcę, żebyś uwolniła się od zbrodni także w oczach ludzi. Pojedź do sędziego i opowiedz mu wszystko.

- Przyznać się? Nigdy! Nie o to walczyłam przez lata! Widać, że ksiądz nie ma za sobą dwóch procesów... Wygrałam, rozumie ksiądz? Wygrałam!

- Co wygrałaś, Marie?
 - Mój honor, reputację.
 - Fałszywy honor... fałszywą reputację...
 - W tej dziedzinie liczą się tylko pozory.
 - A jednak poświęciłaś swój honor i reputację.
- Przyszłaś do mnie ze swoim brzemieniem.
- Do księdza, tak. Tylko do księdza.
 - Do Boga też.
 - Tak...
 - Więc Bóg, tak jak ja, przyjął cię taką, jaka jesteś: winną. I Bóg, tak jak ja, dalej cię kocha.
 - Ach tak?...

Znów wziął ją za rękę i uścisnął je w swoich, ciepłych, łagodnych.

- Powiedz prawdę, Marie, powiedz ją wszystkim. Pomogę ci, podtrzymam cię na duchu. Od-tąd to mój cel. Mieszkam w tym miasteczku tylko po to, tylko dla ciebie; jesteś racją mojego istnienia, moich modlitw, mojej wiary. Marie, jesteś moją misją. Wstrząsnę tobą, obudzę wielką chrześci-jankę, którą jesteś. Od płomienia mojej wiary za-palę twój płomień. Razem nam się uda. Zrobisz to dla mnie, zrobisz to dla siebie, zrobisz to dla Boga.

Marie przyglądała mu się nowym spojrzeniem. Jego misją? Dobrze słyszała? Była jego misją?

Gdy się uśmiechnęła, pomyślał, że pociągnie ją za sobą.

Lato, które potem nastąpiło, było najszcześniejszym czasem w całym życiu Marie. Gabriel jej nie odstępował. Budził się tylko po to, aby ją zobaczyć, otwierał drzwi kościoła, aby weszła, szybko zjadał posiłki, aby jak najszybciej do niej wrócić, spowiadał ją prawie każdego popołudnia, a potem na plebanii, u siebie, albo w salonie, u niej, przemawiał bez końca, natchniony, płomienny, namiętny.

Marie cynicznie cieszyła się tym przywilejem: wyrwała Gabriela innym. Wygrała! Jeszcze raz wygrała! A niech się zamęczy tym gadaniem, uśmiechami, łagodnymi gestami, subtelnymi argumentami – nie będzie mu posłuszna. To niepotrzebne, bo to on jest jej posłuszny.

Radość przesłoniła jej jednak siłę przekonań proboszcza.

Zastawiona przez księdza pułapka, której nie zauważyła, polegała na tym, że swoją natarczywością Gabriel wciągnął ją do wymiany poglądów i dyskusji. Już w lipcu, by nie być mu dłużna, odpowiadała mu, rozzuchwalała się, starała się dotrzymać mu kroku na gruncie idei. Ale tam, na swoim poletku, był lepiej od niej przygotowany. Stopniowo, tak że nie zdawała sobie z tego sprawy i była przekonana, że stawia mu opór, on ją kształtował, wpływał na nią, proponował jej nowe tematy do refleksji, przybliżał jej ideały, które do tej pory były jej obce.

Na przykład więc nie mówiła już o Bogu tak jak wcześniej.

Kiedy wykorzystywała Boga jak broń; mówiła „Bóg”, tak jak strzela się z karabinu; za sprawą swojego „Boga”, wymawianego głośno tonem nieznoszącym sprzeciwu, narzucała ciszę, przeganiała intruzów, sprawiała, że wokół niej robiło się pusto. Czasem, gdy trzeba było prowadzić dyskusję, przekonywać, argumentować, cytowała na chybił trafił ewangelie i Ojców Kościoła, jakby strzelała śrutem do przeciwników, aby ich odstraszyć, zranić, a nawet zabić – oko miała szybkie, sprawne, celne. Ten Bóg pozwolił jej stopniowo wypracować sobie reputację osoby cnotliwej i przetrwać szykany, które na nią spadały.

Teraz widziała Boga nie jako straszliwe, mściwe bóstwo, ale jako fontannę czułości. Gdy Gabriel, który mówił raczej o „dobrym Bogu” niż o „Bogu”, wymawiał szeptem imię Stworzyciela, miało się wrażenie, że przywołuje życiodajne źródło, najlepsze wino, a nawet lek na wszelkie zło. Przy nim Marie poznawała nową teologię, porzucając swojego szeryfa na rzecz Boga miłości, dobrotliwego, łaskawego Jezusa, wysokiego na metr dziewięćdziesiąt pięć, jak Gabriel, i o Gabrielowych rysach.

Zanim się pojawił, zmuszała się do płytkiej, monotonnej pobożności, uspokajającej, bo

nudnej. Teraz pasjonowała się treścią modlitw, kazań, nauk kościelnych; zdarzało jej się nawet czytać wieczorami Ewangelię.

W rzeczywistości nie zauważyła, że zdobywał nad nią zdecydowaną przewagę. I o ile na początku w powietrzu unosił się seks, o tyle na końcu już tylko Duch Święty. Marie marzyła o Dobru, wzruszały ją historie o przebaczeniu, przeżywała ekstazę, gdy opowiadał jej żywoty świętych, a zwłaszcza żywot świętej Rity, postaci, na której temat prowadził badania i napisał w seminarium pracę dyplomową.

„Święta od spraw trudnych i beznadziejnych? Więc to moja patronka” – mówiła sobie, kładąc się wieczorem do łóżka.

Spędzili na dyskusjach wiele chwil, dla niego wyczerpujących, dla niej zachwycających.

Myślała, że jak zawsze kontroluje sytuację. Ale to on roztaczał nad nią swoją władzę. Drżała w jego obecności.

„Weź mnie – zdawała się mu mówić każdym zdaniem. – Zrób ze mną, co chcesz!”

Po raz pierwszy przeżywała szczęście wynikające z uległości. O ile młody mężczyzna nie zbliżał się do niej fizycznie, o tyle intelektualnie nad nią dominował; poddając mu się, doświadczyła radości masochisty. Gwałtowność jej duszy znajdowała ujście. Chociaż ta udręczona postać

przez całe swoje życie grała kobiety silne i twarde, wreszcie odkrywała swoją prawdziwą naturę: niewolnicy. Odpoczywała od samej siebie, rozstając się ze sobą. Obsesja kontroli ustępowała miejsca swobodzie; z rozkoszą, w uniesieniu, upojeniu, stawała się przedmiotem, którym mogły rozporządzać ręce i umysł Gabriela.

Pewnego dnia, gdy wyczerpała jego cierpliwość, wykrzyknął czerwony z gniewu, celując w nią palcem:

– Jesteś diabłem, ale zrobię z ciebie anioła.

Tego dnia poczuła drżenie w największych głębinach swego ciała, od nasady ud po czaszkę, jakąś formę orgazmu, który przeżywała nocą od nowa za każdym razem, gdy przypomniła sobie tę scenę.

Od tej chwili przestała się bronić. Myślała jak on, czuła jak on, oddychała jak on.

– Ty i ja jesteśmy opętani przez Dobro – stwierdził.

Nie zaprzeczyła, chociaż pomyślała: „Z tobą poszłabym i w Dobro, i w Zło, bo to ty mnie opętałeś”.

Opierała się jeszcze i nie zgadzała się ze wszystkim. Wieczorami, sama, przeżywała uniesienia, w których powtarzała sobie, że tak, wyzna zbrodnie przed ludźmi, tak, poświęci wygodę dla prawości. Jednak jej odwaga zawsze rano słabła.

– Jeżeli się zgodzę, będzie ksiądz przychodził odwiedzać mnie w więzieniu?

– Codziennie, Marie, codziennie. Jeżeli uda mi się przekonać cię, połączymy się na zawsze. Nie tylko przed ludźmi, ale przed Bogiem.

Ślub, w pewnym sensie... Tak, bez wątpienia, proponował jej ślub.

Coraz częściej wyobrażała sobie, jak opowiada o ich związku *urbi et orbi*, w telewizji, w gazetach, na policji, w sądzie. „To on, proboszcz Gabriel, przekonał mnie, aby wszystko wyznać. Gdyby nie on, dalej zaprzeczałabym moim morderstwom. Gdyby nie on, zabrałabym prawdę do grobu. Gabriel sprawił, że nie tylko uwierzyłam w Boga, ale też uwierzyłam w człowieka”. W tych marzeniach, choć nigdy nie była gadatliwa, stawała się elokwentna, niezmordowana w opowiadaniu o metamorfozie, którą zawdzięczała młodemu księdzu. Liczyła na to, że będą ich wspólnie fotografować, albo na sali sądowej, albo w rozmównicy.

Jasne, chwilami myślała o tym, że ich sytuacja będzie nierówna: on na wolności, ona w więzieniu. Ale czy będąc księdzem, jest się wolnym? Nie. A czy ktokolwiek rozpacza, gdy codziennie odwiedza go ten, kogo kocha? Też nie. Czy miłość nie nakazuje dbać przede wszystkim o drugiego człowieka?

– Poświęcenie jest miarą każdej miłości.

Tak właśnie powiedział Gabriel podczas któregoś kazania. Marie natychmiast uznała, że zwraca się do niej, i postanowiła wcielić tę maksymę w życie: poświęci się! Przyzna się – żeby wszyscy zrozumieli, że Gabriel jest wielkim księdzem. Przyjmie karę – żeby wszyscy dowiedzieli się, jaką moc miał nad nią młody człowiek. Okaze skruchę – żeby wszyscy zapamiętali ich jako nieprzeciętną parę. Dziecko, którego nie da Gabrielowi, zastąpi chwałą: ofiaruje mu sukces medialny, skandal sądowy i zapis na kartach Historii; długo będzie się mówić o ich podwójnym wyczynie, o niej – jak wspaniale w czasie procesów oszukiwała wymiar sprawiedliwości, o nim – jak naznaczył swoim duchowym piętnem wielką grzesznicę. Gdyby nie on, choroba Marie pozostałaby nieuleczalna. Byłaby przypadkiem beznadziejnym. Dzięki, święta Rito, która stałaś się źródłem przemiany. Gdy historia obyczajów pokrywa się ze świętą historią... tak, właśnie tak. Zresztą, kto wie? Może to zaprowadzi Gabriela do Rzymu?

Oddawała się coraz śmielszym marzeniom, z egzaltacją, w gorączce.

Po tym niewiarygodnym lecie obfitującym w udręki i emocje, w przededniu jesieni obudziła się i poczuła, że jest innym człowiekiem.

Tej niedzieli poszła na mszę milcząca, skupiona. Po nabożeństwie wróciła do domu i nie

była w stanie przełknąć ani kęsa. Kotlet dostał się kotce.

O drugiej poszła na plebanię i oświadczyła Gabrielowi, że się przyzna.

- Przysięgam księdzu. Na Boga i na księdza.

Wziął ją w ramiona, przyciągnął do siebie. Próbowwała się rozplakać, aby pozostać przez chwilę blisko tego wysokiego, ciepłego ciała, ale nic z tego; udało jej się wydobyć z siebie tylko wysokie, śmieszne czknięcie.

Pogratulował jej, powtórzył sto razy, że jest z niej dumny, z jej wiary, z drogi, jaką przebyła, a potem zaproponował, aby uklękła obok niego i podziękowała Bogu.

Podczas gdy powtarzali formuły, Marie kręciła głową na wszystkie strony. W upojeniu, w jakie wprowadziła ją własna decyzja, dała się ponieść wzruszeniu - tym, że znajduje się tak blisko niego, ramię przy ramieniu, odurzona zapachem jego skóry i włosów, w tak intymnej sytuacji. Myślała o tym, że odtąd będzie codziennie przychodził do więzienia, aby tak jak teraz się z nią modlić, a ona będzie szczęśliwa.

Pożegnawszy się z nim, wdrapała się na wzniesienie górujące nad miasteczkiem. Ostatni wieczór na wolności spędziła całkowicie spokojna, patrząc na Saint-Sorlin z porośniętego winnicami wzgórza. Różowy, a potem fioletowy

zmierzch kładł się na polach odcieniami żałoby. Koty wspięły się na pokryte dachówkami domy, aby obserwować zachód. Na tle gasnącego nieba dziesiątki dostojnych cieni wyglądały niczym dekoracyjne święte sylwetki, jak w chińskim teatrze.

W tym tygodniu pojedzie więc do Bourg-en-Bresse, stanie naprzeciw sędziego, który przed laty prowadził jej sprawę; był wtedy młodym człowiekiem, który jej nienawidził, bo przez jej uniewinnienie nie dostał awansu, jaki mógłby otrzymać w nagrodę za skazanie trucicielki. Nie ma wątpliwości, że szybko ją przyjmie.

W ciemności tu i tam błyskały pojedyncze światła, ukazując dach, pokój, ulicę. Za nią, pod ogrodową huśtawką, suczka labradora lizła swoje młode. Rosnące naokoło lipy napełniały ogród swoją wonią niczym słodkawy napar. „Jutro, drodzy mieszkańcy, obudzicie się w słynnym miasteczku, w miasteczku Marie Maurestier, Diablicy, która stała się Aniołem, morderczyni, która wykorzystała wszystkich, ale odmawiała wykorzystania Boga. Zaczęła jak Messalina, a kończy jak święta”. Marie miała wrażenie, że zaraża innych, że wszystkim udziela się jej dobro, że przynosi im światło, to światło, które otrzymała od Gabriela. „Szanowni państwo, spotkałam cudownego księdza. To nie był człowiek, to był anioł. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj,

przed wami". Będzie mogła całemu światu mówić o nim, o ich bliskim związku. Ileż cudowności przed nią...

Patrzyła w gwiazdy, prosiła Boga, aby dał jej odwagę i pokorę, albo raczej odwagę pokory. Wróciła do siebie dopiero późnym wieczorem.

Gdy przekręcała klucz w zamku, sąsiadka otworzyła okiennicę i zawołała:

- Proboszcz pani szukał. Był tu dwa razy.

- Ach tak? Dziękuję za wiadomość. Idę na plebanię.

- Chyba go pani nie zastanie. Niedawno zabrał go samochód.

Samochód? Proboszcz nie tylko nie prowadził, ale z pewnością nie miał samochodu.

Marie poszła na plebanię. Wnętrze ukryte za zasuniętymi zasłonami wydawało się puste i ciemne. Zapukała do drzwi, znów zapukała, zaczęła walić pięścią. Na próżno. Nikogo.

Wróciła do domu, nie pozwalając sobie na niepokój. Wszystko jedno, podjęła decyzję, proboszcz się z niej cieszył. Z pewnością chciał jej jeszcze pogratulować, zaproponować, że zawiezie ją do Bourg-en-Bresse, bo ja wiem? Uspokoili się, pewna, że jutro jej to wyjaśni.

Rzeczywiście rankiem zadzwonił telefon. Rozpoznając głos księdza Gabriela, od razu poczuła się pewniej.

- Moja droga Marie, wydarzyło się coś nadzwyczajnego!

- Mój Boże, co takiego?

- Dostałem nominację do Watykanu!

- Słucham?

- Ojciec Święty przeczytał moją rozprawę o świętej Ricie. Tak mu się podobała, że zaprosił mnie do teologicznej grupy badawczej w bibliotece papieskiej.

- Ale...

- Tak. To znaczy, że muszę cię opuścić. Ciebie i Saint-Sorlin.

- A nasze plany?

- Nic się nie zmieniło. Zdecydowałam się.

- Ale...

- Zrobisz to, bo mi obiecałaś. Mnie i Bogu.

- Nie będzie księdza tu przy mnie! Gdy będę w więzieniu, nie będzie ksiądz do mnie codziennie przychodził.

- Zrobisz to, bo mi obiecałaś.

- Tak, wiem, księdzu i Bogu...

Rozłączyła się, wzburzona, rozdarta pomiędzy ekstazą, w jakiej upłynął jej cały poprzedni dzień, a gniewem. „Do Watykanu... Przecież dzięki mnie pojechałby do tego swojego Watykanu. Za moje wyznania dostałby gratulacje od Ojca Świętego. Miał tylko trochę poczekać. Przecież pojechać do Watykanu za to, że dopięło się

niemożliwego – pokuty kryminalistki, to dużo więcej niż pojechać za jakieś wypociny o pomniejszej świętej. Co się z nim dzieje? Jak on może tak mnie zdradzać?”

Dwa dni później Vera Vernet, „stara baba” o ciele poskręcanyh jak winorośl, przysłała powiadomić ją, że przyjechał nowy ksiądz.

Marie udała się do kościoła.

Proboszcz w źle leżącej szarej sutannie sfatygowanej na szwach zamiatał schody prowadzące do przedsionka, gawędząc z mieszkańcami Saint-Sorlin.

Marie Maurestier, gdy tylko go zobaczyła – niskiego, grubego, o zaczerwienionej twarzy, wyraźnie po pięćdziesiątce – od razu wiedziała, jak spędzi najbliższe lata: będzie się zajmować swoim ogrodem, karmić kotkę, rzadziej chodzić na msze i milczeć aż do śmierci.

- Greg...

- Pracuję.

- Greg...

- Daj mi spokój, muszę jeszcze wyczyścić dwa-
dzieścia trzy przewody.

Silne, pochylone nad drugą turbiną plecy Grega w rozepchniętej imponującymi mięśniami bawelnianej koszulce nawet się nie wyprostowały.

Majtek Dexter był uparty:

- Greg, kapitan na ciebie czeka.

Greg odwrócił się tak gwałtownie, że Dexter aż podskoczył. Olbrzym, lśniący od potu od ramion po biodra, wyglądał jak barbarzyńskie bóstwo: kłęby pary unosiły się nad jego ciałem połyskującym w dzikich płomieniach kotłów maszynowni. Dzięki talentom swego mechanika statek towarowy „Grandville” przez siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę, sunął niezmiennie przez oceany, przewożąc ładunek z portu do portu.

- Ma mi coś do zarzucenia? - zapytał siłacz, marszcząc brązowe brwi, szerokie na palec.

– Nie. Czeka na ciebie.

Greg kiwnął głową z poczuciem winy. Powtórzył, aby się utwierdzić w swoim przekonaniu:

– Ma mi coś do zarzucenia.

Litość ogarnęła Dextera, posłannika, który wiedział, dlaczego Greg został wezwany do kapitana, i nie miał ochoty mu tego mówić.

– Greg, nie gadaj głupot. Co niby miałby ci zarzucić? Odwalasz więcej roboty niż czterech chłopów.

Ale Greg go nie słuchał. Zrezygnowany ścierał szmatą smar, który poczercił mu palce, z góry godząc się na reprimendy, bo ważniejsza od własnej dumy była dla niego dyscyplina na pokładzie: jeżeli przełożony coś mu wypominał, widocznie miał rację.

Greg nie zastanawiał się głębiej, bo wszystkiego miał się dowiedzieć od kapitana. Zazwyczaj unikał myślenia. Nie był w tym dobry, a co ważniejsze, uważał, że nie za to mu płacą. Wydawało mu się, że rozmyślanie będzie zdradą wobec pracodawcy, z którym podpisał kontrakt, straconym czasem, niepotrzebnie zużytą energią. W wieku czterdziestu lat pracował tyle co na początku, gdy miał czternaście: wstawał o świcie i do nocy biegał po statku, czyszcząc, naprawiając i reperując części silników, jakby miał obsesję robienia wszystkiego dobrze, jakby czuł nienasyconą

i niezmienną potrzebę poświęcania się. Na swoim wąskim posłaniu z za cienkim materacem odpoczywał tylko po to, aby potem znów rzucić się do swoich zadań.

Nałożył koszulę w kratkę, nieprzemakalną kurtkę i poszedł za Dexterem na pokład.

Morze nie było tego dnia przyjazne; ani wzburzone, ani spokojne, po prostu w złym humorze. Z krótkich, posępnych fal tryskała piana. Jak to często bywa na Pacyfiku, świat wydawał się jednokolorowy, bo szare niebo narzuciło swój betonowy odcień wszystkiemu wokół, falom, chmurom, deskom, przewodom, zbiornikom na wodę, ludziom; nawet Dexter, którego skóra twarzy miała zwykle miedziany kolor, teraz jakby poszarzał.

Walcząc ze świszczącym wiatrem, obaj mężczyźni dotarli do sterówki. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Greg poczuł się onieśmielony: z dala od huku maszyn i ryku oceanu, oderwany od woni mazutu i alg, miał wrażenie, że jest nie na statku, ale w eleganckim salonie na lądzie. Kilku ludzi, wśród nich operator radia, stało sztywno wyprostowanych wokół szefa.

- Kapitanie - powiedział, spuszczać wzrok, jakby zrezygnowany.

Kapitan Monroe wahał się, odparł coś niewyraźnie, odchrząknął.

Greg milczał, czekając na wyrok.

Pokora Grega nie pomagała Monroe mówić. Szukał wzrokiem wsparcia na twarzach swoich podwładnych, którzy nie chcieliby być na jego miejscu; gdy poczuł, że jeśli będzie dalej zwlekał, straci szacunek załogi, kapitan Monroe odezwał się nierówno, suchym tonem, nie zwracając uwagi na to, jak tragiczną nowinę miał przekazać:

- Dostaliśmy dla pana wiadomość telegraficzną, Greg. Problem dotyczy pana rodziny.

Greg podniósł głowę zdziwiony.

- To zła wiadomość - ciągnął kapitan. - Bardzo zła wiadomość. Pańska córka nie żyje.

Oczy Grega zaokrągliły się. Na chwilę jego twarzą owładnęło zdziwienie, nie było na niej widać żadnego innego uczucia.

Kapitan ciągnął uparcie:

- No właśnie. Powiadomił nas pański lekarz rodzinny, doktor Simbadour z Vancouver. Nie wiemy nic więcej. Przykro mi z powodu pańskiej córki. Kondolencje, Greg.

Ale twarz Grega nie zmieniła wyrazu: jego rysy były wciąż zastygłe z zaskoczenia, czystego zaskoczenia, bez emocji.

Nikt z obecnych nie pisnął słowa.

Greg patrzył na każdego po kolei, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, które sobie zadawał; ponieważ jej nie otrzymał, w końcu je wypowiedział:

- Moja córka? Która córka?

- Słucham? – poderwał się z miejsca kapitan.
- Która? Mam cztery córki.

Monroe poczerwieniał. Obawiając się, że źle przepisał wiadomość, drżącymi rękami wyjął kartkę z kieszeni i jeszcze raz przebiegł tekst wzrokiem.

- Hmm... nie. Nie ma nic więcej. Tylko to: mamy pana powiadomić, że pana córka nie żyje.

- Która? – nalegał Greg, bardziej zdenerwowany tą niedokładnością, niż świadomy tego, co mu przekazano. Kate? Grace? Joan? Betty?

Kapitan czytał kartkę raz za razem, mając nadzieję na cud, pragnąc, aby między linijkami natchmiast pojawiło się jakieś imię. Ale tekst, lakoniczny, eliptyczny, ograniczał się do ogólnej informacji.

Bezsilny Monroe wręczył Gregowi kartkę, którą on z kolei odczytał.

Mechanik skinął głową, westchnął, odwrócił kartkę, po czym oddał ją kapitanowi.

- Dziękuję.

Kapitan o mało nie odpowiedział „nie ma za co”, zrozumiał, że to absurdalne, mruknął coś pod nosem, zamilkł, wbił wzrok w horyzont nad bakburtą.

- To wszystko? – zapytał Greg, podnosząc głowę, z jasnym spojrzeniem, jakby nic się nie stało.

To pytanie zdumiało obecnych w pomieszczeniu marynarzy. Myśleli, że się przesłyszeli. Kapitan, do którego było skierowane, nie wiedział, jak zareagować. Greg nalegał:

- Mogę wrócić do pracy?

Wobec takiego spokoju kapitan, który nagle poczuł bunt wobec tej sytuacji, powiedział, aby dodać tej absurdalnej scenie trochę człowieczeństwa:

- Greg, już za trzy dni będziemy w Vancouver. Chce pan, żebyśmy do tego czasu spróbowali skontaktować się z waszym lekarzem, żeby nam to wyjaśnił?

- Mógłby pan?

- Tak. Nie mamy jego danych, bo telefonował do siedziby naszej firmy, ale jeśli poszukamy, dołączymy do źródła i...

- Tak, tak byłoby lepiej.

- Zajmę się tym osobiście.

- Rzeczywiście - ciągnął Greg jak automat - chyba byłoby lepiej, gdybym wiedział, która z moich córek nie...

W tym momencie zrobił pauzę. Gdy już miał wymówić następne słowo, zdał sobie sprawę, co się wydarzyło: życie jednego z jego dzieci skończyło się. Przerwał z otwartymi ustami, jego twarz poczerwieniała, nogi się pod nim ugięły. Jedną ręką chwycił się stolika do gry w karty, aby nie stracić równowagi.

Stojący naokoło mężczyźni poczuli niemal ulgę, gdy zobaczyli, że wreszcie cierpi. Kapitan podszedł do niego, poklepał go po ramieniu.

- Zajmę się tym, Greg. Wyjaśnimy tę zagadkę.

Greg zmierzył wzrokiem jego dłoń, której uderzenia o wilgotną kurtkę wywoływały nieprzyjemny dźwięk. Ręka kapitana zamarła w bezruchu. Stali skrępowani, żaden nie śmiał spojrzeć drugiemu w oczy, Greg z obawy, że jego wzrok będzie wyrażał ból, kapitan ze strachu, że stanie z tym nieszczęściem twarzą w twarz.

- Weź wolny dzień, jeżeli chcesz.

Greg wyprostował się. Perspektywa braku pracy zaniepokoiła go. Co będzie robił, jeśli nie pracował? Wstrząs przywrócił mu mowę.

- Nie, lepiej nie.

Wszyscy obecni tam mężczyźni myśleli o mę-
kach, jakie będzie musiał znieść Greg w najbliż-
szych godzinach. Uwięziony na statku, niemy,
samotny, zdruzgotany zmartwieniem ciężkim
jak ładunek pod pokładem, będzie się zadreślał
straszynym pytaniem: która z jego córek nie żyje?

Po powrocie do maszynowni Greg rzucił się
w wir pracy, tak jak uwalany błotem człowiek rzuca
się pod wodę; przewody nigdy nie były myte, czysz-
czone, polerowane, dopasowywane ani nakładane
z taką energią i starannością jak tego popołudnia.

Jednak mimo tego zajęcia pewna myśl opanowywała go, zakorzeniała się pod jego czaszką. Grace... Przed oczyma stanęła mu druga córka. Czyżby Grace nie żyła? Piętnastoletnia Grace, ze swoją wybuchową radością życia, twarzą promieniejącą uśmiechem, Grace, wesoła, zabawna, energiczna i niezdecydowana – czyż nie była najslabsza? Czy konsekwencją radości życia nie była ta nerwowa siła, która stwarzała pozory zdrowia, ale nie dawała Grace ani większej odporności, ani mocniejszego ciała? Czyż nie przynosiła z przedszkola, ze szkoły, z liceum chorób, którymi zarażali ją koledzy? Grace ze swoją zbyt dobrą naturą wydawała się świetną partnerką do wszystkiego, do zabaw, przyjaźni, ale też łatwą ofiarą dla wirusów, bakterii, mikrobów. Greg wyobraził sobie, że nie zazna już tego szczęścia, które czuł, patrząc, jak chodzi, porusza się, przechyla głowę, podnosi ramiona, śmieje się od ucha do ucha.

To ona. Bez wątpienia.

Skąd ta myśl? Intuicja? Odbierał telepatyczne informacje? Na chwilę przestał czyścić. Nie, tak naprawdę nie wiedział; bał się, że to mogła być ona. Jeżeli pomyślał najpierw o niej, to dlatego, że Grace... była jego ukochaną córką.

Usiadł, zdziwiony swoim odkryciem. Nigdy wcześniej nie dostrzegał takiej hierarchii. A więc miał ulubienicę... Czy to okazywał? Jej lub innym?

Nie. To szczególne uczucie do Grace tkwiło głęboko w nim, mroczne, żywe, niedostępne – aż do teraz nawet dla niego.

Grace... Rozczulił się nad młodą dziewczyną o rozwianych włosach, smukłej szyi. Tak łatwo było ją podziwiać. Była błyskotliwa, choć nie tak rozważna jak jej starsza siostra, żywsza niż inne, nie znała nudy, a w każdej sytuacji widziała tysiąc powodów, które sprawiały, że była zabawna. Przeczynał, że jeśli dalej będzie myślał, że zginęła, ogarnie go cierpienie. Zabrał się zatem znów energicznie do pracy.

– Oby to nie była Grace!

Skreślił śruby tak mocno, że aż klucz wypadł mu z rąk.

– Lepiej, żeby to była Joan.

Na pewno strata Joan zasmuciłaby go mniej. Joan, szorstka, trochę skryta, trudna, o brązowych lśniących włosach, gęstych jak siano w snopku, zakrywających skronie. Mała szczerza twarz. Nie miał z nią nic wspólnego. Trzeba wyjaśnić, że urodziła się trzecia z kolei, więc nie doświadczyła ani radości towarzyszącej narodzinom pierwszej córki, ani wyuczonego spokoju, jaki odczuwają rodzice przy narodzinach drugiej. Trzecia córka jest czymś oczywistym, zwraca się na nią mniejszą uwagę, zajmują się nią siostry. Greg nie miał w ogóle okazji jej widywać,

bo urodziła się, gdy zaczął pracować dla nowej spółki, pływającej aż do Emiratów. A poza tym nie cierpiał jej kolorów: barwy skóry, oczu, warg; gdy na nią patrzył, nie rozpoznawał w niej ani swojej żony, ani swoich innych córek; wydawała mu się obca. Och, nie wątpił, że jest jego dzieckiem, bo pamiętał noc, której ją począł – po powrocie z Omanu – a sąsiedzi utrzymywali, że jest do niego podobna. Taka sama czupryna jak jego – to pewne. Może zresztą przeszkadzało mu właśnie to: córka, która miała cechy chłopca, nie będąc chłopcem.

Bo Greg powoływał do życia tylko dziewczęta, jego nasienie nie miało mocy stworzenia mężczyzny, było zbyt słabe, aby skłonić brzuch Mary do wydania na świat czegoś innego niż kobiecość. Miał sobie to za złe. To on był mężczyzną, był odpowiedzialny za pierwiastek męski w ich związku, on był kolosem, siłaczem, któremu z jakiegoś nieznanego, a przede wszystkim niewidocznego powodu brakowało męskości niezbędnej do tego, aby z tej formy do dziewcząt urodził się wreszcie chłopiec.

Prawdopodobnie niewiele trzeba było, aby Joan została chłopcem... Ale jako niedoszły chłopiec była dowodem na niedostatki Grega. To samo myślał, gdy gratulowano mu gromady dziewcząt, widząc w tym podstępłą kpinę.

- Cztery córki, ale ma pan szczęście, Greg! Córki uwielbiają swoich ojców. Muszą pana ubóstwiać, prawda?

Oczywiście, że go kochały! Przy całym tym trudem, jaki zadawał sobie dla nich, nigdy w domu, zawsze na morzu, aby zarobić pieniądze na mieszkanie, jedzenie, ubrania, szkoły... Oczywiście, że go kochały! Inaczej byłyby bardzo niewdzięczne, cała jego wypłata płynęła do nich, zostawiał dla siebie tylko jakieś drobne. Oczywiście, że go kochały...

Zdaniem Grega miłość była obowiązkiem albo powinnością. Ponieważ poświęcał się dla swoich córek, były mu winne uczucie. Jego ojcowskie przywiązanie wyrażało się zaś w znoej pracy. Nie podejrzewał nawet, że miłość może polegać na uśmiechach, pieszczotach, czułości, śmiechu, obecności, zabawie, na tym, że ofiaruje się komuś swój czas, że się go z nim dzieli. We własnych oczach miał wszelkie powody, aby uważać się za dobrego ojca.

- Więc to Joan nie żyje.

Ta hipoteza ulżyła jego cierpieniu, choć nie był w stanie jasno sobie tego powiedzieć.

Pod wieczór, gdy kapitan wezwał go na mostek, Greg spodziewał się, że potwierdzi jego przypuszczenia.

Stając przed przełożonym, Greg zaskoczył sam siebie myślami, które przybrały formę krótkiej i uporczywej modlitwy:

„Tylko niech nie wymawia imienia Grace. Nie Grace, tylko Joan. Joan. Joan”.

- Greg, bardzo mi przykro - zawołał kapitan - nie możemy się z nikim skontaktować. Połączenia i przez morze, i przez niebo są bardzo złe. Krótco mówiąc, nie wiemy, która z pana córek...

- Dziękuję, kapitanie.

Greg zasalutował i wyszedł.

Pobiegł do swojej kajuty i zaryglował się w niej; wstyd palił mu uszy. Bo czyż nie życzył śmierci jednej ze swoich córek? Nie wskazał, którą można by mu odebrać? Jakim prawem? Kto mu pozwolił podpowiadać kapitanowi imię Joan? Czy wskazując na nią, nie zachował się jak zabójca? Czy były godne ojca takie mordercze myśli, jakie snuły się w jego umyśle? Lojalny ojciec walczyłby, aby ocalić swoje córki, wszystkie córki...

Zdegustowany samym sobą dreptał po ciasnej celi; kilka razy walnął pięścią w jej metalową ścianę.

- Wstyd! Hańba! Gdy ktoś ci mówi „pańska córka”, to myślisz o Grace. A gdy cię informują „pańska córka nie żyje”, rzucasz im na pożarcie Joan. Powinieneś zdechnąć ze wstydu.

Jasne, nikt nie słyszał jego rozważań; nikt, poza nim samym: teraz już wiedział, że jest podły, nikczemny. Nigdy nie wyleczy się z tej krwawiej rany.

- Nie mam prawa kochać Joan mniej niż inne moje córki. Nie mam prawa kochać bardziej Grace. Dlaczego w ogóle jeszcze nie przyszły mi do głowy Kate ani Betty?

Gdy się tak gorączkował, do drzwi zapukał Dexter.

- W porządku, Greg?

- W porządku.

- Nie opowiadaj głupot. Chodź, mam coś, co ci pomoże.

Greg pchnął drzwi i rzucił niemal agresywnie:

- Nikt nie może mi pomóc.

Dexter, przytakując, wręczył mu jednak książkę.

- Trzymaj.

- Co to jest?

- Moja Biblia.

Greg był tak zbity z tropu, że na kilka sekund zapomniał o swoim zmartwieniu. Jego ręce, które odmawiały wzięcia Biblii, jego oczy, które z wrogością odczytywały tytuł na okładce ze starego, poplamionego płótna, wszystko w nim krzyczało: „Co niby mam z tym zrobić?”

- Zachowaj, na wypadek gdyby... Może znajdziesz jakiś tekst, który ci pomoże.

- Ja nie czytam.

- Otwarcie Biblii to nie czytanie, to rozważanie.

Dexter wcisnął mu książkę i poszedł na wachtę.

Greg rzucił książkę na materac, zrozumiał, że nie uda mu się zasnąć, włożył tenisówki, dres i postanowił biegać po pokładzie statku aż do chwili, gdy padnie ze zmęczenia.

Następnego dnia Greg obudził się przekonany, że Joan nie żyje.

Ale tym razem wcale go to nie urządziło, wprost przeciwnie, bolało go to: we śnie zrozumiał, że Joan konała, bo miała złego, obojętnego ojca. Nie odrywając głowy od poduszki, zaczął szlochać nad losem swojej córeczki, nad jej krótkim życiem u boku brutalnego człowieka, bo o ile ukrywał przed Grace, że jest jego ulubienicą, o tyle wyraźnie dawał odczuć Joan, że jej nie znosi, stale ją strofował, poprawiał, nakazywał, aby była cicho albo żeby dała mówić siostrom. Czy kiedykolwiek pocałował ją z własnej woli? Dziecko musiało wyczuwać, że pochyla się nad nim z rezerwą, bardziej dlatego, żeby wszystkie dzieci dostały po równo, niż ze szczerego porywu serca.

Przewracając się w koi z boku na bok, poczuł na udzie ciężar Biblii Dextera. Odruchowo przekartkował księgę, przyjrzał się ze znużeniem wersom zapisanym bardzo małą czcionką, przemknął wzrokiem po spisie treści i wyciągnął ją, jak kartkę pomiędzy stron. Był to święty obrazek

wydrukowany na kremowym papierze, kolorowy, naiwny, z wypukłym wizerunkiem otoczonej po-
złacaną aureolą kobiecej twarzy – świętej Rity.

Jej uśmiech go wzruszył. Symbolizował jego
żonę, jego córki, ich niewinność, piękno, prostod-
usznosc.

– Niech to nie będzie Joan – wyszeptał Greg
do ikony – niech to nie będzie Joan. Zajmę się nią.
Będę jej poświęcał uwagę i okazywał uczucia, na
jakie zasługuje. Niech to nie będzie Joan, proszę.

Zdziwiło go to, że zwraca się do papierowej
postaci; zdziwiłoby go też, gdyby stanął twarzą
w twarz ze świętą z krwi i kości, bo nie wierzył
ani w Boga, ani w świętych. Ale w tym chaosie,
w jakim pograżył go telegram doktora Simba-
doura, był gotów spróbować wszystkiego, nawet
modlitwy. Tak jak poprzedniego dnia życzył so-
bie, aby to Joan nie żyła, dzisiaj chciał, aby ocalała,
bo wtedy mógłby jej zrekompensować stracony
czas, zbyt rzadko okazywaną czułość.

Do pracy zabrał się z mniejszą energią, bo
część sił zabierały mu teraz rozmyślania. Zła no-
wina uruchomiła w nim bolesny wszechświat roz-
myślań: uchyliły się przed nim drzwi moralnych
cierpień.

Pomyślał o swojej najstarszej córce, Kate, ci-
chej, podobnej z wyglądu do matki, a z charak-
teru do ojca, która mając osiemnaście lat, już

pracowała w sklepie w Vancouver... Czy chodziło o nią? Jeżeli to Kate, jakie marzenia przerwał ten zgon?

Greg zdał sobie sprawę, że nie wie, kim są jego córki. Mógł mówić o suchych faktach z ich życia, o ich wieku, zwyczajach, rozkładzie dnia, ale był zamknięty na to, co przeżywały. Znajome nieznajome. Zagadki, które zależały od jego władzy. Cztery córki – cztery obce osoby.

W czasie przerwy, chcąc zostać sam, pod pretekstem, że zamierza wziąć prysznic, zamknął się w małej łazience, po czym odruchowo się rozebrał.

Popatrzył na siebie w lustrze. Był silny, ramiona miał toporne, zresztą tak jak i myśli. Jego wygląd nie kłamał: pod niskim czołem, szerszym niż wyższym, nie było wiele miejsca na intelekt; masywne uda podtrzymujące szeroką miednicę – jednak nie tak masywne jak tors, potężny, rozszerzający się ku górze – świadczyły o tym, że ich właściciel oddaje się pracy fizycznej. Każdego wieczoru, od lat, był dumny ze swojego zmęczenia, bo dawało mu ono poczucie spełnionego obowiązku. Zupełnie proste życie, któremu nawet nie groziło znużenie, bo żeby czymś się znużyć, trzeba sobie wyobrazić coś innego...

Obserwując odbicie w lustrze, analizował swoje życie. Od zawsze żył na morzu, aby uciec

od ziemi. Uciec od rodziny, ojca pijaka i zgaszonej matki. Uciec od kolejnej rodziny, tej, którą założył; słowo „założył” wydawało mu się zresztą pretensjonalne, bo dla Grega ograniczało się do posiadania oficjalnie poślubionej żony, małżeństwo w końcu na tym polega, prawda? Greg przepłynął świat wzdłuż i wszerz – ale trzeba przyznać, że go nie widział. Jeżeli nawet jego statek przybijał do wielu miast, Greg nie docierał dalej niż dziób statku, nigdy nie opuścił nabrzeża, zapuszczając korzenie w porcie, z nieufności, z obawy przed nieznanym, ze strachu, że statek odpłynie bez niego. W gruncie rzeczy wielkie miasta, inne nacje, zagraniczne ekspedycje, mimo tysięcy przebytych kilometrów wyobrażał sobie, siedząc na statku albo w portowej tawernie; pozostały dla niego odległymi miejscami.

Tak jak jego córki. Egzotyczne. Omijane z daleka. Nic poza tym.

Co mógł wiedzieć o Betty, najmłodszej? Że miała dziewięć lat, była raczej dobrą uczennicą, zajmowała składzik, który Greg przerobił na pokój. Co jeszcze? Z wysiłkiem próbował przypomnieć sobie cokolwiek poza tym. Nie przejmował się jej zdaniem, jej ambicjami, tym, co lubiła, a czego nie. Dlaczego nie wytrzasnął skądś czasu na to, żeby być ze swoimi córkami? Prowadził przyziemne życie, był tylko czymś w rodzaju

zwierzęcia pociągowe, wołem ciągnącym pług po morzu.

Ostatni raz rzucił okiem na to umięśnione ciało, którym jeszcze wczoraj się pysznił, splekał je, po czym się ubrał.

Do wieczora nadal unikał rozmów z innymi mężczyznami, a oni, szanując, jak im się wydawało, jego cierpienie, nie nalegali – tak bardzo byli przekonani, że Greg mierzy się z ciężkim doświadczeniem. Nie podejrzewali jednak, że oprócz smutku ojca przeżywa jeszcze smutek z powodu bycia złym ojcem.

O północy, gdy Greg zamęczał się setkami pompek na pokładzie statku, pod niebem czarnym jak ponure myśli, Dexter zapytał:

– Ciągle nie wiadomo, która z twoich córek...?

Greg omal nie odparł: „To i tak nie ma znaczenia, żadnej z nich nie znam lepiej od innych”, jednak wymamrotał tylko „nie”.

– Nie wiem, jak bym zareagował, gdyby przydarzyło mi się coś równie strasznego – szepnął Dexter.

– No, ja też nie wiem.

Odpowiedź była tak nagła i rzeczowa, że Dextera, w ogóle nieprzyzwyczajonego do tego, aby Greg wyrażał się tak trafnie, zupełnie zbiła z tropu.

Bo Greg przeżywał ból, którego się nie spodziewał. Zaczął myśleć. W jego umyśle toczyła się

nieustająca praca, snuły się refleksje, które go wycieńczały. Nie, nie zmienił trybu życia, tylko ktoś inny wcielił się w niego, jakiś inny Greg zamieszkał w jego skórze, inna świadomość, moralność i umysłowość urządziły się w ciele niegdyś spokojnego bydlaka.

Wróciwszy na swoje posłanie, długo płakał, nie rozważając niczego, nie próbując się dowiedzieć, kto zginął; powoli ogarniało go znużenie, aż w końcu zamknął oczy. Zasnął, nie mając nawet siły rozebrać się ani przykryć kołdrą, snem ciężkim, jakby gęstym, który męczy, a rano pozostawia po sobie poczucie ogromnego wyczerpania.

Po przebudzeniu uświadomił sobie, że od otrzymania fatalnego telegramu w ogóle nie pomyślał o swojej żonie. Zresztą w jego oczach Mary była już nie tyle jego żoną, ile partnerką w życiu rodzinnym, współpracowniczką w wychowaniu córek: on dawał pieniądze, ona – czas. Właśnie tak. Po równo. Klasycznie. Nagle ogarnęło go podejrzenie, że Mary cierpi, a to nasunęło mu na myśl młodą dziewczynę, którą spotkał dwadzieścia lat temu... Zdał sobie sprawę, że tamta Mary, wrażliwa, wzruszająca, w tej chwili żyła jakby w żałobie. Od ilu lat nie mówił jej już, że ją kocha? Od ilu lat już tego nie czuł? Był z tego powodu rozdarty.

Tama puściła i zawładnął nim niepokój. Teraz Greg rozmyślał od rana do wieczora, od wieczora do rana przeżywał wszelkie możliwe uczucia, to było trudne, duszące, wyczerpujące.

Nie było godziny, w której nie dręczyłby się z powodu swoich córek albo żony. Nawet kiedy pracował, na jego duszy kładła się smuga smutku, nuta goryczy, melancholia, od której nie mogła go uwolnić żadna aktywność rąk.

Ostatnie popołudnie przed powrotem spędził na pokładzie, oparty łokciami o reling. Pod kadłubem statku aż po horyzont rozlewały się fale; nie mając na co patrzeć, z głową zadartą do góry obserwował niebo. To właśnie niebo przyciąga uwagę na morzu, bardziej różnorodne, bogatsze, bardziej zmienne niż woda, kapryśne jak kobieta. Wszyscy marynarze są zakochani w chmurach.

Greg przeskakiwał od kontemplacji światła wokół niego do bezładu, jaki miał w sobie; nigdy nie wykorzystał okazji, aby poczuć się tak jak zwykły człowiek, małeńki człowiek pośrodku ogromnego oceanu, rozdarty między nieskończonością natury i nieskończonością swoich myśli.

Z nastaniem nocy zaszlochał, co zakończyło jego medytację.

Nadejście telegramu uświadomiło mu, że był też wdowcem – po młodej kobiecie, jaką kiedyś była Mary.

A ojciec, który następnego dnia miał zejść z pokładu w Vancouver, w ciągu tych trzech dni stracił wszystkie córki.

Wszystkie. Nie jedną. Cztery.

Statek zbliżał się do lądu, na horyzoncie majaczyło Vancouver.

Mewy, żwawe, swobodne, latały precyzyjnie wyznaczonym torem, prawdziwe królowe wybrzeża, które znały lepiej niż marynarze i pokonywały szybciej niż jakikolwiek statek.

Na ziemi królowała jesień, która nadeszła po gorącym lecie; drzewa płonęły żywymi kolorami, na żółto i pomarańczowo; liście umierały wzniośle, jakby swoimi intensywnymi barwami dziękowały za słońce i w ostatnich chwilach życia oddawały ziemi jego nadmiar.

Wreszcie statek wpłynął do portu w Vancouver. W szybach prostych, wysokich, czuwających nad wybrzeżem budynków odbijały się chmury i fale, niosące ze sobą nostalgię za dalekimi lądami. Pogoda zmieniała się z godziny na godzinę, od słońca do ulewnego deszczu, nazywanego przez mieszkańców „płynnym słońcem”.

„Grandville” dobił do nabrzeża, nad którym wznosiły się czerwone żurawie.

Greg poderwał się z miejsca. Zobaczył przy dockach znajome sylwetki. Czekały na niego.

Od razu policzył. Od razu dostrzegł swoją żonę i trzy córki.

Brakowało jednej.

Nie chciał jeszcze wiedzieć której. Odwrócił wzrok, skupił się na tym, by wraz z resztą załogi wprowadzić statek do portu.

Gdy statek stanął nieruchomo, przyjrzał się swoim pograżonym w żałobie kobietom, które stały w rzędzie dwadzieścia metrów poniżej niego, wyraźne, choć maleńkie.

No tak...

Teraz wie...

Wie, która nie żyje, które pozostały przy życiu.

Jego serce pęka. Z jednej strony właśnie odebrano mu córkę, z drugiej - oddano mu trzy. Jedna umarła, ale inne zmartwychwstały. Nie potrafi zareagować, nie potrafi się ruszyć, chce mu się śmiać i ma potrzebę płakać.

Betty... więc to Betty, najmłodsza, ta, której prawie nie miał czasu pokochać.

Opuszczają mostek; schodzi na ląd.

Co się dzieje? Gdy stawia stopę na ziemi, Betty wyskakuje zza ściany, za którą się skryła, dołącza do swoich sióstr i bierze je za ręce, aby przywitać ojca.

Jak to możliwe?

Greg, nie mogąc zrobić kroku, liczy: jego cztery córki stoją tutaj, trzydzieści kroków przed nim.

Nie rozumie, jest sparalizowany: jego cztery córki żyją. Chwyta się poręczy za sobą, nie może nawet przelknąć śliny. Więc to była pomyłka? Od początku... telegram nie był przeznaczony dla niego! Został wysłany do kogoś innego. Tak, przekazano mu go, ale w rzeczywistości to wszystko dotyczyło innego marynarza i jego jedynej córki. Śmierć nie dotknęła jego rodziny!

Z radością rzuca się biegiem w ich stronę. Najpierw chwyta w ramiona swoją żonę Mary i śmiejąc się, miażdży ją w uścisku. Zaskoczona kobieta nie oponuje. Nigdy nie tulił jej tak żarliwie. Potem obejmuje swoje córki, wiele razy, dotyka ich, głaszcze, sprawdza, czy żyją, z jego ust nie pada żadne słowo, wydaje tylko okrzyki szczęścia, jego oczy wilgotnieją ze wzruszenia. Trudno. Już się nie wstydzi, nie ukrywa łez, on, mężczyzna milczący, powściągliwy, pełen rezerwy, całuje je, przyciska do siebie, zwłaszcza Joan, która drży z zaskoczenia. Każda z nich wydaje mu się cudem.

Wreszcie szepcze:

– Jestem taki szczęśliwy, że widzę was wszystkie.

– Dostałeś wiadomość? – pyta jego żona.

O czym ona mówi? Och, nie, tylko nie ona... Ona też... Nie chce, żeby mu przypominano o tej absurdalnej wiadomości! Wymazał ją z pamięci. To nie jego sprawa. Pomyłka.

– Co?

- Doktor Simbadour zapewniał mnie, że powiadomił statek.

Nagle Greg nieruchomieje. Co? Więc wiadomość była prawdziwa? Była do niego?

Marie pochyla głowę i mówi z powagą:

- Miałam bóle. Poszłam do szpitala. Poronienie. Straciłam nasze dziecko.

Greg pojmuje to, co mu wcześniej umknęło: gdy wyjeżdżał, jego żona była w ciąży, zapomniał o tym. To wydawało się tak mało realne, zapowiedź dziecka, gdy nie było widać nawet, żeby brzuch się zaokrąglił. Marie z pewnością nosiła dziewczynkę. Jeżeli doktor Simbadour nie podał imienia, to dlatego, że płód go jeszcze nie miał...

Reakcja Grega w kolejnych dniach wprawiła Mary i jej cztery córki w zdumienie. Nie tylko dbał o żonę tak jak nigdy wcześniej, ujawniając nieprzebrane pokłady czułości, ale nalegał, żeby ochrzcić małą, nienarodzoną dziewczynkę.

- Rita. Jestem pewny, że nazywała się Rita.

Zażądał, aby ją pochować. Codziennie chodził na cmentarz, by zanieść jej kwiaty; codziennie płakał nad maleńkim grobem Rity, dziecka, którego nie widział ani nie dotknął, i łagodnie do niej przemawiał. Kate, Grace, Joan ani Betty nigdy by nie uwierzyły, że ten brutalny mężczyzna może

okazywać tyle uczucia, uwagi, delikatności. Dotychczas miały do czynienia głównie z nieobecny, spotykały się przede wszystkim z jego siłą fizyczną albo z rozkazami, które musiały spełniać; teraz spoglądały na niego innymi oczyma i bały się go trochę mniej.

Gdy dwa miesiące później Greg oświadczył im, że nie wypłynie więcej w morze, bo przyjął pracę dokera w porcie, ucieszyły się, że ten nieznajomy człowiek, niegdyś odległy i budzący strach, wreszcie stał się ich ojcem.

Koncert *Pamięci anioła*

Chris odkrył, o ile Axel jest od niego lepszy, słuchając jego gry na skrzypcach.

Dźwięki koncertu skrzypcowego *Pamięci anioła* wznosiły się między drzewami i rozplywały w błękitnie nieba, tropikalnej mgle, ptasich trelach, lekkości chmur. Axel nie wykonywał utworu, on nim żył; wymyślał melodię; decydował o zmianach nastroju i tempa, porywając za sobą orkiestrę, sekunda po sekundzie lepił palcami pieśń, która wyrażała jego myśl. Jego skrzypce były głosem, głosem, który słabnie, waha się, odradza, trwa.

Chris poddawał się temu urokowi, pilnując się jednak, aby mu nie ulec, bo wietrzył w nim niebezpieczeństwo: jeżeli za bardzo polubi Axla, zniechędzi samego siebie.

Zwykli muzycy sprawiają wrażenie, jakby wyszli z widowni, po prostu wstali ze swojego krzesła, aby wejść na scenę; tak właśnie wyglądała większość studentów tworzących tę festiwalową orkiestrę – trochę śmieszna, nietrafiona aparycja, skromne okulary, pospiesznie wybrane ubrania.

Axel, przeciwnie, zdawał się przybyszem z innej planety, z wykwintnego świata, gdzie królowały inteligencja, dobry smak, wzniosłość. Ani wysoki, ani niski, miał smukłą sylwetkę, gładką, wypiętą klatkę piersiową, kocia, hipnotyczną, trójkątną twarz, w której uwagę przyciągały przede wszystkim ogromne oczy. Brązowe, eteryczne, beztro-skie loki przypominały o jego młodym wieku. Inni chłopcy o takich rysach, harmonijnych i regularnych, wydają się smutni albo nudni, ponieważ są puści; jednak od niego biła porażająca energia. Axel, uczciwy, szlachetny, ufny, równocześnie żywiołowy i surowy, promieniował niczym bóstwo, które żyje tylko tym, co wzniosłe, w porozumieniu z geniuszem. Grając na skrzypcach, medytował, z promienną mocą, jaką daje natchnienie, podkreślając leczniczą potęgę muzyki, budząc w słuchaczu odczucia duchowe, które czynią go lepszym. Miał sprawny łokieć i gładkie czoło, dzięki którym filozofia materializowała się w muzyce.

Chris, rozdrażniony, wpatrywał się w swoje stopy. Nigdy nie grał na fortepianie tak dobrze. Czy powinien go porzucić? Miał dziewiętnaście lat i zebrał już medale, nagrody, dyplomy, świadczące o jego wspaniałości, był tak zwanym zwierzęciem konkursowym, pokonującym wszystkie pułapki na wirtuozów, Liszta czy Rachmaninowa. Ale wobec tego cudu zwanego Axlem zdał sobie

sprawę, że jeśli odnosi te wszystkie zwycięstwa, to przez zaciętość, przez pracę. Chris wiedział tylko to, czego można się nauczyć, Axel zaś wiedział to, czego nie można się nauczyć. Gdy solista wychodzi na scenę, nie wystarczy, żeby grał dobrze; musi grać szczerze; oczywiście Axel grał szczerze; Chrisowi udawało się to tylko przez ćwiczenie, refleksję, naśladownictwo.

Zaczął drżeć, choć słońce rozgrzało tę tajlandzką wyspę do temperatury trzydziestu pięciu stopni. Było to drżenie ze zniecierpliwienia: niech już wreszcie Axel przestanie go epatować swoją świetnością, a przede wszystkim niech już nadejdzie dalszy ciąg zawodów.

Staż nazwany „Music and Sports in Winter” dawał uczniom konserwatoriów, wykształconym amatorom lub przyszłym profesjonalistom, możliwość połączenia rozrywki i aktywności fizycznej z doskonaleniem gry na instrumencie. O ile każdy przez dwie godziny dziennie miał do swojej wyłącznej dyspozycji nauczyciela instrumentu, o tyle później zbierali się na wspólne muzykowanie i uprawianie sportów. Po żaglach, nurkowaniu, rowerach, biegach, wkrótce, na zakończenie pobytu, został zaplanowany rajd, w którym pierwszą nagrodą była tygodniowa wizyta u Filharmoników Berlińskich, jednej z najwspanialszych orkiestr świata.

Axel zaczął grać drugą część. Chris zawsze uważał, że jest ona słabsza, brak jej harmonii, i ucieszył się na myśl, że Axel się na niej potknie, urok pryśnie, audytorium się nim znudzi. Próżne nadzieje. Axel nadawał dźwiękom wyraz gniewu, buntu, furii, dzięki którym utwór nabierał kształtu i sensu. Dzieło Albana Berga, które w pierwszej części przedstawiało „anioła” – zmarłe dziecko – w drugiej odmalowywało ból rodziców.

- Niesamowite! Jest lepszy niż wzorcowe nagrania!

Jak ten dwudziestoletni chłopak mógł przewyższać wszystkich Ferrasów, Grumiaux, Menuhinów, Perlmanów i innych Sternów?

Wzniosły koncert zakończył się przywołaniem wierzchołkiem smyczka chorału Bacha, który wyzwał przekonanie, że w obliczu ostateczności wszystko, nawet tragedia, jest uzasadnione – wyznanie wiary zaskakujące u modernistycznego kompozytora, które jednak za sprawą Axla stało się równie oczywiste, co wzruszające.

Publiczność wyraziła entuzjazm, bijąc brawo aż do bólu rąk, tak jak członkowie orkiestry, stukający w pulpity. Zażenowany Australijczyk, przekonany, że sposób jego gry nie jest widoczny w muzyce Albana Berga, uważał za niestosowne, że go oklaskiwano, jego, zwykłego wykonawcę. Ukłonił się niezgrabnie, ale nawet w tej niezręczności był wdzięk.

Chris musiał wstać, tak jak jego sąsiedzi, którzy urządzili Axlowi owację na stojąco; zagryzł wargi, rzucając okiem wokół siebie: skrzypkowi udało się zachwycić zupełnych ignorantów – plażowiczów, turystów, tubylców – dziełem dodekafonicznym! Przy trzecim wywołaniu Axla na scenę wyczyn skrzypka stał się dla niego nie do zniesienia; wśliznął się pomiędzy podniecone audytorium, wyszedł z zaimprovizowanej pod palmami muszli koncertowej i skierował się w stronę swojego namiotu.

Po drodze spotkał Paula Browna, nowojorczyka, organizatora tych międzynarodowych sesji.

- No i jak, małemu Cortot podobał się koncert?

Paul Brown nazywał go „małym Cortot”, bo Chris był Francuzem i pianistą; a na amerykańskich uniwersytetach Cortot tradycyjnie symbolizował francuskiego pianistę.

- Axel zagrał utwór, za którym nie przepadam.

- Wygląda na to, że jesteś zły, że składasz broń pod przymusem. Można pomyśleć, że nie masz ochoty ani docenić Berga, ani podziwiać Axla.

- Podziwianie nie wychodzi mi najlepiej. Wolę wyzwanie, współzawodnictwo, zwycięstwo.

- Wiem. Axel i ty jesteście przeciwieństwami. Jeden się uśmiecha, drugi poci. Ty – wojak, on – zen. Ty postrzegasz życie jako walkę, Axel zaś idzie naprzód, nie wyobrażając sobie najmniejszego niebezpieczeństwa.

Paul Brown przyjrzał się Chrisowi. Był to dziewiętnastolatek o ciemnych oczach, płowej czuprynie, mocnym ciele, jakby pozbawionym przeszłości, butny niczym hołubiony przez matkę syn; nosił okulary poety i spiczastą, męską bródkę, przyciętą nożyczkami, jakby chciał, aby traktowano go z szacunkiem należnym dojrzałości.

- Kto ma rację? - zapytał Chris.

- Obawiam się, że ty.

- Ach tak...

- Tak, nie bez przyczyny jestem Amerykaninem, mój mały Cortot. Niewinność i zaufanie to piękne cechy, ale nie sprawdzają się w dzisiejszym świecie. Żeby zacząć karierę, trzeba mieć talent, ale by ją ciągnąć, trzeba determinacji, ambicji i zawziętości. A ty masz właśnie taką mentalność!

- O! Według ciebie będę grał lepiej niż Axel?

- Tego nie mówię. Nikt nie będzie grał lepiej niż Axel. Za to przypuszczam, że zrobisz większą niż on karierę.

Za tą uwagą krył się duży dystans, nawet oskarżenie, ale Chris postanowił zapamiętać tylko komplement. Uderzając się w czoło, rozbawiony Paul Brown zawołał:

- Kain i Abel! Gdybym miał wam dwóm nadać nowe imiona, to chyba właśnie te. Dwaj bracia o przeciwnych charakterach: twardy Kain i łagodny Abel.

Zachwycony sobą Amerykanin o okrągłej twarzy przyglądał się Chrisowi, spodziewając się jakiegoś komentarza. Ale Chris tylko wzruszył ramionami i rzucił, ruszając dalej w swoją stronę:

- Zostańmy lepiej przy małym Cortot. I mam nadzieję, że „mały” odnosi się tylko do mojego wieku...

W ostatnią niedzielę rano Chris wstał z łóżka z silnym uczuciem zniecierpliwienia: nie mógł spać, miał potrzebę działania, czuł, że świerzbią go mięśnie na samą myśl o zawodach.

Poprzedniego dnia bał się, że końcowy rajd go ominie, bo rodzice obwieścili mu, że we wtorek rano będzie miał przesłuchanie przed ważną komisją medialną w Paryżu. Rozsądek nakazywał wyjechać natychmiast po otrzymaniu tej wiadomości, ponieważ musiał dotrzeć statkiem do wybrzeża, dostać się do Bangkoku – cztery godziny drogi – a potem gnić pół doby w samolocie, aby przelecieć pół globu; i nawet w takim przypadku nie będzie miał kiedy przyzwyczać się do zmiany czasu we Francji. Ale Chris porzucił to zdroworozsądkowe rozwiązanie, przeanalizował jeszcze raz możliwości przesiadek i w sposób akrobatyczny ocalił udział w zawodach, dochodząc do wniosku, że może wypłynąć w niedzielę wieczorem.

Dlaczego brał na siebie taki stres? Nagroda nie interesowała go wcale, ponieważ dla pianisty tygodniowe uczestnictwo w próbach orkiestry,

choćby nawet berlińskiej, oznaczało niewiele okazji do koncertowania, nie, on chciał walczyć, stanąć naprzeciw Axla, odnieść zwycięstwo nad Australijczykiem, nie chciał wyjeżdżać, zanim mu nie dowiedzie, że jest lepszy, rozłoży go na łopatki.

Przy śniadaniu przesadził ławkę przy wspólnym stole i usiadł naprzeciw skrzypka, który podniósł nos znad talerza.

- Cześć, Chris - zawołał Axel - miło cię widzieć.

Axel uśmiechał się z nieokreśloną czułością, na jaką pozwalał kształt jego powiek, z prawie kobiecym oddaniem, które pustoszyło serca kobiet i burzyło spokój mężczyzn. Równocześnie otwarte spojrzenie jego niebieskich oczu, tak bardzo zwróconych do innych, sprawiało wrażenie, że patrząc, przeświała rozmówcę.

- Cześć, Axel. Nie możesz się doczekać?

- Dlaczego? A co się dzieje? Ach, tak, rajd...

Gdy się śmiał, odrzucał głowę do tyłu i pokazywał szyję, jakby rozmówca miał go w nią pocałować.

Chris nie mógł sobie wyobrazić, że Axel obsyjnje nie czeka na te zawody. „Kpi sobie ze mnie! Symuluje lekceważenie, ale w rzeczywistości obudziliśmy się dzisiaj tylko po to”.

- Zastanawiam się - ciągnął Axel - czy w ogóle wystartować. Mam raczej ochotę poczytać po południu na plaży, mam zaczęte partytury i książkę.

- Nie możesz się do tego stopnia odcinać od innych! - oburzył się Chris. - Wszystkim się podobało, gdy grałeś solo, ale takie solo na plaży może zostać źle zinterpretowane.

Axel poczerwieniał.

- Masz rację, przepraszam, przyjdę. Dzięki, że mnie sprowadziłeś na dobrą drogę. Czasem zachowuję się potwornie, myślę o sobie zamiast o grupie.

„Pomyśl przede wszystkim o mnie, bo naprawdę zadam ci bobu!” - mruknął Chris pod nosem.

Turniej zaczął się o dziewiątej. Kandydaci dostali rowery, plan wyspy i pierwszą wskazówkę: po sygnale startu mieli się poruszać według wskazań kolejnych znaków - każdy z nich dostarczał informacji, jak dotrzeć do następnego - aż do końcowej kryjówki, w której znajdował się skarb. Ten, kto złamie zamek kufra piratów, zdobędzie monetę z numerem jeden, następny z numerem dwa i tak dalej.

- Niech wygra najlepszy! - wrzasnął purpurowy na twarzy Paul Brown, aż żyły na szyi mu nabrzmiały.

Wystrzał wypełnił hukiem turkusowe niebo.

Chris ruszył, angażując się od początku z całą energią, jak na ostatniej prostej, zastanawiając się, pedałując i rozpychając się łokciami.

W trzech etapach dotarł do czoła peletonu. Zagadki i lokalizacja kryjówek wydawały mu się dziecinnie proste, jednak nie pozwolił sobie ani na zwolnienie, ani na mniejszą presję.

Złościł go jeden szczegół: deptali mu po piętach dwaj uczestnicy, Bob i Kim, Teksańczyk i Koreańczyk. Zrzędził, czując się upokorzony: „Nie biorę udziału w tym wyścigu, żeby rywalizować z tymi dwoma! Tubista i perkusista!”. Jak wszyscy muzycy, Chris miał ustaloną hierarchię: na szczycie wielcy soliści, pianiści, skrzypkowie i wiolonczeliści; trochę niżej fleciści, altyści, harfciarze i inni klarnciści; na samym dole lokajstwo, ci, którzy grali na ubogich instrumentach o ograniczonych możliwościach, instrumentach komplementarnych, takich jak tuba czy perkusja!

„Dlaczego Axel wlecze się w peletonie?”

Próbował zrozumieć jego pobudki, porównując go do siebie, i wyobrażał sobie, że Axel specjalnie się powstrzymuje, zabierając się do sprawy ślamazarnie, aby uniknąć konfrontacji z Chrisem; działając na zwolnionych obrotach, Axel mógł sobie wyobrazić, że gdyby chciał, to by zwyciężył.

– Łajdak! Oszust! Dupek! – zrzędził Chris, jadąc na stojąco na swoim rowerze, coraz bliżej budzącego strach wybrzeża.

Przy dziesiątym znaku, odwróciwszy się, Chris stwierdził, że Axel dogonił Boba i Kima.

- No, wziął się do roboty!

Jakość przeciwników nadaje wartość zawodom i cenę zwycięstwu; widząc, że Axel zaczyna deptać mu po piętach, Chris poczuł przyływ energii.

Choć słońce świeciło w zenicie, w ostatnie kilometry włożył wszystkie swoje fizyczne i mentalne siły. Coraz trudniejsze do odczytania wskazówki spowolniły Boba i Kima, odsunęły grupę daleko do tyłu; wkrótce zostali tylko oni dwaj, Australijczyk i on; wyścig stał się wreszcie pojedynkiem, jakiego życzył sobie Chris.

- Rozgrywka, przygrywka... ten stary głupek Pastella od muzyki kameralnej uważał, że nie odróżniam jednego od drugiego! „Przygrywka to wstęp do dzieła, panie Chris; rozgrywka to już taktyczne posunięcia”, powtarzał ten ramol. Nic dziwnego, że gnął za biurkiem nauczyciela, nie mając kontaktu z publicznością, nie dotarło do niego, że wszędzie chodzi o rozgrywkę, zawsze!

Zresztą, czy w ostatnią środę, gdy Paul Brown zażądał, żeby Axel i Chris wykonali razem sonatę Francka na skrzypce i fortepian, nie doszło właśnie do rozgrywki między nimi? Po kilku taktach, gdy Chris zrozumiał, że Axel zabiera się do dzieła ze swobodą, świeżością, jakby sam je tego ranka skomponował, postanowił ściągnąć uwagę na siebie, pokazując zakres swoich pianistycznych możliwości, mnożąc ozdobniki, akcentując

zmiany nastroju, grając bardzo żywo, gdy należało grać żywo, a potem bardzo delikatnie, bardzo marzycielsko, bardzo gwałtownie, przesadnie, z manierą, umyślnie nadinterpretując dzieło Francka, tak aby na tym tle gra Axla wypadła nieśmiało, bez wigoru. Zabieg się udał: komplementy zebrał Chris. Tylko Paul Brown sceptyczną miną dał Francuzowi do zrozumienia, że przejrzawszy jego taktykę, zupełnie jej nie ceni.

Dwudziesty słupek! Chris wydedukował z symboli, że skarb powinien znajdować się pod wodą, pod rafą koralową. Wreszcie wykorzysta miesiąc treningów.

Wyprzedzając Axla o cztery minuty, dotarł do wybrzeża, ukrył rower w krzakach, po czym pobiegł aż do zatoczki, na którą wskazywała mapa.

Zobaczył tam budkę ze sprzętem do nurkowania, na którym było widać skrót oznaczający „Music and Sports in Winter”.

– Świetnie, nie myliłem się.

Co dziesięć sekund upewniał się, że ciągle ma przewagę, rzucając ukradkowe spojrzenie w tył, dopasował kamizelkę, przymocował sobie na plecach butlę z tlenem, założył płetwy i wyregulował maskę.

Zjawił się Axel. Chris, jakby go ktoś ukłuł, rzucił się do wody, chcąc pozostać na czele, i długimi pociągnięciami płetw popłynął w stronę koralowców.

- Według moich obliczeń to musi być na wschodzie.

Posuwał się naprzód, kołysząc się na powierzchni. Odruchowo, po stu metrach, odwrócił się, aby zobaczyć, jak idzie Axlowi, który właśnie ruszył na zachód.

- Na zachód? Dlaczego on płynie na zachód?

Gdyby chodziło o kogoś innego, nie zwróciłby na to uwagi, ale ponieważ znał rozsądek Axla, w jego gotującym się z wysiłku umyśle pojawiła się wątpliwość.

Poruszając nogami, zastanawiał się; ułożył ponownie układankę ze wszystkich wskazówek i nagle się zatrzymał:

- On ma rację!

Wściekły zmienił kierunek, wydłużył ruchy i próbował jeszcze przyspieszyć, tak że naokoło uciekały przerażone ryby. Być może miał jeszcze szansę wygrać, bo Axel płynął tuż przy skałach, a on - otwartymi wodami akwenu.

Zdawało mu się, że obok ławic koralii, w dość dużej odległości, na podwodnej łące dojrzał niezwykle kształt. Skrzynia? Przyspieszył, ryzykując uduszenie albo zerwanie ścięgna.

Axel, po jego prawej stronie, okrążył koralowiec niezwyklego kształtu, po czym wśliznął się pomiędzy ogromne masywy o ostrych brzegach. Czy zobaczył jakieś niebezpieczne zwierzę, które

zmusiło go do nagłego odwrotu? Zasłabił? Oparł się, nieświadomie, o chwiejną skałę? Część korałowca osunęła się, kolejna też, i sylwetka nurka zniknęła w chmurze szczątków.

Chris zawahał się. Co robić? Płynąć do niego? Pomóc mu? Tego go uczono na kursie nurkowym. Równocześnie chciał mieć pewność, że brunatna plama, tam na lewo, na głębokości dziesięciu metrów, była rzeczywiście skrzynią piratów.

Mimo to, stosując się do zasad, zbliżył się do wzburzonej wody, gdzie Axel wymachiwał gwałtownie rękami. Po oberwaniu się skały jego nogi zaklinowały się w szczelinie. Widząc Chrisa, Axel zaczął mu pokazywać znaki alarmowe.

- OK, OK, pomogę ci - wytłumaczył na migi Chris - ale najpierw wezmę ze skrzyni dowód mojego zwycięstwa, monetę z numerem jeden.

Axel zaprotestował, przewrócił oczami, powtórzył wołanie o pomoc.

„Nie, stary, ja się na to nie nabiorę! - pomyślał Chris, zbaczając w lewo. - Znam ten numer: gdy ci pomogę, uwolnisz się, odepchniesz mnie i rzucisz się do skrzyni, żeby mi ukraść monetę. Zresztą, racja, nie mogę mieć ci tego za złe, zrobiłbym to samo. Ale o ile mam wybór, najpierw się obsłużę. Na razie, numerze drugi!”

Gdy się oddalał, Axel jeszcze gwałtowniej machał ramionami, jego twarz wykrzywił grymas, krzyczał, ryzykując, że się utopi.

- Ach, więc jest normalny - szydził Chris, rzucając okiem na rywala - dostaje histerii, bo przegrywa.

Nie spiesząc się, nie bez wysiłku otworzył ciężką pokrywę, pod którą kryły się mosiężne monety, poszukał tej z numerem jeden, włożył ją do kieszeni swojej kamizelki, po czym powoli, zadowolony, wrócił do Axla.

Kilka metrów od niego zauważył coś dziwnego: znad pleców Axla, a nie z maski, wydobywały się bąbelki, a ciało już się nie wilo. Co się stało?

Przebiegł go dreszcz trwogi. A jeżeli przewody z tlenem podczas upadku zostały przecięte? Chris kilka razy szybko i mocno machnął płetwami, ogarnięty paniką. Za późno: Axel, z zamkniętymi powiekami, szeroko otwartymi ustami, bez życia, był nieruchomy. Skały, w których ugrzęzły jego nogi, przytrzymały go na dnie.

W tym momencie Chris spostrzegł w oddali cień. Kim węszył w poszukiwaniu ostatniej kryjówki.

Pianista myślał szybko: albo zostanie i będzie musiał wytłumaczyć, dlaczego wcześniej nie pomógł Axlowi, albo dyskretnie się oddali, pozwalając Kimowi odkryć trupa.

Porzucając dalsze kalkulacje, wpłynął w rafy, żeby nie zostać zauważonym przez Kima, który na razie kierował się w złym kierunku. Przedostał

się aż do plaży, schował za palmami, zrzucił sprzęt, obserwując równocześnie morze i ziemię, gdzie, jak się obawiał, w każdej sekundzie mógł pojawić się następny zawodnik.

Potem pobiegł do swojego roweru, zadowolony, że ukrył go przed wzrokiem Kima, który nie będzie mógł stwierdzić, że Chris znajdował się na miejscu zbrodni, i popedałował z powrotem w piekielnym tempie. Bez tchu, z sercem bijącym, jakby chciało wyskoczyć, wrócił do obozowiska i triumfalnie przekroczył linię mety.

Stażyści, którzy nie uczestniczyli w rajdzie lub zrezygnowali w trakcie, gratulowali mu. Paul Brown, spalony słońcem rudzielec z perlącym się od potu czołem i zapoconymi pachami, podszedł do niego, śmiejąc się:

- Brawo, Chris. Nie jestem zaskoczony. Sta-
wiałem na ciebie albo Axla.

- Dziękuję.

- Kto jest drugi?

- Nie wiem. Ostatnim razem, gdy go widzia-
łem, był to Kim. W pewnym momencie widziałem,
jak Axel się przybliżył, a potem cofnął. Według
mnie o drugie miejsce walczyli Kim i Axel, ale da-
leko w tyle. W ostatnim etapie, gdy wypływałem
z zatoki, żaden z nich jeszcze do niej nie dotarł.

Wewnętrznie pogratulował sobie tego fortelu:
oto ładne kłamstewko, które uwiarygodni jego

nieobecność na miejscu, gdzie oberwała się skała, i uwolni go od wszelkiej odpowiedzialności. Paul skinął głową, po czym dał znak jednemu ze swoich asystentów, aby przyniósł bagaże.

- Wiesz, mój mały Cortot, że musisz szybko wyjechać, może zanim inni wrócą?

- No pewnie, że wiem; a niby dlaczego, twoim zdaniem, byłem pierwszy?

- Bierz torby, łódź czeka. No więc - brawo! Życzę ci wspaniałego życia. Co do wspaniałej kariery, nie muszę się powtarzać, wiem, że taka będzie.

Uściskał młodego człowieka po amerykańsku, przyciskając go do siebie i poklepując rękami po plecach. Chris postanowił, zdegustowany jego sflaczałym brzuchem, że w wieku Paula nie pozwoli sobie tyć.

- Cieszę się, że cię spotkałem, Chris.

- Cieszę się, Paul... cieszę się.

Trudno mu było nawet powtórzyć słowa Paula, tak spieszno mu było wyjechać.

W ciągu kolejnych godzin, na łodzi, w samochodzie, w samolocie, roztrząsał w kółko kilka zatrważających mu podróz myśli: sprawdzić, czy ułożył dobry plan, odpowiedzieć na zarzuty, wyobrazić sobie najgorsze i znaleźć jakieś wyjście. Nie bardzo martwił się Axlem, myślał o sobie, tylko o sobie, o swojej ewentualnej winie albo raczej o tym, co można by mu, w złej wierze, zarzucić.

Gdy znalazł się w Paryżu owego 4 września 1980 roku, nie zmrzywszy oka, i przeszedł przez kontrolę paszportową, unikając jakichkolwiek pytań, uznał, że jest uratowany. „Nie przyjadą mnie tu szukać, wszystko zostało za mną. Hurra!” Uciekł do toalety, aby tam odtańczyć taniec radości, jakby znów wygrał.

Przed ruchomą taśmą wypływającą bagaże przyjrzał się życzliwie ludziom, czując, że oto do nich wrócił, oczarowany bielą ogromnych ścian, marmurami na podłodze, chromowanymi wykończeniami bez skazy, ażurowym sufitem, przez który sączyło się srebrzyste światło Paryża. Nagle za wysokimi szybami, w hallu ogólnym, zauważył swoją matkę. Czekwała na niego niecierpliwie. Zaniepokojona opóźnieniem, zatrzwożona tym, że nie widzi swojego jedyne go dziecka, rzuciła wokół siebie rozpaczliwe spoj rzenia. Jaki smutek! Jaka miłość kryła się za tym wzburzeniem...

Zadrzał.

W Sydney pewna matka czekająca w takim samym poruszeniu dowie się, że jej syn zginął.

Porażony oczywistością tej myśli, pojął wtedy, że Axel nie żyje, a on, Chris, jest jego zabójcą.

*

W czerwcu 2001 roku pan i pani Beaumont, sprzedawcy dewocjonalistów, nie mogli się nadziwić, że są w Szanghaju.

Co chwilę podnosili głowy, odwracając zachwycone spojrzenie od tekowego stołu, na którym leżały artykuły ofertowe, aby przez szklaną ścianę o lekko przydymionych szybach kontemplować oszałamiające, dwudziestomilionowe chińskie miasto, ciągnące się jak okiem sięgnąć nagromadzenie biurowców i budynków mieszkalnych, najeżone antenami, przeżarte reklamami złożonymi z ideogramów, jak kamienny dymiący las, w którym drapacze chmur, niczym szable, walczyły z obłokami.

- Widzisz, kochanie, ten błyszczący budynek, w kształcie rakiety? Co najmniej pięćdziesiąt pięter, prawda?

- Co najmniej - potwierdziła pani Beaumont.

Panna Mi, soczystą francuszczyzną o krótkich, łagodnych dźwiękach, przywołała do porządku dwójkę handlowców:

- Czy mogę podsumować państwa zamówienie?

- Proszę - odpowiedział swojej dostawczyni pan Beaumont, jak król do służby.

- Proszę - dodała pani Beaumont, która nabrała zwyczaju powtarzania jednego słowa z ostatniego zdania wypowiedzianego przez jej męża, aby mu się nie sprzeciwić.

Panna Mi po kolei wskazywała piórem w swoim notesie każdą linijkę zamówienia z powagą klasowej prymuski:

- Wybrali więc państwo kółko do kluczy ze świętą Ritą w promocji (piętnaście tysięcy egzemplarzy z metalu, piętnaście tysięcy z żywicy), tablicę rejestracyjną ze świętą Ritą (cztery tysiące egzemplarzy), różaniec złożony z dwudziestu czterech paciorków z medalikiem z wizerunkiem świętej (pięćdziesiąt tysięcy), a także kubek (cztery tysiące), kieliszek do jaj (cztery tysiące), lichterze (pięć tysięcy) i czarki (dziesięć tysięcy). Dodaję do tego, na próbę, w cenie jednego dolara, setkę śliniaków z gąbki ze świętą Ritą dla beznadziejnie brudzących się niemowląt. Nie skuszają się państwo na wspianą statuetkę świętej Rity, wysokości sześciu centymetrów, którą można ustawić w samochodzie? Ma podstawę z taśmą samoprzylepną, dzięki której można ją wszędzie przymocować.

- Ile?

- Cztery dolary. Niska cena, ale fantastyczna jakość. Posrebrzany metal.

Panna Mi wypowiedziała słowa „posrebrzany metal” z taką emfazą, jakby obwieszczała, że chodzi o czyste srebro.

- Niech nam pani da tysiąc, czasem spotykamy bardzo wierzących kierowców - zgodził się pan Beaumont.

- A proporczyki?

- Proporczyki już nie idą we Francji.

Pani Beaumont rzuciła nagle:

- A pudełka na tabletki?

- Pudełka... co?

- Pudełka na tabletki! Dla chorych! Zwolennicy świętej Rity, świętej od niemożliwości, to często ludzie, którzy się na coś przewlekłe leczą. Moim zdaniem będą sobie wrywali takie pudełka.

- Niech pani doliczy czterdzieści tysięcy. I na tym zamkniemy sprawę.

Panna Mi wręczyła im zamówienie, które pan Beaumont podpisał, szkarłatny na twarzy, świadomy jego wagi.

- Może będziemy mieli zaszczyt przywitać się z panem Langiem?

- Oczywiście - zgodziła się panna Mi. - Prezes to państwu obiecał.

- Od czasu gdy robimy interesy... - ciągnął pan Beaumont. - Cieszę się, że będę mógł uścisnąć rękę pana Langa.

- Tajemniczy pan Lang - szepnęła pani Beaumont.

Panna Mi powstrzymała się od odpowiedzi; uważała, że pan Lang, jej szef, nie ma w sobie nic tajemniczego, przeciwnie, jest to bez wątpienia największy łajdak, z jakim się kiedykolwiek zetknęła!

Połączyła się przez telefon z sekretariatem prezesa, po czym zostawiła Beaumontów samych.

Piali z zachwytem nad panoramą, gdy za nimi pojawił się mężczyzna.

– Dzień dobry – powiedział piskliwym głosem.

Państwo Beaumont odwrócili się, gotowi roz płynąć się w uprzejmościach, ale widok osobnika mierzącego ich wzrokiem z wózka inwalidzkiego powstrzymał ich zapędy.

Pan Lang, w ciemnym ubraniu z tłustymi plamami, z trzydniową brodą zarastającą jego chorobliwą cerę, ukrył oczy za czarnymi okularami, włosy – jeżeli jakieś mu jeszcze zostały – pod bezkształtnym kapeluszem, a uczucia – jeżeli jakieś miał – za maską twardego. Lewą ręką prowadził wózek elektryczny; nie było wiadomo, co mu się przydarzyło, można było tylko dostrzec, że jego nogi i prawe ramię są zniekształcone, chude, brzydkie. Wyglądał nie jak człowiek, tylko jak postać graffiti, zarys, szkic człowieka, ktoś przegrany.

– Chcą państwo zobaczyć naszą fabrykę?

Pani Beaumont, z twarzą wykrzywioną grymasem, pomyślała, że on robi to specjalnie, tak, specjalnie mówi takim skrzypiącym głosem, bezdźwięcznym, tak nieprzyjemnym jak skrobanie paznokciem po szybie.

– Chcą państwo? – nalegał Lang, rozdrażniony milczeniem Francuzów.

Pan Beaumont otrząsnął się, jakby się obudził.

- Z przyjemnością.

- Przyjemnością... - wybełkotała pani Beaumont.

Pan Lang natychmiast podjechał do windy, co było zaproszeniem, aby szli za nim. Beaumontowie wymienili spojrzenia. Nie potrafili zachowywać się normalnie, byli zmrożeni, ogarniał ich rosnący niepokój, nie czuli nawet współczucia, jakie zwykle budzili w nich chorzy, odgadywali u Langa tak pełną złości niechęć, że mieli mu za złe jego ułomność, a nawet mu zarzucali, że to prowokacja dodana do arsenału jego produktów, umyślna agresja, wyrafinowane zuchwalstwo.

W podziemiach Lang wynurzył się z windy wściekły, że przez dwadzieścia pięć pięter musiał oddychać tym samym powietrzem co ci turyści, i wskazał halę oświetloną neonówkami, gdzie krzątała się przy pracy setka chińskich robotników:

- Oto miejsce, gdzie produkujemy nasz detal.

- Dlaczego święta Rita? - zapytał pan Beaumont z pełną namaszczenia uprzejmością.

Puścił do swojej małżonki oko, ze zwycięską miną, bo był przekonany, że to zręczne pytanie pozwoli Langowi wytłumaczyć, skąd wzięło się jego kalectwo, i tym samym trochę się ucłowieczyć.

Ale ten tylko się odciął:

- Na to był popyt.

- Słucham?

- Tak, Jezus i Matka Boska zdominowali rynek. W Europie święci nie są już modni, z wyjątkiem świętej Rity i świętego Judy, jeżeli popracuje się nad promocją.

- Święty Juda?

Pan i pani Beaumont nigdy nie słyszeli o świętym Judzie ani nie sprzedawali przedstawiających go przedmiotów.

Lang ryknął, rozdrażniony taką ignorancją:

- Święty od parkowania! Świętego Judę trzeba wezwać, gdy nie można znaleźć miejsca, żeby zaparkować; jest mało znany i ma czas, żeby się tym zająć. Bardzo szybko rozwiązuje problem.

- Ach tak? To naprawdę działa?

- Pan żartuje! Mówię panu to, co trzeba opowiedzieć, żeby go sprzedać. Panna Mi tego nie zrobiła?

- Nie.

- Idiorka! Jutro wyleci z pracy.

Pani Beaumont spiekła raka, dojrzawszy, co wyjmuje z formy robotnik stojący dokładnie przed nią.

- Ale... ale... ale...

- Tak, to też produkujemy - potwierdził pan Lang. - Akcesoria pornograficzne. Interesuje to państwa?

Teraz z kolei pan Beaumont podszedł do plastikowego fallusa ułożonego pomiędzy pośladkami silikonowej kobiety.

- Och! To odrażające!

- Błąd - wyjaśnił Lang. - To są świetne produkty, równie dobre jak nasze akcesoria religijne. Gdy ma się odpowiedni sprzęt do wytapiania, to, wiecie państwo, w grę wchodzi te same techniki i te same materiały.

- Ależ to ubliżające! I pomyśleć, że nasze święte Rity powstają obok tych... tych...

- Święte Rity, jak i my wszyscy, proszę pana! Pan się zajmuje tylko hurtem dewocjonaliów? Szkoda, bo gdy się już raz weszło do tego biznesu...

Zadzwoił telefon. Lang wysłuchał tego, co mu mówiono, nie odpowiedział, rozłączył się, po czym rzucił, nie przejmując się Beaumontami:

- Jadę na górę.

Drzwi windy zamknęły się za Langiem tak szybko, że Francuzi ledwo zdążyli wydukać pożegnanie.

Gdy dotarł do biura, wtoczył się wózkiem przed swojego sekretarza, dwudziestopięcioletniego Koreańczyka, chudego i wysokiego jak tyczka.

- No więc?

- Wpadli na jego ślad, proszę pana.

Po raz pierwszy sekretarz zobaczył, jak jego przełożony się uśmiecha: usta pana Langa rozdzieliły się, pozwalając, aby z gardła wydobył się szyderyczy śmiech.

– Wreszcie!

Przekonany, że spodoba się tyranowi, sekretarz przekazał wiadomości, którymi dysponował:

– Nie wykonuje zawodu, w którym badaliśmy. Wskazał nam pan muzykę klasyczną, prawda?

– Tak, a co robi? Przerzucił się na rozrywkę?

– Jego działalność nie ma już nic wspólnego ze sztuką. Oto broszura z miejsca, gdzie pracuje.

Pan Lang wziął dokument. On, zwykle tak nieprzenikniony, przez sekundę nie mógł powstrzymać unoszących się ze zdziwienia brwi.

– Jest pan pewien, że to on?

– Całkowicie.

Lang kiwnął głową.

– Chcę tam pojechać. Natychmiast. Niech mi pan zarezerwuje samolot.

Sekretarz wśliznął się za biurko i podniósł słuchawkę. Gdy wykręcał numer, Lang rzucił w jego stronę niedbałym tonem:

– Niech pan wyrzuci pannę Mi, jeszcze dziś. Niekompetencja zawodowa.

Sekretarz połączył się z agencją podróży.

– Chciałbym zarezerwować bilet do Francji. Miasto Annecy... Nie ma bezpośredniego lotu? Jest pani pewna? Trzeba lecieć z Szanghaju do Paryża, potem z Paryża do Grenoble i wynająć samochód do Annecy? Albo z Szanghaju do Genewy, a dalej taksówką?

Przykrył dłonią słuchawkę i zapytał szefa:

- Odpowiada panu?

Król rynku religijnego i porno skinął głową.

- Dobrze - ciągnął sekretarz. - Szanghaj-Genewa. Jak najszybciej. W biznesklasie. Na nazwisko Lang. Axel Lang.

Axel, manewrując wózkiem w stronę okna zanurzonego w światło dziennym, obracał na wszystkie strony wręczony mu przez sekretarza prospekt i próbował dojrzeć na maleńkich zdjęciach człowieka, którego szukał od miesięcy, choć jego wspomnienie dręczyło go od dwudziestu lat.

Terapeuta Sunil, tłusty olbrzym, były mistrz judo, przerwał te obserwacje, klaszcząc w dłonie.

- Pora na ćwiczenia, proszę pana.

Kilka minut później, natłuściwszy skórę pacjenta, masażysta zaczął codzienny zabieg, niezbędny w rehabilitacji Axla. Na podłodze, pod stołem do masażu, Axel ułożył ulotkę, której przyglądał się teraz przez dziury zrobione na nos i oczy; uczył się jej na pamięć, podśpiewując.

- Chyba jest pan w lepszym humorze niż zwykle.

„Po co ten kretyn wtrąca się w nieswoje sprawy? - zrzędził w duchu Axel. - Co mu do tego, że dzisiaj jestem zadowolony, a w inne dni w złym humorze? Dureń, jest masażystą, nie psychiatrą!”

Po pięciu minutach, jako że Axel znów zaczął nucić, były dżudoka pozwolił sobie znów zapytać

z sympatią, przypuszczając, że pacjent chciałby podzielić się swoimi uczuciami:

- Co pana tak cieszy, panie Lang?

- Obietnica. Przyrzekłem sobie, że gdy zarobię pierwszy miliard, spełnię jedno marzenie. Moje wielkie marzenie.

- Ach tak? Gratuluję. Mam na myśli miliard.

- Boli mnie, jak mnie tak masujesz, głupku.

- Przepraszam. A jakie to marzenie, proszę pana?

- Pojechać do Francji.

- Rozumiem...

- Do Annecy.

- A to już nie znam...

- Ja też nie. Do willi Sokrates.

- Willa Sokrates? Co to jest? – zapytał masażysta monotonnym głosem. – Restauracja? Centrum talasoterapii? Pierwszorzędna klinika?

- Nic z tych rzeczy. Po prostu miejsce, gdzie się zemszczę. Waham się między torturami a zabójstwem.

- Ależ pan zabawny, panie Lang!

Śmiech olbrzyma brzmiał fałszywie; w jego wybuchu było więcej głupoty niż radości. Axel pomyślał, że Sunil masuje go już od pół roku i że nie zniesie dłużej pogody byłego zapaśnika, dotyku jego wilgotnych dłoni i durnych rozmów z nim. Jutro, przed wyjazdem, zwolni go.

Uspokoił się i znów zaczął się przyglądać zdjęciom z broszurki, do których pozowali dorośli ludzie, obejmując się za ramiona. Który z tych mężczyzn to on? Gdzie był? Jak mógł teraz wyglądać Chris?

Z głośnika wydobywały się dźwięki koncertu skrzypcowego *Pamięci anioła*, dyskretne, nieśmiałe, ukradkowe. Raczej wspomnienie muzyki niż rzeczywistość muzyka. Chris uważał, aby w swoim pokoju na poddaszu nigdy nie puszczać muzyki za głośno, bo w tym wielkim drewnianym domu, jakby zawieszonym na zboczu góry, dźwięki swobodnie przepływały między pomieszczeniami; nie chciał, aby któryś z jego nastoletnich podopiecznych w willi Sokrates zaatakował go, krytykując jego gust; nie dlatego, żeby się go wstydził, ale dlatego, że to dzieło należało do jego prywatnego życia, a swoim prywatnym życiem nie dzielił się z nikim.

Tani sprzęt wypływał tylko główną linię melodyczną skrzypiec i zlewającą się w dźwiękową magmę partię orkiestry, co mu wystarczało, aby odgadnąć, co to za utwór, obudzić wspomnienia. Chris słuchał tego dzieła tak, jak ogląda się wyblakłe zdjęcie, jakby dzięki niemu budziły się jego marzenia.

Od czasu gdy Axel zginął, nie przestawał o nim myśleć. Na początku było to maleńkie źródełko, niteczka wody w jego pamięci, ale z czasem ten strumyczek nabrał rozmiaru i mocy rzeki. Axel, unieruchomiony w swoim geniuszu, swojej delikatności, doskonałości, zajmował teraz zasadnicze miejsce w życiu Chrisa, niczym ikona, święty, niemal bóg, którego ateusz prosił o radę, gdy przeżywał jakiś dylemat.

Siedząc na krześle przed małym biurkiem, na które padało jeszcze światło dnia, Chris kontemplował swój ulubiony spektakl, krajobraz wciąż odmieniany przez pory roku. Z jego okna na poddaszu widać było więcej wody, więcej nieba niż z ziemi. Okno na nieskończoność? U podnóża stoku, pod czystym niebem, na którym kołowały orły, spało jezioro Annecy. Po jego drugiej stronie, na zboczach, wyrastające pośród sosen domy wyglądały jak kostki drogi na ciemnej łące, powyżej zaś pasły się stada białych szczytów, które z tej odległości wydawały się upiorne.

- Ej, Chris, chodź szybko, mamy problem.

Do pokoju weszła Laura, koleżanka, której chudość podkreślały dzinsy nimfetki i luźna koszulka.

Dołączył do niej. Nic nie mówiąc, aby nie usłyszeli ich pensjonariusze, wpadli do biura dyrektora, jedynego oddzielnego pomieszczenia w willi.

Montignault, założyciel ośrodka, zebrał swoich siedmiu wychowawców i oświadczył im:

- Karim, ten chłopak, który dołączył do nas ostatnio, uciekł. Nikt go dzisiaj nie widział, ani w sypialni, ani w pracowni, ani w stodole.

- Trzeba zawiadomić policję! - zawołała Laura. Montignault zmarszczył brwi.

- Najpóźniej, jak to tylko możliwe, Lauro. Najpierw poszukajmy. Nie jest dobrze posyłać policję na poszukiwanie dzieciaka, który wcześniej miał już z nią za dużo do czynienia. Albo schowa się jeszcze lepiej, albo na nich napadnie, albo jeżeli go złapią, będzie miał do nas pretensję i będzie nas kojarzył z glinami. To by się miało z celem. Stracilibyśmy jakikolwiek wpływ na niego.

Grupa, w tym Laura, zaakceptowała tę uwagę. W tym ośrodku poświęconym młodzieży z problemami - narkomanom, ofiarom przemocy, gwałconym, młodocianym przestępcom - animatorzy, zafascynowani swoją misją, nie podkreślali swojego *ego* i akceptowali to, że mogą się mylić. Bardziej niż oni liczyło się dziecko.

- Spodziewam się, że niektórzy z was nawiązali z nim jakąś więź. Kto go trochę zna?

Chris podniósł rękę.

- Tak, Chris. Daj nam wskazówki.

- Boję się, że może nie chodzić o ucieczkę.

- Co masz na myśli? - zapytał z niepokojem Montignault.

- Karim ma zapędy samobójcze.

Po tej deklaracji zapadła pełna konsternacja cisza. Wychowawcy posiadający specjalne przygotowanie natychmiast usiedli wokół biurka, aby się zastanowić, jakie sposoby mógł wykorzystać Karim, żeby ze sobą skończyć.

Dwadzieścia minut później Chris skierował się w stronę linii kolejowej biegnącej poniżej wili Sokrates. Wybierając kierunek, postawił się na miejscu Karima, chłopca wychowanego w dzielnicy nędzy. Ponieważ pęd do śmierci to działanie regresyjne, którego celem jest powrót do szczęśliwości dzieciństwa, młody człowiek musiał dojrzeć w tym alpejskim krajobrazie, jakże dla niego egzotycznym, miejsce, które przypominałoby mu jego rodzinne miasteczko pod Paryżem. A co może być bardziej uniwersalnego niż tory kolejowe? Taki sam zapach, w mieście i na wsi, mieszanka oleju, węgla, rozkładających się odpadków. Te same tablice nad stalowymi belami. A gdy nadjedzie lokomotywa, takie samo niebezpieczeństwo.

Schodził do przekopu wzdłuż wąskiej rzeczki, która bulgotała, pienila się i mknęła w swoim kamiennym korycie, a na jej powierzchni miejscami

falowała kępka zielonej trawy. Po twarzy smagał go lodowaty wiatr. Bez wątpienia zbliżała się jesień.

Dotarłszy do torów, Chris obejrzał się w obie strony. Nikogo nie zobaczył.

Nagle pomyślał, że coś innego, trochę dalej, mogło przyciągnąć chłopaka: most drogowy nad przekopem kolejowym. Przypominając sobie to miejsce, Chris wyzbył się wszelkich wątpliwości: Karim powinien być tam, czekając na pojawienie się pociągu, aby rzucić się pod jego koła.

Szybkim krokiem, ale tak aby go nikt nie zobaczył, przebiegł kilometr dzielący go od mostu. Miał rację! Na moście spostrzegł sylwetkę człowieka obserwującego horyzont.

Gdy Chris podchodził do niego, Karim stał odwrócony tyłem. Wychowawca odezwał się dopiero w odległości kilku centymetrów.

- Karim, wydaje mi się, że wszystko cię dzisiaj boli.

Chłopak odwrócił się, nie wiedząc, czy powinien być wściekły, że go znaleziono, zaskoczony, że rozpoznaje głos Chrisa, wychowawcy, którego polubił, czy wzburzony tym, co usłyszał.

- Jest ci źle, prawda, jest ci źle? - ciągnął łagodnie Chris.

Karim miał ochotę powiedzieć „tak”, ale jakiegokolwiek przytaknięcie byłoby odpowiedzią, a on nie chciał już nikomu odpowiadać.

- To twoje życie, Karim, zrobisz z nim, co będziesz chciał.

Buntownik miał wrażenie, że Chris czyta w jego myślach.

- Nie chcę ani negocjować twojej decyzji, ani zepsuć tej chwili, którą tu spędzasz. Jest tylko taki problem, że zostanę tu z tobą, a gdy nadjedzie pociąg, nie dam ci skoczyć. Tak, zgoda, jestem upierdliwy.

Karim odwrócił się, zbity z tropu okazany mu zrozumieniem.

- Coś ci zaproponuję, Karim. Postawię ci tam coś do picia.

Wskazał gospodę gdzieś ponad nimi, widoczną, choć małą, czerwony punkcik pośrodku przyprawiającego o zawrót głowy zbocza.

- Pogadamy chwilę. A potem zrobisz, co będziesz chciał.

- Wróć tutaj! - krzyknął Karim, żeby pokazać, że nie jest ani chorągiewką na wietrze, ani jakimś słabeuszem.

- Zgoda - zakończył Chris. - Jeżeli będziesz chciał, wrócisz tutaj i dam ci spokój. Ale przedtem napij się ze mną kawy albo gorącej czekolady.

- Przyrzekasz, że się potem odczepisz?

- Przyrzekam!

Skoro duma chłopca została uszanowana, przynajmniej powierzchownie, schował ręce do

kieszeni i zgarbił się, pochylając głowę, co oznaczało: „Idę z tobą”.

Z wysoka, z tarasu gospody, całą scenę śledził pewien mężczyzna, którego to spotkanie zdawało się bardzo interesować. Gdy zorientował się, że dwie postacie idą w jego stronę, uruchomił swój wózek inwalidzki, wjechał do środka i wcisnął się pomiędzy dwa dźwigary, gdzie, miał nadzieję, będzie niezauważalny.

Gdy weszli do sali z zasłonami i obrusami w czerwoną kratę, w której ościeżnice okien były przystrojone alpejskimi dzwoneczkami, Karim pomyślał, że tylko ekspres do kawy za ladą obitą cynkową blachą i automat do gry przy toaletach świadczą o tym, że to kawiarnia.

Chris zamówił dwie czekolady. Zanim zaczęli pić, przyłożyli zlodowaciałe dłonie do piaskowych kubków.

- Dlaczego chcesz się zabić?

- Bo się do niczego nie nadaję. Robię same kretyństwa.

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

- Powiedzmy więc, że przez szesnaście lat robiłeś same kretyństwa. Potem...

- Pieprzysz! Jak jesteś z żelaza, to jesteś z żelaza. Jak z drewna, to z drewna. A jeżeli jesteś niczym, jak ja, to jesteś niczym.

- Błąd. Ludzie się zmieniają. Jestem na to dowodem.

- Ty? Ty zawsze taki byłeś!

- Ach tak, zawsze taki byłem, taki bernardyn, który myśli o innych, zanim pomyśli o sobie? Wyobraź sobie, że gdy byłem w twoim wieku, miałem gdzieś innych, gardziłem nimi, liczyłem się tylko ja sam.

- Mówisz tak, żeby mnie...

- Mówię tak, bo to prawda. Nikt nie jest na zawsze zły, jeżeli to sobie uświadomisz, to się poprawisz. Wszyscy jesteśmy wolni, Karim, wolni!

- Ja? Wolny? Gdy tylko będę w takim wieku, żeby móc iść do więzienia, to mnie tam wsadzą. I będą mieli rację. Chcę z tym skończyć wcześniej.

- Nie wierzysz w odkupienie?

- O czym ty mówisz?

Axel, dwa metry od nich, nie tracił ani słowa i było mu coraz trudniej oddychać. Wcisnął się jeszcze głębiej w swój ką, aby słuchać, nie będąc widzianym.

- Spróbuj odwrócić losy, Karim. Złodziej może stać się uczciwy, zabójca zrozumieć, że postępuje źle, i więcej nie zabijać. Zgoda, zacząłeś od wandalizmu, kradzieży, rozboju i handlu heroiną, ale to nie znaczy, że nie możesz dobrze się prowadzić. Dowód - czujesz do siebie wstręt. Naprawdę zły człowiek uważa, że jest dobry. Tak samo jak

idioci nie wiedzą, że są idiotami. A ty, wybacz, że to powiem, przeszedłeś już do wyższej kategorii. Wierzę w ciebie, Karimie. Masz moje słowo, że na ile tylko będę mógł, pomogę ci.

Zamilkli. Karim rozgrzewał się czekoladą, ale też słowami Chrisa.

Stawiał jeszcze opór, bo sądził, że dzięki temu nie stanie się sentymentalny, pozostanie twardy:

- A kim ty jesteś? Dlaczego się mną zajmujesz?

Nie jesteś moim bratem!

- Nie bezpośrednio.

- Co to znaczy?

- Że mogę się czuć jak twój brat, nawet jeśli nie z krwi.

- Nabijasz się! Brata ma się tylko z krwi, reszta to tylko jakiś dodatek.

- Ach tak? To niby nie widziałeś w swojej dzielnicy, jak bracia się bili albo jak się nienawidzili? A ty i twoja rodzina - co dla ciebie zrobili twoi bracia?

- Są za mali, jestem najstarszy.

- I chcesz się zabić. Brawo, idealny starszy bracie!

- Dobra, dobra... to, co robię, dotyczy tylko mnie.

- Niezupełnie. Znasz historię dwóch braci, Kaina i Abla?

- Jasne, przecież to jest w Koranie!

- W Biblii też. Tym dwóm chłopakom, synom Adama i Ewy, szło gładko, aż do tej słynnej

kłótni o złożone ofiary. Jeden, Abel, ofiarowuje Bogu swoje pasterskie dary, pewnie wołu i barana, podczas gdy Kain, rolnik, proponuje mu swoje owoce i warzywa. Ale Bóg, bez logicznego powodu, przyjmuje dar Abla, a odmawia Kainowi. Wiesz, życie takie jest, niesprawiedliwe, nieprzewidywalne, nierówne. Trzeba to zaakceptować. Ale Kain, bardzo dumny, nie akceptuje tego, jest wściekły, buntuje się. Bóg go karci, radząc mu, żeby się uspokoił. Ale to na nic! W przypiływie gniewu Kain zabija swojego brata Abla, o którego jest zazdrosny. Na miejscu zbrodni, ale za późno, Bóg pyta go dlaczego. Kain śmieje się szyderczo, odpowiadając: „Czyż jestem stróżem brata swego?”. No więc tak, był nim, ale tego nie zrozumiał, nie zastanawiał się nad wielką ludzką rodziną. Każdy człowiek jest odpowiedzialny za każdego, za swojego brata i innych. Zabić to znaczy zapomnieć. Stosować przemoc to zapomnieć. Ja już nie chcę zapomnieć: jestem twoim stróżem, Karim, nie dam ci upaść. A ty jesteś stróżem swoich małych braci: nie tylko nie możesz ich porzucić, ale musisz im pomóc.

- OK... A co dalej?

- Bóg zesłał Kaina do krainy, w której pracował, trawiony wyrzutami sumienia, i miał dzieci. Wszyscy, aż do Noego, podobno pochodzili od niego. Można z tego wywnioskować, że przemoc

nie przekreśla szans na poprawę. Można z tego wynioskować, że nie ma życia bez przemocy, trzeba ją tylko okiełznać.

- Dobra, pytając: „A co dalej?”, miałem na myśli siebie, nie Kaina!

- Wrócisz ze mną, zaufasz mi, zaufasz sobie. Może staniesz się tym, kim jesteś, prawdziwym Karimem, nie tym, kogo z ciebie zrobili chuligani z twojej okolicy.

- Wierzysz w Boga?

- Nie. Ale lubię historie, które sprawiają, że jestem mniej samotny i nie aż taki głupi.

- Ja wierzę w Boga! - powiedział Karim, dumny, że wyraża swoje przekonanie, swoją wyższość.

Z jego zachowania Chris odgadł, że wygrał: dzieciak nie wróci na tory, żeby rzucić się pod pociąg.

Niedługo potem opuścili salę i idąc blisko siebie, czasem dotykając się ramionami, poszli drogą prowadzącą do willi Sokrates.

Axel pochylił się, aby odprowadzić ich wzrokiem, aż rozmyli się w oddali. „Zawiedziony” - to jedno słowo unosiło się w jego głowie, „zawiedziony”, tak, „głęboko zawiedziony”, bo nie wyobrażał sobie, że natknie się na tak odmienionego Chrisa.

On też czuł, że się zmienił.

Gdzie się podziało zadowolenie, które miał odczuwać? Dlaczego nie upajał się bliskością zemi? Dlaczego nie rozpierała go mroczna radość z ciosów, które miał wkrótce zadać przeciwnikowi? Dobra, zaraz się opanuje...

Otoczony wielkimi oknami basen został zaprojektowany tak, by kuracjuszom stworzyć iluzję, że kąpią się pośród alpejskiej przyrody, pomiędzy opadającymi ze szczytów łąkami a rozpościerającym się na ziemi jeziorem, pod spokojnym spojrzeniem śnieżnych górskich czap. Tego dnia jednak wyglądał, jakby był całkowicie oddzielony od świata, tak ściśle do szyb przylgnęła para, zimno przyciągnęło do szkła gorące krople, zasłaniając cały widok na dolinę.

Kilku pływaków, obojętnych na siebie nawzajem, pokonywało wielki basen sprężystymi ruchami. Stojący obok trampoliny staruszek o kształcie owada, z nadętym brzuchem na rachitycznych nogach, wykonywał ramionami powolne koła.

Na wysokim krześle, z którego widział cały basen, drzemał ratownik bez zarostu, o grubych, miękkich udach, z gwizdkiem między wargami, niczym wielki noworodek ssący butelkę.

Axel, przywieziony na wózku przez pracownika pływalni na sam brzeg małego basenu, otulony w szlafrok, obserwował mężczyznę, na którego punkcie miał obsesję.

Chris, stojąc w wodzie, zajmował się cierpiącą na reumatyzm osiemdziesięciolatką. Trzymał ją delikatnie w ramionach, wykorzystując lekkość, jaką nadaje ciału zanurzenie, i pozwalał jej wykonywać ruchy, które na brzegu byłyby niemożliwe, aby ją wzmocnić, odblokować jej stawy, rozciągnąć mięśnie i ścięgna. Ta dość nowa metoda nazywała się „kinezjoterapią morską”, a Chris, choć nie był jej wynalazcą, okazał się jednym z niewielu praktyków.

Axel dowiedział się o tym szczególnie w hotelu, kiedy zażądał pielęgniarza do codziennej opieki. Na liście zabiegów, jakie zaproponował mu dyrektor, zobaczył nazwisko Chrisa w rubryce „Nowość: masaż wodny!”.

– Tak – potwierdził właściciel hotelu. – To facet, który pracuje jako wychowawca w willi Sokrates, wie pan, tym ośrodku dla młodzieży z problemami. Jakby była młodzież bez problemów, ale to bez znaczenia. Chrisa mogę panu bez wahania polecić. Wszyscy są z niego zadowoleni. Umówić pana na spotkanie?

– Ale nie na moje nazwisko, na nazwę hotelu poproszę.

Axel chciał wykorzystać to spotkanie. Jeżeli będzie trąbił naokoło, jak się nazywa, zostanie szybko zidentyfikowany; ale jeśli Chris nie rozpozna go od razu, szykowała się smakowita niespodzianka.

Axel wykorzystał niezwykle skupienie Chrisa na pracy, aby mu się przyjrzeć, samemu nie będąc widzianym. Jaka życzliwość! Jaka delikatność w stosunku do tego dinozaura o pomarszczonym ciele... w dodatku nieznanego... Gdyby pacjentka była jego własną matką, czy byłby bardziej czuły, bardziej ujmujący? Na pewno nie. Pochylał się nad zniszczoną twarzą, poruszając tym szkieletem jak zakochany tancerz, patrzył partnerce w oczy, przywracając wdzięk jej ruchom. Cóż za fizjonomia... W wieku czterdziestu lat był ogorzały, w kącikach powiek miał zmarszczki równe jak cięcia nożem, na głowie rudą grzywę, jak w młodości, na jego ciele nie było ani grama zbędnego tłuszczu, miał wyraźne, wypukłe mięśnie, płaski brzuch, szerokie ramiona, wąską talię, tors pokryty rzadkim, lecz regularnym zarostem, jakby namalowanym, który przyciemniał dół brzucha i podkreślał mięśnie klatki piersiowej. Axel przypatrywał mu się tyłem z fascynacją, co z rozdrażnieniem, bo nie mógł się powstrzymać od porównań. Zazdrościł mu przede wszystkim okrągłego tyłka i smukłych nóg; Axel od czasu wypadku nie marzył nawet o czymś

takim, bo jego uda i pośladki, pozbawione swoich funkcji przez paraliż, zanikły, obumarły.

- Z czyjej winy? - wyszeptał z wściekłością, ugniatając prawą ręką swoje nogi, sztywne jak żelazne pręty.

Atletyczna wspaniałość Chrisa wzmocniła jego determinację: żadnej litości.

Podczas gdy skupiony na sobie myślał o zemście, Chris zaskoczył go, dotykając lekko jego ramienia.

- Kolej na pana.

Axel podniósł głowę, niespokojny. A jeżeli Chris od razu go pozna?

- Nazywam się Chris i mam pana masować przez godzinę, zgadza się?

Axel przytaknął.

- Jak się pan nazywa?

Axel wymówił pierwsze imię, które przyszło mu na myśl.

- Alban.

Zagryzł wargi. Co za idiotyzm! Powiedział „Alban” pod wpływem wspólnego wspomnienia, ponieważ w obecności Chrisa grał koncert *Pamięci anioła* Albana Berga! Po tym głupstwie, tak ewidentnym, Chris na pewno go rozpozna!

- Pomogę panu wejść do wody, panie Albanie. Popchnę fotel, a potem przeniosę pana przez schody. Zgoda?

- Yyyyy... zgoda.

Chris nie odgadł, kim jest. Patrząc kątem oka, Axel zrozumiał dlaczego: poza tym, że nie spodziewał się go zobaczyć, zachowywał się w sposób ultraprofesjonalny. Dbając o to, by nigdy nie okazać, że kalectwo go szokuje albo wzbudza w nim wstręt i nie poniżyć pacjenta, skupiał uwagę na technicznych szczegółach, zdejmowaniu szlafroka, wyjęciu stalowych podnóżków, chwyceniu za biodra z dobrej strony.

Axel poczuł się bezpiecznie, postanowił się odprężyć i poddał się ramionom Chrisa.

Gdy już znaleźli się w wodzie, zapytał, czy ma jakieś przeciwwskazania, czy pewnych ruchów powinien unikać. Axel potrząsnął przecząco głową. Chris polecił mu wtedy, żeby zamknął oczy, i rozpoczął masaż, tłumacząc spokojnym głosem każdy gest.

To szemranie do ucha zmieszało Axla. Zazwyczaj, gdy dwie osoby szepczą z zamkniętymi oczami, a prawie nagie ciała się dotykają, łączy je związek miłosny. A on znajdował się w ramionach swojego największego wroga, człowieka, który kiedyś, przez swoją beztroską arogancję, prawie go zabił. Absurd... zupełny absurd...

Zakłopotanie nie miało jednak w sobie nic przykrego. Przeciwnie. Z pomocą Chrisa Axel poczuł się uwolniony od wagi swojego ciała i swojego kalectwa. Unosił się na wodzie, obracał się,

skręcał. Ten nieprzewidziany, dobroczynny seans przeniósł go w świat wrażeń z dzieciństwa, pierwszych kąpiele w basenie w Sydney, wraz z ojcem, gdy jego drobne ciało przywierało do ogromnego, imponującego dorosłego, do ich wodnych wypraw na Pacyfiku w Whitehaven Beach, gdy trzymał się tego mężczyzny, pokonującego fale różnymi stylami, on, mały chłopiec wzruszony jego bliskością.

Jakże dziwnie było czuć to zaufanie, ciało przy ciele, wobec swojego zabójcy... A jeżeli jego rewanż ograniczyłby się do tego, aby Chris, jego niewolnik, zajmował się nim do końca jego dni... Byłaby to przynajmniej tortura o niecodziennym charakterze – zarówno dla mściciela, jak i jego ofiary.

– Jak się pan czuje?

Axel otworzył oczy. Chris, kołyszając pacjenta w ramionach, znajdował się dwadzieścia centymetrów od jego twarzy.

– Dobrze, bardzo dobrze.

Ich spojrzenia spotkały się, po czym Chris wskazał nogi Axla.

– Co się panu stało?

– Wypadek, dwadzieścia lat temu.

Chris zadrżał. Nie dlatego, że odgadł tożsamość Axla, ale dlatego, że ten okres, dwadzieścia lat, przywodził mu na myśl własne wspomnienia. Axel pospiesznie wyrwał go z zamyślenia.

- Jak wpadł pan na pomysł, żeby się zająć tą metodą, kinezyterapią morską?

- Och, nie wiem... chciałem znaleźć coś, co ma dobre skutki i co można robić w wodzie.

- Dlaczego? Czy w wodzie można zrobić coś złego?

Chris nie odpowiedział, odsuwając się, aby odwzajemnić uśmiech kobiety idącej w stronę przysznica. Axel kontynuował:

- Ja miałem wypadek właśnie w wodzie.

Chris odwrócił się i, zeszywniały, przyjrzał mu się uważnie, najpierw niepewnie, potem podejrzliwie, z niepokojem, a wreszcie z przerażeniem. Axel wytrzymał to spojrzenie. Widział, że Chris uświadamia sobie, co się stało. Było to jak podnosząca się znad jego pamięci zasłona, która stopniowo wpuszcza do środka światło. Przełknął ślinę, a potem wyartykułował bezdźwięcznym głosem:

- To ty, Axel?

- Tak.

Z oczu trysnęły mu łzy. Walczył z uśmiechem.

- Więc ty... żyjesz?

- A co myślałeś? - wykrzyknął Axel.

Przez dwadzieścia lat Australijczykowi nie przyszło to do głowy; myślał, że Chris wie, co się wydarzyło po wypadku.

Chris zwiesił głowę, jakby ktoś uderzył go właśnie w potylicę.

- Myślałem, że...

- Wyglądam na martwego? Raczej na kalekę, nie? Reanimowali mnie po wyciągnięciu z wody, leżałem pięć miesięcy w śpiączce, a gdy się obudziłem, byłem warzywem. Musiałem się wszystkiego nauczyć – a raczej nauczyć po raz drugi – mówić, pisać, liczyć, przemieszczać się. Mój mózg nie ucierpiał. Ale za to...

Wskazał na znieruchomiałą prawą rękę.

- Nici ze skrzypiec.

A potem nogi.

- I ze sportu.

I jeszcze kąpielówki, z których zwisały dziecięce nogi.

- I z seksu. Ale tego nie miałem nawet za bardzo czasu spróbować, no nie?

Przytłoczony tymi wyznaniem, Chris nagle poczuł zakłopotanie, dotykając Axla. Posadził go delikatnie i z szacunkiem na schodkach basenu.

- Och, tak się cieszę, że żyjesz, tak się cieszę!

Patrzył na to upokorzone ciało, osłabione włosy i przeszedł go dreszcz: biedny Axel, nic nie zostało z jego ułożonego, nienagannego wyglądu sprzed lat, ustępując miejsca twardej masce, której rysy, jakby przesunięte w lewą stronę, poranione, spłaszczone, zniekształcone, nie wyrażały żadnych uczuć, a tylko skutki wypadku.

- Czy myślisz, że kiedyś ci się uda mi wybaczyć?

- A co by to zmieniło? - odparł Axel wrogim tonem.

Chris, zbity z tropu, zastanowił się.

Axel ciągnął uparcie, czując, jak wszystko w nim wrze z wściekłości:

- Co by to zmieniło? Gdybym ci wybaczył, to odzyskałbym swoje ciało, muzykę, stracone lata?

- Nie.

- Ach, to może twój los by się zmienił. Tak, dla ciebie z pewnością życie byłoby lepsze.

- Nie, ja jestem na zawsze zmiażdżony ciężarem mojego błędu.

- Więc co by to zmieniło? Powiedz mi! No powiedz mi!

Nie mogąc się dłużej opanować, Axel zaczął krzyczeć metalicznym głosem, który odbijał się od wilgotnego sklepienia pływalni. Staruszek przestał kręcić ramionami młynki, a pucołowaty ratownik pochylił się, gotów opuścić swoje krzesło i interweniować.

Axel i Chris obserwowali się przez pewien czas. W końcu Chris przyznał:

- Masz rację. To by niczego nie zmieniło.

- A... więc ci nie wybaczam. Nie po to tu przyjechałem.

Chris ponownie mu się przyjrzał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Axel odbył taką podróż, to na pewno nie bez powodu.

- Czego chcesz?

- Spotkajmy się o wpół do ósmej w restauracji Le Grizzli przy moim hotelu.

Wróciwszy do willi Sokrates, Chris poszedł najpierw do pracowni stolarskiej, gdzie przez chwilę gawędził serdecznie z Karimem, a potem poszedł przebrać się na wieczór.

Nie wiedział, czego się spodziewać po tym spotkaniu. Nie był też pewien, co myśleć po popołudniowym objawieniu. To, że Axel oddycha, było cudowną wiadomością, ale nie uwalniało go to od winy, co to, to nie. Stojąc naprzeciw tego słabego, ułomnego człowieka o szorstkim głosie, którego życie zostało złamane, miał wrażenie, że zamiast śmierci spadła na niego niekończąca się męka. Czyż nie byłoby lepiej, gdyby...

Potworne! To, o czym myślał, było potworne. Po raz kolejny uciekał od odpowiedzialności. Ale tchórz...

Było mu ciężko znieść to, że Axel, zdradzony, nie odszedł natychmiast na tamten świat. Jedyna osoba, która wiedziała o podłości jego zbrodni, przeżyła; nosiła w sobie tę wiedzę przez dwadzieścia lat. To go przytłaczało... Chris gardził sobą.

Axel czekał już w restauracji, w wózku przystawionym do stolika.

Zamówili kolację, a potem zaczęli rozmawiać.

O ile Chris krótko streścił swój powrót, nagle uświadomienie sobie, co się wydarzyło, decyzję o zmianie dotychczasowego życia i obraniu nowej drogi, nakierowanej na innych, o tyle Axel opowiadał o sobie obficie, z mnóstwem szczegółów, przede wszystkim dlatego, że nigdy przed nikim tego nie robił, a poza tym tego wieczoru miał ochotę sam siebie polubić i być może chciał, żeby polubili go inni.

W miarę jak następowały kolejne części historii, Chris dowiadywał się, kim stał się Axel. Napawało go to zgrozą... Gdzie był anioł, którego poznał, chłopiec, który marzył tylko o sztuce, muzyce, żył tylko tym, co wzniosłe? Za stołem widział jedynie okrutnego biznesmena, pozbawionego skrupułów i obaw przed tym, co niedozwolone, który zajmował się nielegalnym i niemoralnym handlem, w zależności od tego, co dawało mu większy zysk, sprzedawał wszystko, od toksycznych zabawek do toksycznych obrazów, śmiejąc się szyderczo, gdy informowano go o śmierci dzieci, oszukiwał państwo, wykorzystywał ludzkie nieszczęście. Axel, finansowy magnat wiodący pustą egzystencję, bez miłości, bez przyjaciół, bez ideałów, był w swoim żywiole i nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki efekt wywołują jego opowieści; wprost przeciwnie, wydawało mu się,

że skoro sam jest sobą zachwycony, to oczarował też Chrisa. Dwadzieścia lat wcześniej Chris podziwiałby jego karierę, pieniądze, władzę, ale dla nowego Chrisa, wychowawcy specjalizującego się w młodocianych przestępcach, cała ta przemowa nic nie znaczyła.

Pomiędzy siedzącymi naprzeciw siebie czterdziestolatkami narastało nieporozumienie. Każdy z nich wyhodował w swojej wyobraźni obraz drugiego, rzeźbiąc w tym wyobrażeniu silną osobowość o wyraźnych, trwałych cechach. Axel dla Chrisa stał się wzorem doskonałości, a Chris dla Axla – idealnym człowiekiem sukcesu. Obaj zbudowali swoje życie, traktując drugiego jak model, kierując się mniej lub bardziej jasną motywacją, aby go zastąpić, przewyższyć. Otóż ich urojonym konstrukcjom groziło teraz zawalenie.

Przy deserze Axel zauważył, że jego fanfaronada wywołuje tylko wrogie milczenie rozmówcy. Teraz on zrozumiał sytuację: każdy z nich się zmienił i nienawidził tego, kim stał się ten drugi. Odraza okazała się tym silniejsza, że Chris przypominał Axlowi szlachetnego człowieka, jakim był i już nigdy nie będzie, Axel zaś był dla Chrisa wyzyskiwaczem, którego z siebie wykorzenił.

Długo milczeli, a potem, wzdychając, Chris poczuł się w obowiązku zapytać:

- Axel, dlaczego przyjechałeś?

- Żeby dobić z tobą targu.

- Niech będzie.

- Od dzisiaj jesteś mi posłuszny.

- Ja...

- To zadośćuczynienie, jakiego się domagam.
Od dzisiaj spełniasz wszystkie moje wymagania.

- Ale...

- Nie zmuszam cię do tego. Możesz odmówić.
W takim wypadku dzwonię do mojego adwokata,
otwieramy na nowo śledztwo, oświadczam, że
wpadłem na twój ślad, i zaczyna się proces. Wiesz,
tak samo jak ja, że przedawnienia nie ma.

- Proszę bardzo. Donieś na mnie. Nie będę się
wypierał. Jestem gotów zapłacić za swoje błędy,
spodziewam się tego od dawna.

- Zaraz, nie tak prędko! Jeżeli spłacisz dług
w więzieniu, to spłacisz go społeczeństwu, a nie
mnie. Ja nie będę miał nic z tego, że zgnijesz za
kratkami. Sprawiedliwości stanie się zadość,
zapewne, ale ja na tym nie skorzystam. Nie chcesz
nic dla mnie zrobić?

- Tak, Axel, chcę coś dla ciebie zrobić. Zdecydo-
wanie zależy mi na tym, żeby coś dla ciebie zrobić.

- Więc od dzisiaj będziesz mi posłuszny.

- Zgoda.

- Przyrzeknij.

- Przyrzekam.

Axel zamówił nową butelkę szampana i napełnił kieliszki.

- Za nas!

- Za nas... - odparł Chris, maskując swoje zdumienie.

Axel opróżnił kieliszek jednym haustem i natychmiast znów sobie nalał.

- Jutro złożysz wypowiedzenie. Żegnaj, willo Sokrates. O północy lecimy do Szanghaju. Trzymaj, możesz ten adres zostawić ludziom, którzy chcieliby pozostać z tobą w kontakcie.

Na siłę wcisnął mu do ręki wizytówkę, z angielskim tekstem po jednej stronie, z chińskim po drugiej.

Tego wieczoru, wróciwszy do swojego pokoju, Chris odruchowo włączył odtwarzacz, z którego rozległ się koncert *Pamięci anioła*. Po kilku dźwiękach Chris zwałił się na łóżko, chcąc płakać, ale nie mógł uronić nawet łzy. Przez niego obiecujący artysta stał się paranoicznym, popędliwym, okrutnym tyranem bez skrupułów. Nieświadomie zrobił coś gorszego niż mord na niewinnym - zamordował niewinność. Jego ofiara stała się katem. W harmonii Albana Berga Chris słyszał swoją własną historię: umarło nie tylko dziecko, ale i anioł. Z dawnego Axla nie została ani cząsteczką, zapanowało w nim zło. I spustoszenie.

Kiedy stajemy się tym, kim mamy być? W młodości czy później? Jako nastolatki, mimo danej nam inteligencji i temperamentu, jesteśmy w dużej mierze twórcami edukacji, naszego środowiska, rodziców; jako dorośli, tworzymy siebie sami, poprzez własne wybory. Jeżeli on, Chris, był oportunistą, ambitnym, wojowniczym, to stało się tak pod presją matki, samotnej kobiety, pragnącej, aby jej jedynak odniósł sukces, którego ona nie odniosła. Żeby nie zawieść jej uczuć, musiał się wyróżniać, wojować, triumfować. Jeżeli ojciec Chrisa porzucił jego matkę, to jej zdaniem dlatego, że nie była dla niego wystarczająco atrakcyjna! Z perspektywy czasu Chris oceniał, że jego ojciec okazał się po prostu lekkomyślnym egoistą, zwykłą świnia. On, w wieku dwudziestu lat, po powrocie z Tajlandii, miał szansę uwolnić się od matczynej presji; jego nonszalanckie, okrutne zachowanie wobec Axla pokazało mu, że idzie złą drogą; zaczął więc od początku, według nowych wartości. Ale Chris nie przewidział, że może się też zdarzyć coś odwrotnego: że człowiek dobry może stać się śmieciem. Jeżeli odkupienie jest możliwe, to możliwe jest także potępienie. I zawsze dochodzi do niego dobrowolnie. Gdy w wyniku wypadku w życiu pojawia się rysa, ludzie reagują na różne sposoby, Axel pograżył się w cynicznym wstręcie do ludzkości, a Chris – otworzył na miłość do innych.

Czy dzisiaj Axel, tak jak Chris, miał wrażenie, że jest sobą? Ile w tym „byciu sobą” było wolności? Ile przeznaczenia? Te pytania, wywołujące ból głowy, nie pozwoliły mu spać.

Co do Axla, nie spał wiele więcej. Sprawdzał przez internet, jak funkcjonują jego firmy. Przez przypadek trafił na wiadomość, że na świecie sprzedaje się miliony środków antydepresyjnych, i wpadł na pomysł: stworzy eliksir świętej Rity, który miałby przeciwdziałać przygnębieniu. Nazwie go „cudowna woda Rity”. Ze wszystkich rodzajów prowadzonej działalności: zabawek, ubrań, gadżetów, pornografii – najbardziej bawił go handel dewocjonaliami. „Od czasu gdy ludzie nie wierzą w Boga, są gotowi wierzyć w byle co! Astrologia, numerologia, New Age, renesans świętych. Trzeba z tego korzystać”. Dechrystianizacja Europy nie doprowadziła do rozkwitu racjonalizmu, ale do rozmnożenia się i wzmocnienia przesądów; kiedyś chrześcijaństwo określało ramy wiary – teraz, gdy ich już nie było, Axel mógł bogacić się na ludzkiej łatwowierności. Dlaczego właśnie święta Rita, a nie inna święta? Z powodu sztychu przypiętego pinezką do ściany jego pokoju w Sydney w czasie rekonwalescencji, gdy na nowo uczył się mówić i pisać. Zamiast docenić ten obraz dobroci, zaczął go nienawidzić, tak jak nie cierpiał uprzejmości, tak jak czuł wstręt do wszystkich

rytualnych form dobra. Pewnego dnia, splunąwszy na świętą, postanowił, że kiedyś zajmie miejsce w szeregach zwycięzców i że go nie opuści.

Następnego dnia Chris zaniósł wypowiedzenie Montignaultowi, który ochłoniwszy z zaskoczenia, oznajmił mu szczerze, że bardzo żałuje. Potem odwiedził Karima, powierzył mu swój chiński adres, po czym poszedł na zaimprovizowane przez kolegów przyjęcie pożegnalne.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Dziś w nocy. Do Szanghaju.

Ponieważ chcieli wiedzieć więcej, wyznał, że będzie się opiekował swoim mieszkającym tam przyjacielem z dzieciństwa, który prosił go o pomoc, bo nękały go poważne problemy zdrowotne. W tej opowieści wszyscy rozpoznali Chrisa, ich Chrisa, mistrza altruizmu, i go uściskali.

O siódmej wieczorem wziął swoje walizki i spotkał się z Axlem, który uregulował rachunek za pobyt, po czym kazał mu wsiąść do taksówki.

Limuzyna okrążyła jezioro i zatrzymała się w luksusowym hotelu.

- Nie lecimy do Szanghaju z Genewy? - zdziwił się Chris.

- Pojutrze.

W tym pałacu spędzili dwie noce, Chris nigdy nie dowiedział się dlaczego. Axel zlecał mu tam różne

niewiele znaczące zadania: miał pomóc mu wstać, umyć się, uporządkować rzeczy. Chris był posłuszny, tak jak obiecał. Te czynności nic go nie kosztowały, zwłaszcza przenoszenie Axla co trzy godziny do wewnętrznego basenu, aby go tam masować, chociaż przerażał go ciągle stan tego ciała, jego kości sta lekkość, jego rozbita mechanika. Zastanawiał się, czy przyszłe lata będą tak właśnie wyglądały...

Od czasu do czasu był świadkiem rozmów telefonicznych i stwierdzał, że Axel bez przerwy zachowuje się jak bandyta – był srogi, despotyczny, niesprawiedliwy – że obraża innych i gardzi nimi.

– Axel, co zrobiłeś dobrego, to znaczy dla innych, w ciągu ostatnich lat?

– Nic. Niech mnie diabeł strzeże – zaśmiał się szyderczo Axel.

– Zmuszę cię do tego.

W swoim wolnym czasie kontemplował krajobraz alpejski, który miał opuścić. Jezioro górskie było czymś nie do określenia... Albo miało się wrażenie, że woda wypełnia ogromną dziurę, niczym wieko nad otchłanią, albo ściany wokół jeziora jawiły się jako harmonijne brzegi tworzące kolebkę wokół jego toni. Krótko mówiąc, miejsce, w którym spędził te dziesięć lat, wydawało mu się co sekundę inne, przerażające albo urocze.

O zmierzchu ostatniego wieczoru we Francji po ich bagaże przyjechała taksówka, aby następnego

dnia zabrać je na lotnisko. Potem, za kierownicą czarnego samochodu, z Genewy przyjechał Chińczyk. Chris nie rozumiał ani słowa z ich rozmowy z Axlem, bo mówili po chińsku; zauważył tylko, że przestraszony Azjata skrobał na kartce to, co wykladał mu Axel.

Nie czekali na świt.

O piątej Axel wezwał Chrisa, aby go umył, ubrał, posadził na wózku i uruchomił samochód.

W szarości dnia, który nie mógł się zdecydować, żeby wstać, opuścili hotel, zjechali do jeziora i podążali drogą ciągnącą się wokół niego, ostrożnie, bo mgła kleiła się do brzegów.

- Stop, parkujemy tutaj - rozkazał Axel.

Sztywny Chińczyk z poprzedniego dnia, stojąc na poboczu drogi, dawał im jakieś znaki.

Zostawili samochód. W zastygłym powietrzu unosił się zapach pleśni i martwych gałęzi.

Chińczyk skłonił się i pokazał niską drewnianą łódkę na końcu podestu z popielatych desek.

Na polecenie Axla Chris pomógł mu, z największą delikatnością, ześliznąć się z wózka do łodzi; rozgniewany kaleka, gdy tylko usiadł na tylnej ławce, odepchnął go.

Potem ruszyli, z silnikiem pracującym na niskich obrotach, żeby nie robić hałasu. Postać

Chińczyka na brzegu stała się cienka jak nitka i zniknęła w oparach świtu.

- Dokąd płyniemy?

- Zobaczysz.

Chris zadawał sobie pytanie: co zawierają torby stojące pomiędzy nimi na dnie łodzi?

Im dalej płynęli, tym bardziej zagłębiali się w gęstą mgłę. Pośrodku jeziora, w świetle lodu, tam gdzie brzeg i góry zniknęły jak w wacie, Axel wyłączył silnik.

- Podróż kończy się tutaj.

- Tutaj?

- Tutaj, pośrodku laguny.

Na dźwięk tego słowa Chris natychmiast pojął, co zrodziło się w głowie jego towarzysza: nieprzeniknione alpejskie jezioro było ciągiem dalszym po niebieskiej zatoce pod słońcem Tajlandii, a Axel chciał, aby tym razem Chris poznał, co to znaczy topić się. Odruchowo wstał, gotów zanurkować i uciec.

- Nie ruszaj się!

Axel wycelował w niego rewolwer, który wyciągnął z kieszeni.

- Nie żartuję. Siadaj, gdzie siedziałeś. Jeżeli nie będziesz robił tego, co chcę, strzelam.

Chris usiadł. Chciał pertraktować, otworzył usta...

- Zamknij się! Dzisiaj ty słuchasz mnie.

Axel, chociaż stanowczy, drżał. Z zimna, z emocji, ze strachu, z gniewu? Na jego twarzy bez mięśni, którą śpiączka pozbawiła ekspresji, nie można było nic dostrzec. Tylko skurcz ust zdradzał napięcie.

– Pewnego dnia wolałeś ode mnie medal z numerem jeden. Jasne, może nie wiedziałeś, że od tego umrę, ale nie wahałeś się pomiędzy wygraną a ratowaniem człowieka. Tym razem nie wygrasz. Otwórz torby.

Stał broni lśniła, rzucając blask podobny do błyskawic.

Chris pochylił się powoli do sakw, bardzo ciężkich, i przyciągnął je do siebie po podłodze. Gdy je otworzył, dojrzał sznur ołowianych elementów, zakończony uprzężą.

– Załóż uprzęż.

Chris chciał zaprotestować. W odpowiedzi Axel tylko przysunął lufę rewolweru do jego czoła.

Chris niechętnie zabrał się do tego, co Axel mu nakazał.

– Mocno! Zawiąz lepiej węzły! Żebyś nie mógł rozwiązać.

Axel zacisnął palec na spuście.

Ponad nimi kruk rzucił przenikliwy, pełen rozpaczki krzyk.

Nagle Chris przestał się ociągać i zabrał się do pracy. Wiązał gorliwie, energicznie, zdecydowanie. Axel to zauważył, lekko zaskoczony, ale nie skomentował.

- Proszę - wykrzyknął Chris - jestem obciążony. Co dalej?

- Ale ci się spieszy...

- Nie ma po co zwlekać, bo znam koniec. Mam skoczyć do wody czy tu mnie zabijesz?

- Spokojnie. Sprawiasz wrażenie, jakby ci się to podobało.

- Wydaje mi się to konieczne.

- Spokojnie, powtarzam ci. Idziemy moim rytmem. To ja to wszystko zorganizowałem. Nie ty.

- Ja też. Trochę. Jestem odpowiedzialny za to, kim się stałeś.

- Miliarderem? - zapytał Axel, parskając śmiechem.

- Nie, zabójcą. Przypominasz sobie, jak nas nazwał Paul Brown, Amerykanin, który organizował obozy muzyczne? Bracia wrogowie, Kain i Abel. Byłem tym złym, Kainem, a ty tym dobrym, Ablem. To ja miałem zabić brata. I to zrobiłem.

Axel wlepił w niego wzrok pełen nienawiści.

- Ach, więc jednak czujesz się winny?

- Bardzo. A teraz zobacz: to ty jesteś Kainem, a ja Ablem. Głupie, nie? Po dwudziestu latach zamieniliśmy się rolami. Ty jesteś już tylko wybuchową mieszanką cierpienia, goryczy i nienawiści. Choć byłeś cudem natury, zrobiłem z ciebie potwora. Jak miałbym się nie wstydzić?

Axel wycelował w niego broń, gotów strzelić.

- Zamknij się.

Chris ciągnął z zapalczywością:

- Zmarnowałem cię, Axel. Nie tylko zrujnowałem ci życie, ale zrujnowałem ciebie. Stałeś się przeciwieństwem tego, kim byłeś. Poznałem anioła, a stworzyłem demona.

- Zamknij się. Jestem odpowiedzialny za to, kim się stałem. Tego chciałem, „nigdy więcej”, powiedziałem sobie, budząc się ze śpiączki, „nigdy więcej nie będę ofiarą”.

- Dziwne. „Nigdy więcej”, obiecałem sobie, wróciwszy do Paryża. „Nigdy więcej nie będę zabójcą”.

Przez chwilę myśleli o ironicznym losie, który w pewnym momencie przemienił łajdaka w altruistę, a świętego w kanalię.

Przemieszczająca się mgła, głęboka i lekka, osiadała wokół nich niczym biała smoła, bezgłośnie. Okrywała ich gruba, nieprzenikniona wata.

Axel mówił zamyślony:

- Gdy spotkałem cię w tym tygodniu w gospodzie, jednemu ze swoich zdesperowanych nastoletków wspominałeś o „odkupieniu”. Nie słyszałem tego słowa od lat ani nie zastanawiałem się, co ono znaczy. Byłeś tak przekonujący, że domyśliłem się, że mówisz o sobie. Więc po tym gdy mnie zostawiłeś, jak jakiś stary haczyk od wędkii, na dnie morza, zaczęło się odkupienie. Wtedy zrozumiałem, że ja przeszedłem odwrotną drogę:

gdy ty pięłeś się w górę, ja spadałem w dół. Co jest przeciwieństwem odkupienia? Upadek? Potępienie? Tak, bez wątplenia potępienie... Kiedy wypowiedziałem to słowo, boli mnie ono, po raz drugi czuję się ofiarą.

- To nieprawda. Nawet jeżeli zawsze będziesz ofiarą innych, możesz nie być ofiarą samego siebie. To leży w twojej mocy. To zależy tylko od ciebie.

- Nie mam już na to siły, Chris. Gdy już raz popadniesz w cynizm, nigdy się z niego nie otrząsniesz, nie masz już ideałów, masz gdzieś wszystko z wyjątkiem bólu. A od czasu gdy cię tu odnalazłem, ból mnie nie opuszcza, tylko wzmacnia się. Bo sytuacja się zmieniła... Kiedyś cię nienawidziłem. Teraz nienawidzę siebie. Widzę siebie twoimi oczyma, przypominam sobie, kim byłem, porównuję. Co mi pozostało, Chris, co mi pozostało?

Gdyby Chris zdjął mu ciemne okulary, zobaczyłby, że Axel ma oczy pełne łez.

Wstał.

- Mogę coś dla ciebie zrobić.

- Nikt nie może dla mnie nic zrobić.

- Nie. Ja mogę. Mogę ci pomóc znów stać się dobrym człowiekiem.

- To niemożliwe. Przede wszystkim nie chcę.

- Zmuszę cię do tego.

Chris zgarznął ramionami ołowiane łańcuchy, popatrzył w mgłę po swojej prawej stronie i skoczył.

To wszystko wydarzyło się tak szybko, że Axel zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, dopiero gdy ciało uderzyło o wodę.

Głowa Chrisa unosiła się przez sekundę, nie dłużej, ponad wodą, sekundę, w czasie której jego mięśnie próbowały stawiać opór, a oczy wpatrywały się w Axla. Potem ciężar pociągnął go na dno.

Nie było widać pęcherzyków powietrza. Chris musiał odruchowo wstrzymać oddech.

Axel obserwował koncentryczne kręgi fal, które powoli zanikały, jezioro, które znów stało się płaskie.

Pomyślał, że powinien być zadowolony. To podpowiadała mu wola, bo sam z siebie nie czuł nic.

Nagle na powierzchni zaczęły pękać pęcherzyki powietrza; ten odgłos, pochodzący z głębi, miał w sobie coś ludzkiego, jakby wydobywał się z ust, jakby bąbelki wyrażały radość z tego, że połączyły się ze swoim żywiołem, że umknęły z wrogiego środowiska.

To wrażenie było dla Axla nie do zniesienia. Zrozumiał, że jego towarzysz kona.

- Chris! - ryknął.

Jego donośny krzyk uleciał w obojętną ciszę, w jakiej spały góry. Zgasł. Nie było odpowiedzi.

Wtedy Axel, aby ratować Chrisa, rzucił się do wody.

Całymi latami stary Queraz, przygodny rybak, Sabaudczyk o twarzy zarumienionej od czasu spędzanego na świeżym powietrzu, opowiadał gapiom, turystom, którzy chcieli go słuchać, dręczącą go historię.

Pewnego ranka, gdy łowił ryby na skalistym cyplu przy drodze ze schroniska Combaz, przydatnym wtedy, gdy nie wypływał na jezioro łodzią, był świadkiem zdumiewającej sceny. Jak to często bywa w listopadzie, na powierzchni tańczyła swój miękki taniec ruchoma mgła, na zmianę zasłaniając i odsłaniając toń jeziora. W pewnym momencie stary Queraz dojrzał w oddali łódź, stojącą na wyłączonym silniku, a w niej rozmawiających spokojnie dwóch mężczyzn. Potem mgła zasłoniła mu widok. Gdy ponownie zobaczył łódź, jeden z mężczyzn wyskakiwał z niej z jakimś pakunkami. Nurek? Drugi krzyknął, dość przerażony, po czym z kolei on wśliznął się do wody. Znowu chmura skryła widowisko. Dwie minuty później, gdy wróciła widoczność, Queraz zobaczył na powierzchni dwie głowy, tak, wydawało mu się, że drugi mężczyzna wyłowił pierwszego, ale że oddalili się od łodzi. Tym razem wizję zmaścił powiew wiatru. Gęsta breja przez co najmniej dziesięć minut. Wreszcie, gdy powietrze znowu odzyskało przejrzystość, widać już było tylko samotną łódkę pośród fal. Gdzie byli mężczyźni?

Na dnie czy na brzegu? Utopili się czy uratowali? Miał wrażenie, że mu się to przyśniło.

Po tygodniu zastanawiania się i wahania stary Queraz napił się, żeby dodać sobie odwagi, i poszedł opowiedzieć wszystko na policję.

– Jeżeli ktoś zgłosi zaginięcie dwóch osób – odpowiedział mu ubawiony brygadier – to poprosimy cię, żebyś streścił swoją powiastkę. A na razie idź fermentować.

Policjanci nie wysłuchali analfabety z powodu jego oddechu.

Staruszek poczuł się tak urażony, że od tego czasu zaczął palić tylko ciemne gaulloise'y bez filtra i popijać bylinówkę, alpejski likier.

Gdy alkohol przeżarł mu mózg, już prawie zapomniał o swojej wizji, lecz przypomniało mu o niej pewne zdarzenie.

A więc dziesięć lat później, kiedy postanowiono opróżnić jezioro, aby je oczyścić, znaleziono zwłoki. Na mulistym dnie leżały dwa splecione na waleta ciała: niczym bliźnięta zwinięte w brzuchu swojej matki.

Nigdy nie stwierdzono, kim byli. Za to, ponieważ podobieństwo ich szkieletów uderzyło robotników, którzy ich znaleźli, nazwano kamienisty cypel, gdzie dopłynęli, by umrzeć, i skąd stary Queraz obserwował ich ostatnią próbę ratunku, skałą Kaina i Abła.

Elizejska miłość

Właśnie wróciła do domu, uciekając przed ulicznym zgiełkiem, ale gdy tylko znalazła się w swoich czterech ścianach, znów poczuła, że chce wyjść. Z każdym dniem było jej coraz trudniej zachować dobre samopoczucie: nigdzie nie czuła się dobrze.

Szukała wzrokiem jakiegoś drobiazgu w otoczeniu: mebla, obrazu, przedmiotu – który dałby jej poczucie bezpieczeństwa, przywrócił zaufanie, połączyłby ją znów z przeszłością. Na próżno. Mieszkanie na poddaszu pałacu było urządzone w onieśmielająco dobrym guście: wszystko, od najdrobniejszych ornamentów po obicia krzeseł, zostało zaprojektowane przez jednego z najlepszych współczesnych architektów; przestawienie fotela albo pozostawienie kolorowego swetra na tej kombinacji beży i drewna cytrynowego psuło harmonię barw; każdy ślad prywatnego życia mieszkańców, nie współgrający z wizją artysty, wyglądał obscenicznie, krzychał bluźnierczo. W tym otoczeniu, które niby miało być jej własnym, stale czuła się obco.

Postanowiła nie zapalać lamp i usiadła na kanapie tak, jakby przyszła z wizytą.

Dzień był ponury, w mroku połyskiwały tylko błyszczące powierzchnie srebrnych szkatulek. Na świat za oknem miękko padał śnieg. Z ulicy dochodził głuchy, stłumiony warkot pędzących samochodów.

Catherine pomyślała, że jej życie przypomina niedzielne popołudnie, długie, ponure, pełne niejasnych nadziei, mglistego żalu, a dominująca nad wszystkim gorzkość nie pozwala delektować się nawet tą odrobiną egzystencji, której można by skosztować.

W tej beczynności sięgnęła po czasopismo, które zostawiła dla niej jej osobista sekretarka. Okładkę wypełniało zdjęcie jej i jej męża, opatrzone podpisem: „Wzorowa miłość”.

Pochyliła się nad gazetą, uśmiechnęła. Jej twarz była elegancka, delikatna, biała jak nie szkliwiona porcelana.

- Wzorowa miłość... Cóż za wyobraźnia!

Czerwone paznokcie Catherine miały kolor galaretki porzeczkowej, w czystym, wściekłym odcieniu karoserii samochodowej. Opuszkami palców przerzucała kartki najpopularniejszego we Francji tygodnika, tego plotkarskiego pisemka, którego nikt nie kupuje, ale jakimś cudem wszyscy czytają, gdzie na wielu stronach można było

zobaczyć ich zdjęcia. Każde opatrzone było podpisem pasującym do tytułu reportażu, *Wzorowa miłość*. Ona i Henri uśmiechali się do obiektywu, trzymając się za ręce, ramię przy ramieniu, mili, stosowni, zadbani, na tle, a raczej jako część nieskazitelnego prezydenckiego apartamentu.

- Czy jesteśmy piękni? - zadała sobie pytanie Catherine.

Trudno jej było odpowiedzieć; okiem profesjonalistki, która miała za sobą dwadzieścia pięć lat doświadczenia w polityce, oceniała ich zdjęcia jako wspaniałe, ale co myślała o nich samych? Jasne, makijaż przysłonił ich braki, retusz podkreślił przymioty, a każde z nich miało na sobie ubranie, w którym mu było do twarzy. Tak, pokonali upływ czasu, pokazali się w jak najlepszym świetle, upodobnili się do swoich własnych wizerunków; ale czy byli piękni?

- Czy ta para by mi się podobała, gdybym ją zobaczyła?

Ciężko powiedzieć. Gdy udawało jej się przestać myśleć o tym, że to oni sami, patrzyła po prostu na parę zamożnych ludzi, żyjących ponad innymi. A to, dziwnym trafem, wcale nie budziło jej sympatii. W głębi duszy była wciąż, pomimo społecznego awansu, studentką akademii sztuk pięknych, która wybrała nonkonformizm i studia bez perspektyw, młodą dziką dziewczyną, która

wolała miesiącami żywić się makaronem, niż zno-
sić jarzmo rodzinnego domu, kobietą wyzwoloną,
która spotkała Henriego w jakimś barze w Paryżu
w okolicy Panteonu i wcale nie sądziła, że ich hi-
storia ma przyszłość. Dwadzieścia pięć lat później
studentka ze świata cyganerii tkwiła w kajdanach
sławy, unieruchomiona w publicznej postaci pani
Morel, pierwszej damy Francji, małżonki prezy-
denta Republiki, przyszpilona jak motyl do po-
złacanej ramy Pałacu Elizejskiego.

- W każdym razie pewne jest to, że nie spoty-
kałabym się z tą kobieciną ze zdjęć.

Wydała na siebie wyrok bez odwołania. Zrobiła
się z niej burżujka w skrojonym na miarę, pro-
stym kostiumie z drogiego materiału, w niezbyt
seksownych butach, chociaż na obcasie, z fry-
zurą przypominającą hełm, zawsze przybiera-
jąca skromne pozy. Ta metamorfoza dokonała
się stopniowo, wbrew jej woli. Na początku Ca-
therine nie myślała zbyt wiele o swoim stroju, no-
siła sukienki, koszule, długie spódnice i indiań-
skie kamizelki, kolorowe, tanie, które zazwyczaj
wynajdowała w dość kiepskiej dzielnicy, gdzie
wynajmowała poddasze, niedaleko dworca Gare
du Nord; co najwyżej, aby uzasadnić swój wy-
bór, utrzymywała, że ceni naturalną bawełnę, że
lubi czuć lekkie warstwy tego materiału na swoim
szczupłym ciele. Potem, gdy stała już u boku

męża, w miarę jak wspinał się on po szczeblach władzy, jej nonszalancja zaczęła wzbudzać kontrowersje: chociaż ona w ogóle nie zwracała uwagi na strój, jej swobodny styl stał się przedmiotem uwag, prowokował dyskusje. Obojętność na modę uchodziła u niej za celową postawę, a u jej męża za strategię komunikacyjną; gdy pojawiał się temat pani Morel, w rozmowie zawsze przewijał się temat jej stroju, który niekiedy chwälono, a dużo częściej wykpiwano. Aby uciąć te docinki, w końcu pogodziła się z konserwatyzmem, wyrzuciła z szaf hipisowskie ciuchy, po czym zappełniła je strojami stworzonymi dla kobiet w jej wieku pełniących odpowiedzialne funkcje. Chodziło o godność...

- Godność! Słyszysz, co mówisz, biedna kobieto? Wysławiasz się jak jakieś babsko, przekonane, że ubiera się „godnie”. Kretyni wygrali, załęgłi się w moim mózgu.

Pochyliła się nad swoim zdjęciem zrobionym w zimnym hallu Pałacu Elizejskiego, gdy przyjmowała niemieckiego kanclerza: nie znosiła kobiety, którą widziała. Oczywiście, była doskonała, miła, elegancka, ale miała do siebie żal o to, że się uśmiecha, że tak dobrze gra tę komedię, że w najmniejszym stopniu nie okazuje swojego niezadowolenia. Wcisnęli jej rolę, której nie chciała – żony polityka; stopniowo, najpierw jako żona

posła, potem posła i mera, wreszcie ministra, traciła wolność. Po przegranych wyborach stała się żoną szefa partii opozycyjnej, i wtedy było raczej zabawnie, to był chyba najlepszy okres; wreszcie, na nieszczęście, kilka lat temu zaskoczyła ją rola żony prezydenta.

- Nikt by mi nie uwierzył, gdybym mu wyznała, że zmarnowałam życie.

Przewróciła kilka stron reportażu o *Wzorowej miłości* i zaśmiała się szyderczo nad zdjęciem, na którym było widać, jak w połączonym salonie zachwycają się książką o sztuce; dziennikarz pisał: „Pani Morel próbuje dzielić ze swoim pragmatycznym mężem namiętność do współczesnego malarstwa”. Tak, pismak miał rację, próbowała, przez pół minuty, nawet minutę, tyle, ile trzeba, żeby zrobić zdjęcie, nie więcej; a w dodatku, wskazując na reprodukcje, mówiła byle co; po co wypowiadać się sensownie, Henri i tak nie słuchał, to była tylko poza do zdjęcia, po prostu szopka.

- A on, Henri? Gdybym go dzisiaj poznała, co bym czuła?

Ta myśl interesowała ją bardziej niż poprzednie. Przyjrzała się swojemu mężowi na glansowanym papierze.

- Zabaw się, Catherine, wymaż wspomnienia, wyobraź sobie, że go nie znasz.

Przeszedł ją dreszcz - robił na niej wrażenie.

Tak, te jego usta łobuza, ironiczne brwi, doskonałe zęby, czarne włosy lśniące jak pióra kruka, silna szyja wyłaniająca się z niebieskiej koszuli z nienagannym kołnierzykiem, to wszystko robiło wrażenie. Jak to możliwe? Po dwudziestu pięciu latach małżeństwa poczuła drżenie, patrząc na jego mocne ręce, jakby stworzone do obejmowania talii; wzruszyła się na widok orlego, stanowczego nosa, emanującego energią; była poruszona ciemnym ogniem płonącym w jego oczach. Czyli mogłaby zakochać się w tym człowieku, gdyby spotkała go dzisiaj?...

Catherine uniosła głowę i z burzą w sercu pograżyła się w kontemplacji ośnieżonego parku. Surowe, wściekłe mewy krzyczały nad zamarzniętymi basenami wokół pałacu.

To odkrycie zbiło ją z tropu: czy była to dobra, czy zła wiadomość?

Zła! To było bardzo praktyczne pomyśleć sobie, że od czasu gdy zostali uwięzieni w swoich rolach, wszystko umarło. Po co budzić śpiące posągi? Nie wiem, czy woskowe figury w Muzeum Grevin chciałyby, aby przywrócić im życie, czy Joanna d'Arc doceniłaby to, że znów może się smażyć w ogniu, a Ludwik XVI – ponownie wejść na gilotynę, albo czy Julia ucieszyłaby się z nowej fatalnej przygody z tym idiotą Romeem. Nie, nie należy wskrzeszać duchów z przeszłości, trzeba

im pozwolić się kurzyć, blaknąć, odchodzić w zapomnienie i dyskretnie zniknąć ze wspomnień żyjących. Tak właśnie Catherine Morel od lat pojmowała życie. Więc nie było dobrą wiadomością to, że pożądała pięćdziesięcioletniego mężczyzny, którym stał się pan Morel, a nie tylko Henriego, młodego człowieka przed lat, z rozwianym włosiem, który został żywcem zabalsamowany w prezydenckim garniturze. To w ogóle nie była dobra wiadomość.

A jednak... Gdyby to mogła być prawda... Gdyby udało im się wyrwać z rutyny, w którą obrośli... Gdyby znów obudził się w nich żar... Gdyby bardziej zadomowili się w swojej skórze...

Instynktownie skierowała się do łazienki przy pokoju Henriego, miejsca, gdzie nie miała prawa wchodzić, niczym żona Sinobrodego. W rzeczywistości często tam chodziła, bo w ciągu dnia jego łazienka stawała się miejscem tajemniczym, gdzie go nie było, ale które wypełniał sobą, pachnącym lawendowym ręcznikiem, pastą do zębów, zimną wodą na marmurze, aloesową pianą; było tajemnicze, bo unosił się w nim duch jej mężczyzny; tajemnicze, bo nigdy nie pozwalał, aby wchodziła tam z nim; tajemnicze, bo było jak korytarz prowadzący do rozkoszy, poprzedzający noc, kiedy ciała łączą się w pościeli. Przedsięwzięcie miłości...

Westchnęła. Niestety ta nora od dawna nie zapowiadała już żadnej rozkoszy... Mimo że sypiali w jednym łóżku, Henri i ona już się nie dotykali. Znów rutyna...

Wróciła do salonu, chwyciła gazetę, przyjrzała się badawczo swojemu mężowi.

– Ten człowiek może mnie uwieść, bo go nie znam. Przypuszczam na przykład, że będzie równie uczciwy i otwarty jak jego postawa, równie szczerzy jak jego uśmiech. Ale wiem... już za późno... wiem, kim jest, do czego jest zdolny... wiem, że...

W tym momencie pojawił się prezydent Morel, ubrany na niebiesko, spocony, z twarzą nabiegłą krwią, z krzywym uśmiechem na ustach.

– A, jesteś? – powiedział ze zdziwieniem, trochę szorstko. – Myślałem, że poszłaś na zakupy...

– Przykro mi. Nic mi się nie podobało, szybko wróciłam.

Podszedł zaintrygowany.

– Wszystko w porządku?

Niepokoił się naprawdę czy udawał?

– W porządku. Czytałam ten reportaż o nas.

– Doskonały, nie? Rigaud był z niego bardzo zadowolony.

– Cóż, skoro Rigaud jest zadowolony...

Miałyby ochotę dodać: „Jeżeli doradca prezydenta do spraw komunikacji jest zadowolony,

kukła prezydenta musi siedzieć cicho”, ale powstrzymała się od wyrażenia tej myśli.

- Wszyscy uważają, że wyglądasz wspaniale - oświadczył, idąc w stronę swojej łazienki.

- Wszyscy, czyli kto? Zamówiłeś sondaż? Zorganizowałaś referendum?

- Wszyscy to znaczy mężczyźni z mojego gabinetu.

- A kobiety?

- Też.

Za uchylonymi drzwiami otwierał szafki, mieszał wodę, otwierał butelki.

Przez sekundę miała ochotę zrobić mu awanturę, domyślając się, że zamierza się spotkać z jakąś kochanką; nic sobie nie robiła ze zdrady, kompletnie nic sobie z niej nie robiła, bo zdradzał ją od lat; ale uważała, że to niesprawiedliwe, grubiańskie, skandaliczne, że się w ten sposób zachowuje: obsypuje ją pochlebstwami, szykując się na spotkanie z inną. O mało nie rzuciła: „Powtórzysz swojej kokocie te komplementy, którymi raczysz mnie przed wyjściem do niej? Jeżeli nie jest skończoną dziwką, to się obrazi”. Ale westchnęła tylko:

- Robota?

- Spotkanie na Uniwersytecie Jussieu.

Wiedziała, że wykorzystuje służbowe spotkania jako pretekst, aby bezpośrednio przed nimi

odwiedzać swoje kochanki; dobrze się zorganizował; tylko szofer i ochrona w zaufaniu pomagali mu w tym procederze; kiedy robił swoje, samochód czekał na dole; dla swojej hrabiny miał tylko tyle czasu, żeby doznać rozkoszy, ale nie tyle, żeby jej sprawić rozkosz. W gruncie rzeczy nie miała czego zazdrościć tym niewolnicom zaginionego faceta.

Uśmiechnęła się i nastawiła jedną ze swoich ulubionych płyt...

Henri wyszedł z łazienki, w czystej koszuli, kończąc wiązać krawat.

- No to do widzenia, Catherine, do wieczora.

- Nic z tego. Będę w teatrze. Ostatnia sztuka Schmitta.

- Ach tak, to ważne?

- Dla ludzi, którzy lubią teatr, tak; dla innych ona nawet nie istnieje. Bądź spokojny: idę tam oficjalnie. Jak zawsze się poświęcam.

- Narzekasz, ale uwielbiasz teatr.

Szedł przed siebie, przybierając swobodny wygląd, lecz miał ściśnięte usta, jak człowiek czymś zaafierowany, który próbuje być delikatny.

W tej sekundzie poczuła jego zapach. Jej ciało natychmiast zeszywniało. Skąd on ma te perfumy? Kto mu je podarował? Kto wybrał tę nieznaną woń? Wszystko jasne: miał nową kochankę, stałą. prostytutka nie daje perfum, taką czelność

ma tylko sentymentalna ochotniczka. Choć zwykle Catherine skrywała swoje myśli, tym razem usłyszała, jak pyta:

- Kto ci podarował te perfumy?

- No... No... ty.

- Nie ja.

- Ach... myślałem...

- Nie.

- Hm... nie wiem... Nie zwróciłem uwagi... Do staję tyle prezentów... Może Rigaud?

- Teraz używasz perfum, które wybierają mężczyźni?

- Czemu nie? Chyba nie zrobisz mi sceny zazdrości z powodu perfum?

- Nie, nie jestem taka głupia. Mam lepsze powody niż perfumy, żeby ci robić awantury. Co do tego mam cały wachlarz możliwości.

Patrzył na nią, w pogotowiu, skory do sprzeczeki, jak dobre zwierzę polityczne, zdolne przekonać tysego, aby zapuścił włosy.

Uprzedziła go, ciągnąc spokojnie:

- Nie zrobię ci sceny. Nie czuję żadnej zazdrości.

- Ach... tak.

- Ani trochę. Jestem spokojna jak nigdy. To nawet dziwne... Może jest coś w tej ludowej mądrości, która mówi, że zazdrość jest dowodem miłości?

Zadrzał, tym razem zraniony. Biedny prezydent - szczyła - jest tak przyzwyczajony do pochlebstw,

że od tej nadmiernej protekcji stał się bezbronny: wścieka się z powodu dyskretnej uwagi, jakby spotkała go porażka wyborcza.

- Nie jestem pewien, czy zrozumiałem - powiedział cicho.

Nalegał, bo normalnie w takiej dyskusji nie musiał się niczego obawiać; Catherine przyzwyczaiła się zachowywać swoje skargi dla siebie. Przypomniała sobie tę swoją cechę i w tym momencie uznała, że Henri ma doprawdy zbyt dużo szczęścia - postanowiła postąpić wbrew swoim zwyczajom.

- Zrozumiałeś, Henri. Nie kocham cię już. I to wcale.

Wyraz twarzy prezydenta nagle się zmienił - wyglądał jak mały chłopiec, zaskoczony, ukarany, zmartwiony, rozczarowany, jak dzieciak, który próbuje nie dać poznać po sobie bólu, zachować się jak mężczyzna. Aby go dobić, dodała:

- I to nie jest żadna nowość!

- Catherine, żartujesz?

- Śmiesz cię to?

- Nie.

- Więc to nie jest żart.

Dusił się ze złości. Przerażony jak zając, którego oślepiły reflektory samochodu, przepętniony niepokojem, najpierw się cofnął, potem zmarszczył nos, a jeszcze później cały się zatrząsł. Przez chwilę słyszał tylko, jak burczy mu

w brzuchu, po czym miał właśnie coś powiedzieć, ale Catherine nie dopuściła go do słowa:

- Zapewniam cię, Henri, wcale nie cierpisz. To tylko krwawi twoja miłość własna. A ty w dużej części składasz się z miłości własnej. W jakiej? Powiedzmy, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć procent twojej osobowości? Na szczęście za chwilę pocieszysz się twoja kochanka - wiesz, ta od perfum.

Zbladł, niezdolny określić, co zszokowało go bardziej, słowa Catherine czy jej ton, odległy, rozbawiony, prawie obojętny.

- I to od dawna?

- Co od dawna, Henri?

- Że... że ty... że ty mnie... To, co powiedziałaś...

- A, że cię nie kocham?

Zastanowiła się.

- Od bardzo dawna. Mogłabym ci powiedzieć, że to od czasu, gdy nie masz już dla mnie ani godziny, ale to nieprawda, to było wcześniej. Mogłabym ci powiedzieć, że to od czasu, gdy używasz naszego małżeństwa, aby przekonać Francuzów, że jesteś jak oni, ale to nieprawda, to było wcześniej. Mogłabym ci powiedzieć, że to od czasu, gdy całujesz mnie publicznie, a nigdy w domu, ale to nieprawda, to było wcześniej. Mogłabym ci powiedzieć, że to od czasu, gdy masz kochanki, ale to nieprawda, to było wcześniej. Mogłabym ci powiedzieć, że od czasu, gdy w nieprzychylny

sposób wykorzystaleś głuchotę naszej córki, żeby wzruszyć opinię publiczną, ale to też nieprawda, to było wcześniej. Prawda jest taka, że od zamachu. Zamachu na ulicy Fourmillon.

Zachwiał się, usta drżały mu z wściekłości. W otoczeniu stuletniej boazerii jego głos zabrzmiał zimno, ostro:

- Co masz na myśli?
- Dobrze zrozumiałeś. Ja wiem.
- Co wiesz?

Wszyscy Francuzi pamiętali o zamachu na ulicy Fourmillon. Według specjalistów od polityki, jeżeli tamtego roku Henri dostał głosy, których brakowało mu wcześniej, to dlatego, że padł ofiarą podłej agresji. Gdy jechał samochodem, ostrzelało go dwóch zamaskowanych mężczyzn. Ranny Henri próbował ich ścigać, ale wkrótce zrezygnował, żeby zająć się swoim szoferem – całym we krwi. Opinia publiczna doceniła jego odwagę; następnego dnia obwołano go politycznym bohaterem; w ciągu czterdziestu ośmiu godzin jego krytycy zostali uznani za ekstremistów, integrystów, ludzi niebezpiecznych, zdolnych do morderstwa na zamówienie. Ponieważ ta sprawa zdyskredytowała jego przeciwników, wygrał wybory z dużą przewagą głosów.

- Wiem, mój drogi Henri, wiem to, co niektórzy podejrzewali, ale nie śmieli o tym pisać. Wiem to, czemu będziesz przeczył do końca swoich dni,

stanowczo, z oburzeniem. Wiem, co zrobiłeś: ukarowałeś, zorganizowałeś i opłaciłeś to zabójstwo. To była zwykła strategia komunikacyjna. Zresztą dobrze odebrana, bo dzięki tej kalkulacji zostałeś prezydentem. Szkoda, że z powodu twojej ambicji od tamtego czasu twój dawny pracownik jest sparaliżowany, przykuty do fotela. Od tamtego dnia gardzę tobą.

Cisza wywołała między nimi jeszcze większy dystans. Pokój zalała lodowata nienawiść.

- Myślę, że oszalałaś - powiedział wolno.

Chwyciła czasopismo, wręczyła mu je.

- Patrz teraz! Skoro wiesz to, co ja wiem, popatrz! Zobacz, z jaką aktorką żyjesz... Znam twoje podłości, ale się uśmiecham. Nudzę się, ale się uśmiecham. Jestem nieszczęśliwa, ale się uśmiecham. Nie znoszę cię, ale się do ciebie uśmiecham. Zdumiewające, prawda? Nie wyglądam ani na ofiarę, ani na kata. Doskonała gra, nie klaszczesz? Powinieneś, bo tylko ty możesz docenić ten wyczyn! „Wzorowa miłość”, twój Rigaud ma rację, że jest zadowolony z tego artykułu: udaje ci się uniknąć najgorszego!

- To wojna? - zapytał.

- Ależ nie, to nasze życie.

Henri szukał jakiejś odpowiedzi, nie znalazł, skierował się w stronę drzwi, sztywny, struty, wściekły.

Przy drzwiach odwrócił się i rzucił w jej stronę:

- Dlaczego mówisz mi to wszystko dzisiaj?
Skąd ten przypływ szczerości? Teraz?

Otworzyła szeroko oczy.

- A tego nie wiem. Naprawdę.

- Tak? - mruknął z niedowierzaniem.

- Przysięgam, Henri. A poza tym to dla mnie taka ulga, że zastanawiam się, dlaczego czekałam tak długo.

Wzruszył ramionami, przekroczył próg, zatrzasnął drzwi i głośno zszedł po schodach.

Gdyby nie uniósł się złością, mógłby się zbliżyć do Catherine i dojrzeć, że od kilku minut płacze.

Przez następne miesiące napięcie między nimi narastało.

Na zewnątrz nic się nie zmieniło: prezydencka para dalej wypełniała swoje obowiązki - przyjęcia, wizyty, podróże, a także udawanie miłości; żadne straszne słowa nie zostały już wypowiedziane, ani publicznie, ani prywatnie.

Ale to milczenie ich nie uspokajało; przeciwnie, nadawało tym większą wagę fatalnym zdaniom, od których zaczęła się sprzeczka; zaś ich nienaganny sposób bycia, na który lata praktyki działały jak oliwa na zawiasy, stał się zasłoną skrywąjącą rosnącą wrogość.

Henri, wstrząśnięty czymś, czego się w ogóle nie spodziewał, cierpiał bardziej niż Catherine;

o ile, jak to zwykle zarozumialcy, łatwo znosił brak sympatii, o tyle nie mógł ścierpieć, że ktoś go lekceważy, tym bardziej gdy pogardę okazywał mu ktoś, kto znał go najlepiej. Widział przed sobą trzy rozwiązania: albo przyznać rację Catherine, to znaczy zgodzić się, że wykorzystał bliskich i dopuścił się oszustwa, aby wygrać wybory; albo próbować się przed nią usprawiedliwić; albo wszystkiemu zaprzeczyć. Naturalnie wybrał ostatnią możliwość. Uspokoiwszy sumienie, nie rozważając w ogóle tego, z czego wynika bunt jego połowicy, wybaczył sobie, a historię z miejsca napisał na nowo: przyczyną problemu przestał być Henri, stała się nią Catherine. Zaczął się skarżyć, że musi znosić taką partnerkę, szaloną, schizofreniczną, jątrzącą, zazdrosną o jego sukces, o jego sukcesy. Cóż za dziwaczna osobowość! Fałszywa, skończona, dwulicowa, z pozoru uroczą, w rzeczywistości nienawistna, jak doktor Jekyll, który przemienia się w pana Hyde'a.

A Catherine bawiła się tą nową sytuacją. Podobą jej się dręczenie swojego męża. Przynajmniej wyszła z roli marionetki, no i przestała być zdradzaną a bezsilną żoną. Obawiał się jej. Narzucała mu swoją obecność: kobiety nieznanej, nieprzewidywalnej, której się bał, co zdradzały jego nerwowe tiki i oczy, czarne źrenice pytające z łękiem: „Co ona zrobi? Co powie? O czym myśli?”.

Postawiła sobie za punkt honoru, aby nie dawać mu ani odpowiedzi, ani wskazówek; nie pokazywała żadnego punktu zaczepienia; a nawet lepiej, bo w miarę jak mu się wymykała, zmuszała go, aby ciągle, wręcz obsesyjnie na nią patrzył. Wychodziła na scenę swego życia tylko dla Henriego. Widzów miała miliony, od lat, we Francji i za granicą, bo dzięki swemu stanowisku znajdowała się w centrum powszechnej uwagi, ale do tej pory fascynowała tylko naiwniaków, głupków, którzy zakładali, że jest zakochana w Henrim, że jako pierwsza dama czuje się szczęśliwa. Od chwili wyznania miała przenikliwego widza, który mógł docenić jej grę, był zdolny dojrzeć, w jakim stopniu wyrażała odwrotność tego, co czuła; odtąd Henri nie tylko zdawał sobie z tego sprawę, ale też napełniało go to zgrozą. Cóż za rozkosz... Mimo to prezydent, jako dobry polityk, wiedział, że nikt nie jest nieustannie szczery, że każdy kiedyś kłamie, kręci, obiecuje, zapomina; a więc, jako dobry polityk, wierzył też trochę w to, co sam odgrywał, we wzruszenie, oburzenie, gniew, determinację, moc, niemoc. Totalny cynizm Catherine kojarzył mu się z otchłanią, po której poruszali się tylko skazańcy.

Henri zniecierpliwiał przymus dzielenia życia ze swoją żoną. Potem ta nienawiść przeniosła się na samą Catherine.

Coraz słabiej próbował ukrywać swoje uczucia. Gdy tylko nie było wokół nich świadków, zdejmował maskę usłużnego męża; gdy tylko wsiedli do samochodu lub wrócili do pałacu, rysy prezydenta Morela wypełniały się rozdrażnieniem, wrogością, szalem. Był pełen urazy, goryczy, kipiał tłumioną wściekłością.

Catherine zaś była zachwycona tym aktem przemocy, która ją smagała, ożywiała, wyrывała z nudy; była dla niej czymś tak cennym jak dla drzewa przyływ soków na wiosnę. Choć ich miłość się nie odrodziła, z pewnością odrodziła się ich historia.

Pewnego dnia, gdy chodziła po butikach na Saint-Germain-des-Près w eskorcie dwóch ochroniarzy i szofera, w jej polu widzenia kilka razy pojawił się człowiek w beżowym płaszczu nieprzemakalnym.

Natychmiast pojęła, co się dzieje: jej mąż kazał ją śledzić. Nie posiadała się z radości. Nie tylko udawała, że nie widzi detektywa, ale kilka razy odwróciła uwagę swojej ochrony, aby też go nie dostrzegła.

– Czego szuka Henri? Co chce wiedzieć?

Po miesiącu odkryła cel tego śledztwa: prezydent stworzył listę przyjaciół swojej żony; następnie każdemu z nich wysyłał zaproszenie do Pałacu Elizejskiego na „nieformalne śniadanie”

bez Catherine, podczas którego, w zgrabnej rozmowie, próbował z nich wyciągnąć różne informacje. Nie zdradzając swoim rozmówcom, o co chodzi, były adwokat, a obecnie głowa państwa, oceniał, jak zażyła znajomość łączyła ich z Catherine oraz jak dalece podziwiali lub nie znosili jego samego, wszystko po to, aby się przekonać, czy Catherine ujawniła jakiemuś powiernikowi lub powiernicze wybuchowe sekrety, które znała.

Bawiły ją opowiadania przyjaciół o tych śniadaniach. Onieśmiał ich, pochlebiał, dyskretnie nimi kierował, a oni nigdy nie odgadli, że prawdziwą przyczyną, która kierowała postępowaniem Henriego, było jego bezpieczeństwo.

- Jeżeli mnie tropi, to ze względu na siebie, nie na mnie. Interesuje się tylko samym sobą.

Ponieważ człowiek w nieprzemakalnym płaszczu lub jego nijaki zastępca nadal ją szpiegowali, postanowiła zrobić im kawał.

Poprosiła niejakiego Charles'a, przyjaciela przyjaciół, antykwariusza z lewobrzeżnego Paryża, o spotkanie w jego garsonierze. Przystojny czterdziestolatek, wysoki, smukły, elegancki, wciąż młody, mimo białych nitek połyskujących w jego ciemnych włosach, poczuł się zaszczycony i zgodził się z entuzjazmem. Codziennie z ostentacyjną dyskrecją udawała się do niego o piątej po południu i zostawała do siódmej. Za szczerze

zasuniętymi zasłonami pili razem herbatę, rozmawiali, śmiali się, słuchali muzyki, tak że jej zadowolenie w chwili, gdy wychodziła z kamienicy – pstryk, zdjęcie! – nie było udawane. Czy to wystarczyło, aby wzbudzić podejrzenia prezydenta Morela?

Po tygodniu oczy Henriego powiedziały jej, że już go poinformowano. Po czym poznała? Po błysku radości: wydawało mu się, że teraz wreszcie zagnie żonę, bo popełniła błąd.

Przez kolejny tydzień jej systematyczne wizyty trwały nadal.

Henri, który utwierdził się w swoim przekonaniu, z trudem ukrywał radość. Catherine za to udawało się to bardzo dobrze.

W trzecim tygodniu postanowiła go dobić: przeparadowała z Charles'em ulicami Paryża, poszli do restauracji i na przedstawienie. Potem, jako że pożądana reakcja nie następowała, kilkoma sprytnymi telefonami spowodowała, że paparazzi po cichu sfotografowali dwoje przyjaciół.

W sobotę rano, w najgorszym plotkarskim tygodniku, ukazało się ich zdjęcie opatrzone podpisem: „Z takim faworytem pierwsza dama raczej nie wzbudzi zazdrości prezydenta”. Po czym dziennikarz rozwodził się nad powszechnie znanym faktem, że paryski antykwariusz jest homoseksualistą. Rzeczywiście, jeżeli ktoś chciał się dowiedzieć

czegoś o Charles'u, natychmiast trafił na informację, że ma on zdecydowaną i wyłączną skłonność do mężczyzn. Tylko dwaj szpiedzy w nieprzemakalnych płaszczach – z powodu głupoty – i jej mąż – z powodu nadmiernego upodobania do kobiet – mogli zlekceważyć ten szczegół i wyobrazić sobie, że Catherine wzięła sobie Charles'a za kochanka.

Tego samego wieczoru, ubrana w długą suknię, pałacowymi korytarzami udała się na galę wydaną w Pałacu Elizejskim na cześć prezydenta Rosji; spotkała tam Henriego, w bardzo złym humorze, jakby miał do niej pretensję, że go nie zdradziła. W skrytości ducha była zachwycona, przetrwała tysięczną państwową kolację, sztywną jak uczeń na szefa służby w hotelu, na której żaden kwiat nie był zwiędły, żadne słowo zbyt głośne, żaden gest zbyt gwałtowny, żadna refleksja zbyt oryginalna, kolację woskowych lalek uwieczonych między wysokimi sufitami a monumentalnymi tapiseriami.

Po przyjęciu, kiedy wracali do mieszkania, gdy tylko znaleźli się sami na schodach, zaryzykował pytanie:

- Jak znosisz to, że mam kochanki?
- Jestem zachwycona, że inne kobiety wykonują robotę, na którą ja nie mam już ochoty.

Zatrzymał się i przyjrzał jej uważnie, zaciskając pięść, aby powstrzymać się od uderzenia.

– Wiesz, że za taką uwagę inny mężczyzna by cię spoliczkował?

Potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

– Być może. Ale czy powiedziałabym to innemu mężczyźnie?

Podszedł do niej z groźnym wyrazem twarzy.

– Dlaczego ode mnie nie odejdiesz?

– To by ci sprawiło zbyt wielką przyjemność.

– A dla ciebie to by nie była przyjemność?

– Moja zemsta polega na tym, żeby z tobą zostać.

– Ale byłabyś wolna!

– Ty też. I umiałbyś, mój drogi Henri, lepiej korzystać ze swojej wolności niż ja ze swojej. Więc wolę sobie odmówić, aby i ciebie pozbawić tej możliwości. W poświęcaniu się będę zawsze lepsza od ciebie.

Mówiła szczerze. To z wściekłości nadal była mu wierna, tak jak od samego początku jego kadencji. Święta. Nie dało się przyłapać jej na błędzie. Nigdy żadna kobieta nie dołożyła takiej staranności, aby nie zdradzić swego męża: jeżeli kiedyś robiła to z szacunku dla niego, to teraz po to, aby go upokorzyć.

Dodał jeszcze:

– Jesteś zepsuta.

– Mój drogi, może właśnie dlatego kiedyś się sobie podobaliśmy?

Weszli do środka. Henri zamknął drzwi na zasuwę. Do rana nie padło żadne słowo.

Następnego dnia słońce oświetliło trawniki Pałacu Elizejskiego jak cudowna obietnica.

Henri nalegał, aby zjeść śniadanie ze swoją żoną, zupełnie inaczej, niż miał w zwyczaju. Poprosił o dwa nakrycia, sam położył je na stole w jadalni i zapominając o napięciach z poprzedniego dnia, powiedział uprzejmie do żony:

- Catherine, za półtora roku kończy się kadencja. Będę się ubiegać o powtórny wybór.

- Spodziewałam się tego.

- Co o tym myślisz?

- Twoja wygrana nie jest pewna.

- Wiem, będę walczył.

- Jak? Nie możesz już ryzykować numeru z zamachem.

Jego kark zeszywniał. Skrzywił się:

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Oczywiście.

Na minutę każde z nich pogrążyło się w zasadniczym zadaniu: pokryć konfiturą posmarowaną masłem kromkę, tak aby nie zabrudzić nią stołu ani palców.

Podjął temat na nowo, jakby nigdy nic:

- Chciałbym, żebyśmy przed tą drugą kadencją się rozstali.

- Dlaczego?

- Twoim zdaniem...
- To byłoby dla ciebie duże ryzyko polityczne, mój drogi.
- Rozwiedziony prezydent? Obyczaje się zmieniły!
- Taka niespodzianka byłaby dla ciebie groźniejsza. Od zawsze, od czasu gdy istnieją gazety, radio i telewizja, wszyscy wierzą w wielką miłość między nami. Nasza historia nazywa się „Wzorowa miłość”. Odkrycie, że to nieprawda, że to zwykły lep wyborczy, zasłona dymna, wywołałoby nieufność u twoich zdeklarowanych wyborców, a tym bardziej u niezdecydowanych: czyżby prezydent nas okłamał? Ile jest prawdy w tym, co nam naopowiadał? Czy ostatecznie należy go tak dobrane oceniać? Czy jego czyny i gesty nie są częścią strategii komunikacyjnej?
- Nic mnie to nie obchodzi. Mam dosyć.
- Mnie?
- Ciebie! Nas!
- Czyżbyś miał jakąś nową kochankę, która marzy o tym, aby się mnie pozbyć?
- Nawet nie to.
- A co?
- Nie znoszę tego, jak na mnie patrzysz. Roześmiała się.
- Z pewnością. Widzę cię takim, jaki jesteś. I to bardzo brzydki obrazek.

Skrzywił się, przełknął ślinę, po czym kładąc otwarte dłonie na stole, aby się uspokoić, zakończył:

- Zechcesz rozpatrzyć moją propozycję?

- Już rozpatrzyłam: odmawiam.

- Dlaczego?

- Znalazłam swoją drogę. Co mam robić po odkryciu, że cię już nie Kocham? Nienawidzić cię. To mi odpowiada.

- Catherine, nie mogę znieść tego, że żyjemy razem.

- A jednak będziesz musiał się do tego przyzwyczaić. Pozwól mi więc podsumować sytuację. Po pierwsze, będziesz się ubiegał o nową kadencję tylko wtedy, gdy się na to zgodzę.

- Słucham?

- Będzie ci potrzebne to, żebyś trzymała gębę na kłódkę, żebyś zatrzymała dla siebie moje szkaradne tajemnice, żebyś nie zaczęła gadać o zamachu na ulicy Fourmillon.

Jego ciało zgięło się, jakby dostał cios w żołądek. Mając pewność, że ją usłyszał, ciągnęła:

- A po drugie, w czasie tej kolejnej kadencji będę z tobą. Nie zapominaj: „Wzorowa miłość”!

Przełknął łyk kawy; wydawało się, że jego oczy patrzące ponad filiżanką mogą zabić.

- Dlaczego takie piekło? - zapytał.

- Żebyś odpokutował to, co zrobiłeś. Co zrobiłeś ze mną, z naszą córką, ze swoimi zasadami, z naszym życiem, z twoim byłym kierowcą.

– Jesteś obłąkana, Catherine. Jesteś już nie tylko moją żoną, ale boską sprawiedliwością!

– Właśnie tak!

Wstała i wyszła z pokoju.

W kolejnym tygodniu miał miejsce incydent, na który początkowo nie zwróciła żadnej uwagi. Gdy jechała na weekend do Instytutu Głuchych i Niedosłyszących w Cognin w Alpach, gdzie przebywała ich córka, kierowca po kilku kilometrach zatrzymał się, aby sprawdzić stan hamulców, bo źle działały. Potwierdził to mechanik w warsztacie. Catherine pogratulowała Martinowi, że w odpowiednim momencie się zorientował; jazda zakosami górskich dróg byłaby dla nich fatalna w skutkach.

Lecz dziesięć dni później, gdy wracała z opery w Compiègne, gdzie oglądała *Czarne domino*, zapomniane dziełko z XIX wieku, nastąpił wypadek.

O pierwszej nad ranem, w opustoszałym Paryżu, limuzyna prowadzona przez Martina jechała tunelami ciągnącymi się wzdłuż brzegów Sekwany na most Alma, gdy pojawił się za nią biały samochód z oślepiającymi światłami. Niepokojący, irracjonalny samochód jechał tak blisko nich, że musieli przyspieszyć. Nagle ruszył na nich inny pojazd, jadący z przeciwka pod prąd, zygzakiem, tak że Martin nie miał wyjścia i skręcił

kierownicą. Sekundę później prezydencka limuzyna roztrzaskała się na kolumnie tunelu.

Wśród trzasku i odgłosów gnącej się blachy Martin krzyknął z bólu, a siedząca z tyłu Catherine poczuła, jak coś rozdziera jej kolano.

Pomoc nadeszła szybko, przyjechało pogotowie i strażacy, którzy uwolnili pasażerów. Połamanych, ale przytomnych.

Już w drodze do szpitala Catherine wiedziała, że z tego wyjdzie, i jej kierowca też. Jednak to jej nie uspokoilo, bo zidentyfikowała już prawdziwe niebezpieczeństwo: Henri!

W miarę jak wycie syreny przetaczało się przez paryską noc, Catherine zdawała sobie coraz lepiej sprawę z grozy sytuacji: Henri wydał rozkaz, aby ją usunąć. Skoro nie chciał już mieć jej u swego boku ani w nadchodzącej kampanii, ani podczas ewentualnej drugiej kadencji, nie miał żadnych skrupułów.

Gdy znalazła się na izbie przyjęć w szpitalu Pitié-Salpêtrière, poczuła ulgę, że znalazła się w państwowym szpitalu, a nie w prywatnej klinice, gdzie mógłby ją trzymać jak zakładnika i robić, co chciał.

Zbadali ją najwięksi specjaliści od traumatologii, zrobili jej zastrzyki, podali tlen, pobrali krew, po czym oświadczyli, że natychmiast zoperują jej nogę.

Po przebudzeniu zobaczyła pochyloną nad sobą, pełną uwagi twarz Henriego.

Od razu się uśmiechnął, wziął ją za rękę, pogłaszał po skroniach. Pozwalała mu na to, przerażona i wycieńczona. Mówił, ona odpowiadała niewyraźnymi mruknięciami; wykorzystał to, aby wygłosić namiętny monolog. Przez jakiś czas, który wydawał jej się nieskończony, wyrażał się niczym idealny mąż, zszokowany, czuł, jakby się bał, że ją straci, jakby jeszcze się dla niego liczyła, jakby ją ciągle kochał. Bez żenady wyznał jej, że zobaczenie jej w tym stanie, tak słabej, ocalałej od śmierci, pozwoliło mu stwierdzić, jak bardzo absurdalne były te ostatnie miesiące dąsów, kłótni i oddalenia. W dowód szczerości spod jego nieco wschodnich powiek popłynęło kilka łez. Niema, ukryta za swoim cierpieniem Catherine nie mogła się nadziwić: jak on mógł do tego stopnia kłamać? Nawet jej by się to nie udało. Zabójca perfekcyjnie używał mimiki, myśli i uczuć zapożyczonych od ofiary! Cóż za artysta... Pozwoliła mu skończyć swój numer, bo nie miała ani siły, ani energii, aby zareagować.

Przez kolejne dni nadal cudownie grał rolę godnego podziwu, zaniepokojonego męża, czasem sam na sam z nią, czasem przed wzruszonymi świadkami. Jednak gdy tylko poczuła, że znów panuje nad swoimi nerwami, wykorzystała moment, gdy byli sami, aby zapytać Henriego:

- Jak daleko się posuniesz?
- Co masz na myśli, kochanie?
- Jak daleko się posuniesz w walce o władzę?
- O czym ty mówisz?
- Do zabójstwa żony?
- Miałś wypadek.
- Nawet dwa, w ciągu tygodnia. Ciekawe, prawda? Najpierw puszczają hamulce. A potem zasadzka.

- Szybko wyciągasz wnioski. Śledztwo jest w toku, sprawa zostanie wyjaśniona. Gdy złapią kierowcę, zawloką go przed sąd.

- Nie złapią go.

- A dlaczego?

- Bo ślad po tajnych agentach zawsze się urywa. Albo akta zostają objęte tajemnicą państwową.

- Nie rozumiem.

- Dwa wypadki, jeden po drugim, w których twoja żona jest śmiertelnie zagrożona... Wyobrażam sobie, że powołasz się na przypadek i prawo serii? Zresztą jedyne pytanie, jakie sobie zadaję, dotyczy twoich intencji. Chciałeś, żebym tam została? W takim wypadku twoje tajne służby są beznadziejne. Czy tylko chciałeś mnie przestraszyć? Jeżeli tak, to rzeczywiście cię słuchają. Skuteczne zastraszenie czy nieudany zamach?

- Kochanie, jesteś w szoku.

- No właśnie, a teraz mnie wykończ przy pomocy psychiatrów, którzy będą udawać, że jestem stuknięta. Wyjdę z tego, ale co najmniej z nogą w gipsie i otumaniona lekami, tak?

- Catherine, myślałem, że ten straszny okres podejrzeń i nienawiści, przez który przechodziliśmy, mamy już za sobą.

- Komu przynosi korzyści ta zbrodnia? Tobie.

- Nie było zbrodni.

- Powiedz to komu innemu!

- Posłuchaj, Catherine, ma próżno marzę, mam nadzieję, ponawiam wysiłki, nie rozumiemy się już. Gdy tylko wyjdiesz z tego szpitala, powinniśmy wyłożyć sobie nasze problemy, porozmawiać o nich i przyjąć jakieś rozwiązanie.

- Rozwieść się? Nigdy! Nigdy, słyszysz, nigdy! Nie dostaniesz ode mnie rozwodu.

Ponieważ zaczęła krzyczeć, podniósł się przerażony, że jego siedzący na korytarzu sekretarz usłyszał słowo „rozwód”. Potem popatrzył na nią wzrokiem, w którym mieszały się przestrasz i współczucie.

- Do jutra, Catherine, porzuć te podłe podejrzenia, opanuj się.

Niespodziewanie wyszedł.

Gdy została sama, Catherine dała się ogarnąć panice. Jak mu umknąć? Tutaj, w szpitalu, nie obawiała się niczego, ale gdy tylko znajdzie się

na zewnątrz, będzie narażona na nowe niebezpieczeństwa, będzie celem bardzo tajnych służb na usługach jej bardzo potężnego małżonka.

Jako że strach jest dobrym bodźcem, znalazła wyjście. Natychmiast poprosiła o wizyty w ciągu trzech dni, jakie miała jeszcze spędzić w szpitalu, jak największej liczby przyjaciół i znajomych. Jej telefony okazały się owocne: odwiedziło ją około czterdziestu osób. Za każdym razem, gdy przychodził, Henri widział ją w liczonym towarzystwie. Pomyślał, że jej nastrój się zmienił, i ucieszył się.

Wreszcie dzień przed wyjściem, o zmroku, prezydent mógł pobyć z nią przez chwilę sam na sam.

Catherine szeroko się do niego uśmiechnęła.

- Cieszę się, że wracam, Henri, tak, bardzo się cieszę.

- Och, tym lepiej - odparł, nie ukrywając ulgi.

- Wcześniej bałam się stąd wyjść, bo wiedziałam, że to oznacza oddanie się w ręce ludzi, którzy źle mi życzą. Teraz jestem spokojna.

- Przeszło ci to paranoiczne majaczenie, jestem zachwycony. Niepokoiłem się.

Stwierdziła, że wygląda na szczerego. Z niego też był wielki aktor...

- Tak, wracam do Pałacu Elizejskiego bez lęku. Za to ty będziesz się bał.

- Słucham?

- Będziesz się bał, że mi się coś stanie.

- Naturalnie że się boję, żeby ci się nic nie stało, zawsze się bałem, że może ci się coś stać, nic nowego pod słońcem.

- Nie, będziesz się bał bardziej niż dotychczas. Ponieważ w ciągu kilku ostatnich dni wykorzystałam moich gości, aby się zabezpieczyć. Od jutra, jeżeli zostaną ranna, na światło dzienne wypłynie pewien list. List złożony w pewnym miejscu, za granicą, z dała od twoich szpiegów i sił specjalnych. List, w którym opisuję zamach na ulicy Fourmillon - to, co o nim wiem, czyli dużo - i różne wypadki, które miały miejsce, z małymi hipotezami na temat ich zleceniodawców. Nie mam wątpliwości, że tym razem, jeżeli zginę, po rozpowszechnieniu mojego listu w prasie zostanie przeprowadzone dokładne śledztwo, prawdziwe śledztwo, nad którym nie będziesz miał kontroli.

- Oszalałaś!

- Jeżeli coś mi się stanie, już po tobie.

Popatrzyli na siebie uważnie wzrokiem pełnym nienawiści. Było to równie intensywne jak pożądanie, równie gwałtowne jak miłość, przypominało im, jak byli dla siebie nawzajem ważni kiedyś, na początku ich związku. Z tą małą różnicą, że teraz ich uczucia doprowadziły do tego, że każde raczej życzyło drugiemu śmierci, niż pragnęło wspólnej przyszłości.

Wszedł lekarz, stanął przed tym dwojgiem pełnych napięcia ludzi, pomyślał, że przerwał namiętne wyznanie, chrząknął.

- Przepraszam, że państwu przeszkadzam.

Catherine od razu przykleiła do twarzy miły uśmiech i zachęciła światowym tonem:

- Proszę wejść, panie profesorze, proszę wejść.

Nie chcąc pozostać w tyle, Henri też rzucił się świadczyć ordynatorowi uprzejmości. Składając mu gratulacje, podsunął krzesło, aby usiadł z nimi, przy łóżku.

Lekarz, zażenowany, pełen, powściągliwości i obaw, wycofywał się.

- Panie prezydencie, pani prezydentowo... gdy została pani przywieziona na izbę przyjęć, zrobiliśmy badania. Jeżeli chodzi o wypadek i jego następstwa, myślę, że zrobiliśmy tu na oddziale wszystko, co możliwe. Będzie pani mogła żyć tak jak wcześniej. Jednak w trakcie badań znaleźliśmy coś innego.

Prezydent dał lekarzowi znak, aby usiadł. Ten ponownie odmówił i zwrócił się do Catherine.

- Niestety musimy teraz rozmawiać o groźniejszym problemie zdrowotnym. Analiza krwi wykazała obecność nowotworu.

- Nowotworu?

- Nowotworu.

- To znaczy: raka?

Profesor skinął głową.

Catherine i Henri popatrzyli na siebie z mieszanymi uczuciami.

Henri wstał i powiedział z pewnością siebie, która wymagała natychmiastowej, szczerzej odpowiedzi:

- Czy to groźne, doktorze?

Profesor Valenciennes zagryzł wargi, spojrzal na ścianę z lewej strony, potem z prawej, w poszukiwaniu inspiracji, której nie znalazł, i odparł, patrząc na swoje białe buty:

- Niepokojące. W najwyższym stopniu niepokojące.

Nie można było lepiej tego określić.

Prezydentowi wyrwało się „Cholera!”, jego normalne przekleństwo. Catherine zemdlala.

Stan zdrowia Catherine szybko się pogarszał.

Po powrocie do Pałacu Elizejskiego, do mieszkania na poddaszu, przez jakiś czas miała jeszcze nadzieję na wyleczenie, chociaż badania wykazywały, że choroba, za późno zdiagnozowana, postępowała w piorunującym tempie.

Chemioterapia ją wyczerpała. Straciła apetyt. Jej włosy się przerzedziły. Specjaliści przestali gorątkowo walczyć z uporczywymi przerzutami i postanowili przerwać wszelkie leczenie. W ten sposób Catherine zdobyła pewność, że nie wyzdrowieje; w wyniku tego poczuła dziwne ukojenie.

- A więc to moje przeznaczenie... tak miałam skończyć... a teraz...

Strach przed śmiercią to w gruncie rzeczy trzy różne lęki: boimy się, bo nie znamy daty śmierci, sposobu, w jaki umrzemy, i samej śmierci. Dla Catherine dwa z tych elementów były już jasne: zgaśnie niedługo, na opanowującego cały organizm raka. Lęk, jaki mogła odczuwać, dotyczył już tylko śmierci jako takiej; ale ponieważ od dzieciństwa była wierząca, nie obawiała się tej tajemnicy; oczywiście nie wiedziała o niej nic – nie więcej niż inni – ale miała wiarę.

Henri nalegał, aby została w Pałacu, przy nim, gdzie mogli ją odwiedzać przyjaciele, którzy często przychodzili.

Wszyscy byli zaskoczeni – w tym jej mąż – jej pełną akceptacji łagodnością. Ten spokój wynikał z tego, że oswoiła raka. Pewnego dnia zapytała młodą pielęgniarkę, która podawała jej zastrzyk z morfiny:

- Gdybym powiedziała wcześniej, gdybym szybciej wyrzuciła z siebie to, co miałam na sercu, czy uniknęłabym raka? Gdybym uwolniła się w słowach, może ta choroba nie rozwinęłaby się we mnie?

- Rak to przypadek, proszę pani.

- Nie, to skutek. Czasem formę raka przybierają zbyt ciężkie tajemnice.

Oczywiście nie utrzymywała, że ma rację, ale ten punkt widzenia pozwalał jej zaakceptować, uznać, że to jej, właśnie jej, tylko jej się to przydarzyło. Inaczej niż zamach, który przyszedł z wewnątrz, rak został wygenerowany przez jej ciało, jej duszę, przez nią.

Kręcił się przy niej Rigaud, doradca prezydenta do spraw komunikacji. Ponieważ wiedziała, że nie cierpi chorób do tego stopnia, iż nie wszedł do szpitala, gdzie konał jego własny ojciec, przepuszczała, że przygnało go coś innego niż współczucie, i przy filiżance herbaty poprosiła go, aby ulżył swojemu sumieniu.

- Muszę panią o coś poprosić - przyznał. - Miał to zrobić pan prezydent, nie ja, ale jest tak tym wszystkim przygnębiony, że nie ma śmiałości. Otóż: czy możemy ogłosić publicznie, w jakim jest pani stanie i powiedzieć o pani... trudnościach... prasie?

Zmierzyła go wzrokiem bez sympatii. Zaledwie udało jej się oswoić z chorobą, gdy już jej ją odbierał.

- Dlaczego?

- Prezydent jedzie na wieś w ramach kampanii wyborczej. A ludzie zaczynają się zastanawiać nad przyczyną pani nieobecności. Niektórzy mówią, że jest pani przeciwna tej drugiej kadencji; inni plotkują, że już się państwo nie dogadują;

a jeszcze inni przypisują pani związek z nowojorskim sprzedawcą obrazów.

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Och, biedny Charles... proszę, oto paryski antykwariusz przerobiony na nowojorskiego sprzedawcę obrazów. A gdy już się znalazł na drugim brzegu Atlantyku, stał się heteroseksualny! Ależ moc mają plotki...

Zakłopotany Rigaud brnął dalej:

- Tak, proszę pani, plotki się mnożą, tyleż fałszywe, ile szkodliwe, tym bardziej że poważna mina pana prezydenta je potwierdza. Więc przyszedłem panią prosić o wyjawienie prawdy. Jest ją pani winna sobie samej, panu prezydentowi, waszemu wzorowemu małżeństwu. Rozwiejmy te wstrętne pomówienia.

Zastanowiła się.

- Czy ludzie będą wzruszeni, Rigaud?

- Ludzie panią uwielbiają. Proszę się spodziewać wielu wyrazów sympatii i smutku. Zostanie pani nimi zalana.

- Nie, chodziło mi o to, że ludzi wzruszy Henri Morel, po raz kolejny, ten dzielny i odważny Henri Morel, który wyszedł cało z zamachu przed pierwszą kadencją, a teraz, przed drugą, szlachetnie towarzyszy w agonii swojej żonie.

- Los z pewnością nie oszczędza biednego pana prezydenta.

- Wierzy pan w to, co pan mówi, Rigaud?

Utkwił w niej wzrok, nieprzejednany, władczy, silny, i zdecydował się nie kłamać, więc przemilczał.

Skinieniem głowy zaaprobowwała tę ciszę, pokazując mu, że nie jest naiwna i dużo wie.

Upłynęła minuta, w ciągu której żadne z nich się nie poruszyło.

- Odpowiedź brzmi: tak - zakończyła.

Godzinę później, gdy Rigaud przekazał mu wieści, Henri wpadł do mieszkania, aby wyrazić swoją gorącą wdzięczność.

- Dziękuję, Catherine. Więc zgadzasz się, że bym się ubiegał o drugą kadencję?

- A czy mogę cię powstrzymać?

Stał zakłopotany, zastanawiając się, czy z powodu terapii i leków zapomniała o swoich groźbach. Podszedł do niej i wziął ją delikatnie za rękę.

- Możesz mi powiedzieć, o czym myślisz?

Nie, nie mogła. Nie wiedziała. Wszystko stało się takie zagmatwane. Jej oczy zaczerwieńczyły się od łez.

Henri pocałował ją, długo trzymał ją w ramionach, tulił, a potem czując, że się odpręża i zaraz zapadnie w sen, pozwolił jej odpocząć.

Choroba wszystko między nimi zmieniła: agresja straciła prawo wstępu do ich życia.

Catherine, akceptując swoje tragiczne przeznaczenie, nie chciała już kasać; nie tylko dlatego, że to nie leżało w jej naturze, ale też przypominało jej to czas sprzed wykrycia raka; w niejasny sposób kojarzyła ironię, sarkazm i słowną przemoc z pogorszeniem się jej zdrowia!

Podczas gdy ona zmuszała się do milczenia, Henri stosował warunkową amnezję: zachowywał się „jak gdyby”, jak gdyby nigdy nie powiedziała mu o swojej pogardzie, jak gdyby nie zagraziła mu, że wyjawia to, co wie o zamachu na ulicy Fourmillon, jak gdyby nie złożyła za granicą kompromitującego testamentu. Wskutek ukrywania tych wydarzeń zaczął niemalże wątpić, czy naprawdę miały miejsce. Chwytał się swojej roli dobrego męża jak tonący brzytwy, to było jego zbawienie, rzeczywistość, którą chciał stworzyć. „Dalej grać przedstawienie – szeptał do siebie często. – Trzymać się roli, nie pokazywać lęków ani wewnętrznego chaosu”.

Czyż nie miał racji? Czasem forma jest ratunkiem. Gdy zagraża nam mętlik, tylko pozory powstrzymują nas przed pogrążeniem się w chaosie; pozory mają dużą moc, są trwałe i utrzymują nas w ryzach. „Tylko nie upaść – powtarzał sobie – nie załamać się, nie poddać się lękom ani przed tym, co będzie znosić Catherine, ani przed tym, co jeszcze mi zgotuje”.

Sami już nie wiedzieli, co myślą, ani o sobie, ani o tym drugim. Nieszczęście rozrzuciło na stole karty do gry, której reguł nie znali; tymczasem choroba obojgu przyniosła niespodziewaną mądrość: żyć chwilą, pamiętać o swoim przemijaniu, polegać tylko na tym, co dzieje się teraz. Od tej chwili codziennie pokonywali swoją pnącą się w górę ścieżkę, nie myśląc o tym, jakie podejście czeka ich następnego dnia. Choć wiele szczegółów pozostało między nimi niewyjaśnionych, mieli zająć się tym dopiero we właściwym czasie, nie wcześniej.

Wiadomość o chorobie Catherine, którą przekazały media, była niczym eksplozja. Przez tydzień gazety, radio i telewizja mówiły tylko o tym, tak wielką cieszyła się popularnością, tak bardzo ją kochano i szanowano. Czytając gazety, Catherine miała wrażenie, że czyta mowę ze swojego pogrzebu; niekiedy jakiś komplement schlebił jej miłości własnej; często dochodziła do wniosku, że na reprodukcjach starych zdjęć lub na filmach archiwalnych ekshumowanych przez telewizję wygląda ładnie, nawet bardzo ładnie, tym ładniej, że ostatnie tygodnie nadszarpnęły jej urodę. Gdy przyłapała się na tym, że sama sobie gratuluje, najpierw się zaczerwieniła, a potem wybaczyła: w sumie jakie inne narcystyczne radości jej pozostały?

Za to gdy odkryła, że na sąsiednich ulicach rozbili obóz paparazzi, a także stacjonują przed wejściem, którym zwykle chodziła, czyli przed furtką w głębi parku, a nawet wspinają się po ścianach, żeby złapać teleobiektywem chorą pierwszą damę, wezwała doradcę prezydenta do spraw komunikacji.

– Mój drogi Rigaud, dziennikarze muszą przestać, bo inaczej do mojej śmierci zabraknie im kliszy.

Rigaud przełknął tę gorzką pigułkę i obiecał, że spróbuje zwrócić uwagę mediów na prezydenta.

Rzeczywiście, uwaga opinii publicznej skierowała się na kampanię Morela, jego godność, odwagę, tę niewiarygodną siłę, dzięki której był w stanie rozegrać tyle walk. Na fotografiach kandydatów w czasie kampanii zwykle widać w uśmiechu ich wszystkie trzydzieści dwa zęby, jemu jednak najchętniej robiono zdjęcia z zacisniętymi ustami, zmarszczonym czołem, mrocznym wzrokiem.

Gdy tylko mógł, dużo częściej, niż się spodziewała, przychodził do niej, albo żeby posiedzieć z nią przez chwilę w milczeniu, albo w kwiecistym monologu opowiedzieć jej o swoich potyczkach, projektach, zamiarach lub niepowodzeniach swoich przeciwników. Słuchała go z życzliwością.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy lekarz prowadzący Catherine zażądał, aby umieszczono ją w specjalnym zakładzie, który osobie tak osłabionej jak ona zapewniał lepszą opiekę. Henri chciał protestować, przeciwstawić się; ona odpowiedziała zwykłym skinieniem głowy.

Gdy lekarz i prezydent wyszli, zastanowiła się nad celem tej odmowy: chciał ją zatrzymać przy sobie z miłości czy bał się, że na odległość nie będzie już mógł jej kontrolować?

Jechała w kierunku Domu Rity, kliniki usytuowanej w zielonym departamencie Loiret, mieszczącej się we wspaniałym budynku wzniesionym pośrodku parku ze stuletnimi drzewami, gdzie, jak informował folder reklamowy, żyły tysiące pszczół.

Prezydent odwoził ją limuzyną do nowego miejsca, aby pomóc jej się tam ulokować, ale na widok nazwy wypisanej nad bramą wjazdową błyszczącymi literami z prawdziwego złota oburzył się.

– Dom Rity! Co za pomysł! Przywoływać imię Rity, patronki spraw beznadziejnych, w nazwie instytucji medycznej!

– Henri, nie jestem naiwna – szepnęła Catherine. – Wiem, że chodzi o centrum opieki paliatywnej, gdzie przyjmuje się chorych u progu śmierci.

- Ale...
- Wiem, że nigdy z tego nie wyjdę.
- Nie mów tego.
- Ależ tak. Więc Dom Rity mi odpowiada.

Znasz historię Rity?

Podczas gdy samochód jechał aleją, miażdżąc chrześzczący pod kołami żwir, przyglądał się ze zdziwieniem swojej małżonce, zastanawiając się, czy sobie z niego kpi. Przez ostrożność odparł neutralnym tonem:

- Nie, nie jestem ekspertem w hagiografii...

- Zanim stała się przedmiotem handlu religijnego, Rita była kobietą, prawdziwą piętnastowieczną kobietą, Włoszką, której udało się dokonać czegoś niemożliwego: pojednać dwie rodziny, choć te rodziny miały świetne powody, aby się nienawidzić, rodzinę swego męża i rodzinę zabójcy, który jej męża zasztyletował. Nikt lepiej od niej nie nadawał się do tego, by załagodzić nienawiść, małostkowość, aby głosić miłość, przebaczenie. Była chora, miała ropiejącą ranę na czole, dożyła jednak późnej starości, pełna dobroci, energii, optymizmu, czyniąc wokół siebie dobro.

- Zdziwiasz mnie, Catherine.

- Można nie wierzyć w świętych Kościoła katolickiego, ale trzeba przyznać, że pod tą marką spotyka się nie najgorsze postacie.

- Racja.

- Kto wie, co się wydarzy w domu, który nosi taką nazwę? - dodała, opuściwszy szybę, delektując się szmerem liści, zapachem świeżej ziemi, z której wyrastała bujna roślinność, widokiem główek tulipanów buchających zdrowiem.

Prezydent uznał, że to zdanie wyraża chęć wyzdrowienia, i pełen litości dla umierającej, która ma jeszcze nadzieję, wołał przerwać rozmowę.

Jakby oparta o dumny las dębowy wznosiła się wysoka biała budowla, na pół dworek, na pół zamek, o szerokiej werandzie, schodach ozdobionych rzeźbionymi lwami, krytych okuciami drzwiach. Dyrektorka placówki, jasnowłosa kobieta, stała przed wejściem i śledziła ich wzrokiem, jej personel zaś stał na schodach, jak służba w dawnych zamkach, oczekująca w pełnej gotowości powrotu pana do domu. W trakcie powitania wiele razy deklarowała wyrazy „zaszczylenia” pod adresem prezydenta i pierwszej damy, odpychającej rzeczywistości starała się nadać status oficjalnej wizyty, do tego stopnia, że Catherine i Henri, puszczać do siebie oko, gdy pokazała im ogromny bufet z produktami regionalnymi, dumna, jakby to ona wymyśliła herbatniki, omal nie wybuchli szalonym śmiechem, co im się już od lat nie zdarzyło.

Catherine umieszczono w obszernym pokoju, którego okna wychodziły na park, a potem

prezydent odjechał, wzywany przez obowiązki. Pocałował ją w czoło i obiecał, że szybko wróci.

Przez trzy dni nie miał jednak ku temu okazji, mimo szczerych chęci. Kampania wyborcza stała się bardziej intensywna, musiał poświęcać czas i energię nowej walce. Jako że otrzymywał wieści o niej co dwie godziny, przekazano mu, że Catherine poprosiła o pusty notes i wzięła się do pisania.

Zrozumiał, co się dzieje.

- No tak, spisuje wspomnienia, które mają mi zaszkodzić. Muszę szybko do niej pojechać i często ją odwiedzać. Im mniej tam będę, tym bardziej mnie obciążą.

Choć był przekonany, że jego obecność załagodzi jej gorycz, nie udało mu się znaleźć potrzebnych trzech godzin ani tego dnia, ani w ciągu kolejnych trzech.

W niedzielę poleciał helikopterem do Domu Rity.

Służalca dyrektorka, olśniona tą rozrzutnością, wjąc się w ukłonach, odprowadziła go aż do pokoju jego żony. Gdy pchnęła drzwi, wstrzymał oddech.

Catherine, siedząca przy stole, pochylona nad notesem, zmieniała się: czarująca twarz, w ciągu życia raczej ładna niż piękna, pod wpływem ataków

choroby, które złościły jej rysy, kładły się cieniem na powiekach i nadawały woskowy odcień cerze, przekształciła się w niezwykle piękne oblicze, nieruchome, szlachetne, dostojne, nic nie wyrażające, raczej oszłamiające niż miłe dla oka. Gdy odwiedzał ją codziennie, niczego nie zauważył, lecz teraz zdał sobie sprawę, jak wielka zaszła w niej przemiana. Ta kobieta częściowo opuściła już swoją ziemską powłokę, porzuciła świat żywych.

- Dzień dobry, kochanie.

Uplłynęło kilka sekund, zanim zareagowała – wszystko w niej działało się teraz wolniej – odwróciła się, zobaczyła Henriego, uśmiechnęła się do niego. Prezydentowi wydawało się, że to powitanie było szczere.

Ale gdy tylko się zbliżył, położyła ręce na stronach, które właśnie zapisała, tak aby ich nie zobaczył, zamknęła zeszyt i umieściła go między nogami.

Ten odruch przygnębił Henriego. Więc miał rację: mściła się.

Przez godzinę zabawiał ją rozmową, usprawiedliwiał swoją nieobecność, opowiadając z humorem i ze szczegółami o zajęciach, które w minionym tygodniu go zatrzymały. Mimo zmęczenia słuchała go uważnie i choć niezdolna do śmiechu, mrużeniem oczu zaznaczała chwile, w których normalnie by się roześmiała.

Opowiadając jedna za drugą zabawne historie, myślał tylko o notesie. Dlaczego nie miał odwagi go jej zabrać? Albo o nim porozmawiać?

Nagle wskazał na niego palcem.

- Piszesz?

Twarz Catherine się rozjaśniła.

- A co piszesz, jeżeli wolno zapytać?

Zawahała się, przez chwilę szukała słów, po czym ucieszyła się na te, które znalazła.

- To tajemnica.

Nalegał łagodnie, bez natarczywości:

- Tajemnica, którą możesz się ze mną podzielić?

Znów się zmieszala, odwróciła głowę i powiedziała wolno, wpatrując się w park w świetle zachodzącego słońca:

- Jeżeli się z tobą podzielę, to już nie będzie tajemnica.

Przelykając ślinę, powstrzymując rozdrażnienie, ciągnął tonem pełnym ufności:

- Będę mógł kiedyś przeczytać?

Oczy Catherine błysnęły. Ściągnęła usta, pełna goryczy.

- Tak.

Cisza zgęstniała. Na zewnątrz kończył się dzień. Przez szeroko otwarte okno pokoju dało się słyszeć trele wilgi i uderzenia dzioba o korę drzewa. W powietrzu unosił się spokój, oddalenie od wszystkiego, odpoczynek naturalnego ogrodu.

Henri nie zapalał światła, pozwalając ciemności zalewać pokój. W gruncie rzeczy ten zmierzch odzwierciedlał ich miłość: to, co było pełne blasku, stawało się posępne, smoliste, ciemności ich miażdżyły.

Pocałował ją w czoło i wyszedł.

W poniedziałek, o szóstej rano, w największym zaufaniu, wezwał jednego z szefów tajnej służby, generała Reynauda, i powierzył mu swoje zmarwienie, trochę je zabarwiając: obawiał się, że jego żona, chora, otumaniona lekami, przelewa na papier zdania, które mogą zostać źle zinterpretowane, a nawet wykorzystane przez jego przeciwników. Generał natychmiast wysłał do kliniki kogoś, kto miał odebrać jej wspomniane stronicę.

Uspokojony Henri Morel, kandydat na prezydenta, wrócił do swoich zadań.

W ciągu następnych tygodni, zajęty nimi bez reszty, przepracowany, biegając z mitingów do studia telewizyjnego, uczestnicząc w burzliwych dyskusjach ze swoimi adwersarzami, tylko trzy razy, choć miał z tego powodu poczucie winy, znalazł czas, aby do niej pojechać. Podczas każdej wizyty czuł się tak źle, że zachowywał się szorstko, nie był wystarczająco czuły; a widząc, że rozkład postępuje, był jeszcze bardziej rozdrażniony. Choć wydawało się, że jej to nie przeszkadza, wiedział, że robi jej przykrość, że budzi jej

gniew, że popycha ją tym samym coraz bardziej w stronę zemsty w pamiętnikach.

Nadszedł dzień wyborów. W pierwszej turze Henri Morel dostał czterdzieści cztery procent głosów, co nie wystarczało, by zwyciężyć, ale dobrze wróżyło na drugą turę, gdyż jego konkurenci, podzieleni, nie mając wyraźnego lidera, zmobilizowali każdy po dziesięć procent elektoratu. Taki wynik pozwalał wierzyć, że podział głosów w drugiej turze będzie dla niego korzystny.

Rzucił się w wir walki z wielką energią, tym bardziej że działanie pozwalało mu zapomnieć o agonii Catherine i o tym, co nastąpi po jej śmierci.

W niedzielę, w drugiej turze wyborów, Henri Morel zdobył prezydenturę pięćdziesięcioma sześcioma procentami głosów – zwycięstwo! Wszyscy w jego sztabie wyborczym nie posiadali się z uciechy, fala radości przepelniła jego partię, ludzie wyszli na ulice, aby śpiewać, tańczyć, machać chorągiewkami. On sam został zmuszony, aby przejechać własnym samochodem przez Pola Elizejskie i przez otwarty dach dziękować tłumowi, który go oklaskiwał.

Następnie przywołany przed kamery, aby skomentować ten plebiscyt, starał się zachować poważną minę, nie chcąc, by wypomniano mu tę radość za kilka dni, na pogrzebie Catherine. Ku swojemu zdziwieniu zdał sobie zresztą sprawę

z tego, że nie było mu trudno zachowywać się w sposób godny i powściągliwy, tak bardzo był pochłonięty jej chorobą. W nocy wraz z członkami swojej partii świętował zwycięstwo.

O świcie, sam w swoim elizejskim mieszkaniu, przed lustrem, w którym obserwował siebie nago, bez sympatii ani życzliwości, przez kilka chwil analizował uczucia, jakie go poruszały: nie chciał, aby Catherine umarła, a to zarówno z dobrych, jak i złych pobudek. Z dobrych, ponieważ czuł głęboki smutek, większy niż myślał, widząc swoją żonę wyniszczoną przez chorobę. Ze złych, ponieważ śmierć Catherine oznaczałaby odkrycie prawdy, wyjawienie hańbiących szczegółów zamachu na ulicy Fourmillon; byłaby jak eksplozja, po której fala uderzeniowa może trwać w nieskończoność i zniszczyć jego polityczną przyszłość, oficjalnie tak pomyślną.

Gdy wczesnym popołudniem przyjechał do Domu Rity, dowiedział się, że Catherine właśnie zapadła w śpiączkę. Według rudej pielęgniarki siedzącej u jej wezglowia poprzedniego dnia śledziła relację z wyborów na swoim odbiorniku, potem płakała, a wreszcie zasnęła. Rano straciła świadomość.

Przyszedł lekarz, który potwierdził, że już się nie obudzi; nieuchronne rozwiązanie nastąpi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Henri przyjął te okrutne wiadomości, kiwając mechanicznie głową jak maszyna. Był tak zszokowany, że w rzeczywistości nic nie czuł.

Gdy zrobiło mu się już mdło od wysłuchiwania dyrektorki powtarzającej suchym głosem to samo, co powiedzieli mu już inni, z administracyjną rutyną, bez współczucia, wykorzystał chwilę samotności z Catherine, aby poszukać w pokoju notesu.

Na próżno.

Wściekły, miał jeszcze nadzieję, że wysłany przez generała Reynaud agent specjalny zrobił tu porządek przed nim. Ale jak zdobyć pewność?

Wieczorem w Paryżu zorganizował tajne spotkanie z generałem i dowiedział się, że jego agentowi, który przeniknął do kliniki i od miesiąca siedział w tamtejszej kuchni, też nie udało się dostać w swoje ręce notesu. Zwykle Catherine chowała go pod materacem, ale tego ranka, gdy podano do wiadomości, że jest w śpiączce, mężczyzna go tam nie znalazł.

Henri myślał, że ziemia się pod nim zapadnie.

Następnego dnia wrócił do Domu Rity pod pretekstem, że będzie czuwał przy łóżu Catherine, i w południe zrobił awanturę kierownictwu kliniki: gdzie zginął dziennik, który pisała jego małżonka? Zeszyt miał mu zostać oddany w ciągu godziny! Komando pod wodzą służalczej dyrektorki

przez długie godziny prowadziło poszukiwania, przeryło doszczętnie budynek i szafki personelu, niczego nie znajdując. Prezydent nalegał, by wszystkich przesłuchać; był obecny przy tych rozmowach i stwierdził, że nic z nich nie wynika. Po przesłuchaniu ostatniej pielęgniarki wychodził już z siebie; właśnie wtedy w biurze pojawił się lekarz i powiadomił go o śmierci żony.

Catherine Morel nie żyła.

W tej sekundzie Henri poczuł się tak, jakby znalazł się w lodowatym tunelu, którym następnie szedł przez wiele tygodni: wiedział, że jest zgubiony.

Korzystając z tego, że w Pałacu Elizejskim wszyscy uważali, iż jest „w szoku”, wycofał się z przygotowań do pogrzebu. Rigaud, który w podobnych okolicznościach czuł się bardzo dobrze, zorganizował w katedrze Notre-Dame w Paryżu okazałą ceremonię, transmitowaną na ogromnym ekranie przed katedrą i na ekranach telewizorów w całej Francji.

Trumna, w otoczeniu Gwardii Narodowej, wśród przepychu, jakiego przydawały jej czapki żołnierzy i wigor ich rasowych koni, została przewieziona aż do głównego portalu katedry rydwanem, któremu groziło zarwanie się pod ciężarem białych róż;

następnie młodzi artyści plastycy wnieśli trumnę do nawy. Mszę przeplataną śpiewem chóru, solo wspaniałej śpiewaczki i intermediami symfonicznymi odprawił kardynał Steinmetz, którego wiara była z żelaza, a głos ze spiżu. Wezwany do ołtarza prezydent Morel, w skromnych okularach na nosie, wygłosił mowę, uznaną za jego własną, choć w rzeczywistości napisała ją wybitna nauczycielka humanistka zatrudniona przez Pałac Elizejski, której ten jeden jedyny raz nie wytknięto ani liryzmu, ani sentymentalnych uniesień. Sam poruszony smutkiem autorki, Henri, któremu udzieliło się też wzruszenie panujące pod sklepieniem katedry, czytając ostatnie akapity, nie krył przed tysiącami zapłakanych gości, że walczy ze sobą, aby nie ulec rozpacz. Kiedy ich głuchoniema córka oddała hołd matce w przemowie złożonej ze znaków, grymasów i gestów, choć nikt z tego nic nie zrozumiał, wszyscy byli wzruszeni, tak bardzo była wyrazista; jej wystąpienie – milczącego dziecka, które w milczeniu zwraca się do milczącej trumny – uznano za punkt kulminacyjny pogrzebu. Rozległ się huk oklasków. Henri, nieco zawstydzony, ze spuszczoną głową, pomyślał, że dla Catherine taka pompatyczna uroczystość byłaby nie do zniesienia.

Gdy kilka godzin później ziemia pokryła ciało jego małżonki, Henri zaczął myśleć o problemach,

jakie go czekały: wyjawienie jego manipulacji, utrata honoru, dochodzenie sądowe, unieważnienie wyborów.

Chociaż naprowadził tajne służby na trop dziennika, poszukiwania nic nie dawały. Agenci na próżno przetrząsali rezydencje przyjaciół, nękali antykwariusza Charles'a i głuchoniemą córkę – notes był niedostępny.

Henri Morel nie przyznał się ani Rigaud, ani generałowi Reynaud, że obawia się niszczycielskiej zawartości rękopisu. Ukrył także przed nimi spory z żoną, te miesiące walki, które poprzedzały agonię, a potem jej towarzyszyły. Oni też, jak miliony innych, wierzyli jeszcze we „wzorową miłość”.

Pewnego dnia generał Reynaud poprosił o spotkanie z głową państwa.

Henri opróżnił biuro ze swoich doradców i przyjął go podniecony.

– No więc, generale, ma go pan? Ma go pan w końcu?

– Nie, panie prezydencie, ale go zlokalizowaliśmy: znajduje się w Kanadzie.

– Co tam robi?

– Przygotowuje się do publikacji w pewnym wydawnictwie.

– Co?

– Konsultowałem się z prawnikami: żadnej luki, wszystko jest legalne. Powierzyła tekst

pielęgniarki, która się nią zajmowała; dołączono do niego list podpisany przez świętej pamięci panią prezydentową w obecności notariusza, który objaśnił i prawnie zatwierdził to, co należy robić. Zdaje się, że wydanie książki to realizacja jej ostatniej woli.

- Trzeba temu zapobiec, udać, że to fałszerstwo!

- To niemożliwe. Wszystkie dokumenty zostały przez nią zredagowane własnoręcznie. A personel kliniki tygodniami widział, że pisze.

Henri skrył głowę w dłoniach.

- Zdzira, pomyślała o wszystkim!

Reynaud uznał, że padł ofiarą swojej wyobraźni: godny szacunku prezydent nie mógł powiedzieć tego o swojej uwielbianej małżonce. Stary żołnierz odkaszlnął, zaczerwienił się, poruszył się na swoim fotelu, wstydząc się tego, że źle rozumiał.

- Dziękuję, Reynaud, dziękuję. Niech pan poprosi Rigaud, żeby potwierdził pana analizę. To znaczy, że nie możemy już interweniować...

- Idę natychmiast, panie prezydencie.

Wstał i zasalutował. Przy drzwiach zatrzymał go głos prezydenta:

- Reynaud! Jak się nazywa ta książka?

- *Człowiek, którego kochałam.*

- *Człowiek, którego kochałam?*

- Tak. Piękny tytuł, prawda, panie prezydencie?

Henri potwierdził skinieniem głowy, aby pozbyć się generała.

Co za osioł! *Człowiek, którego kochałam*, piękny tytuł? Nie, to były obciążające zeznania. Równie dobrze można by je zatytułować *Człowiek, którego kochałam i który nie istnieje*, albo *Człowiek, którego niesłusznie kochałam*. Ten tytuł to była ostra krytyka, trucizna, apokalipsa, przedstawiał on Francuzom jasny przekaz: „Człowiek, którego kochaliście, myli się, człowiek, którego uważaliście za godnego, uczciwego i wspaniałomyślnego, jest zwykłym łajdakiem”, tak, to znaczyło po prostu *Człowiek, który was zdradził!*

- Rigaud!

Wrzasnął do telefonu. Kilka sekund później zasapany Rigaud wszedł do jego biura.

- Rigaud, jedź do Kanady, radź sobie jak możesz, ukradnij, kup, zrób kopię, ale przywieź mi jak najszybciej tę książkę! Natychmiast!

Trzydzieści sześć godzin później Rigaud wylądował na lotnisku Roissy, wsiadł na taksówkę motocyklową, aby skrócić sobie przejazd przez Paryż, po czym wtoczył się do gabinetu prezydenckiego.

- Proszę pana, oto egzemplarz *Człowieka, którego kochałam*.

- No i?

- Co?

- Czytałeś.

- Nie miałem prawa, nie dostałem takich instrukcji, nie chciał pan...

- Rigaud, znam cię! Czytałeś! Prawda?

- Tak, panie prezydencie.

- No i? - szczechnął Henri.

Twarz Rigaud stała się purpurowa, jego nos skrzywił się w prawo, w lewo, po czym mężczyzna powiedział, odwracając wzrok:

- To jest cudowne, proszę pana... Poruszające! Najpiękniejsze świadectwo miłości, jakie kiedykolwiek czytałem.

Wyjął z kieszeni dużą, rozłożoną, wilgotną chusteczkę.

- Proszę mi wybaczyć, gdy tylko o tym myślę, od razu płaczę.

Zrobił się szkarłatny i wyszedł z pokoju, wycierając sobie nos.

Henri, zbity z tropu, zaintrygowany, zaniepokojony, chwycił książkę i ją otworzył.

„Każdej chwili, mimo że osiadłam w tym pokoju, aby czekać na swój koniec – cieszę się. Moje serce wypełnia radość, a duszę – wdzięczność: bo go spotkałam. Oczywiście umrę, ale jeżeli żyłam, jeżeli żyłam choć trochę, jeżeli przeżyłam dużo, to dzięki niemu, dzięki Henriemu. I tylko dzięki niemu.

Często drzę na myśl, że mogłam nie wejść do tego paryskiego bistro, gdzie chciałam kupić papierosy, ominąć ten stół z kompozytu, przy którym – już wtedy – ze swoimi przyjaciółmi studentami zmieniał świat. Gdy tylko go zobaczyłam...”

Henri nie mógł się oderwać od tego ciągu zdań aż do ostatniego słowa. Zamykając tom, nie tylko szlochał jak wszyscy, którzy w przyszłości mieli przejść przez tę opowieść, ale był też odmieniony. Odnalazł Catherine, znów ją uwielbiał.

Umierająca Catherine skomponowała pieśń o miłości absolutnej, niesłychanej, sławiącą niepowtarzalnego człowieka, tego, który ją oczarował, zachwycił, wciąż zaskakiwał, człowieka odważnego, inteligentnego i zdecydowanego, którego podziwiała.

Nasze życie stworzone jest tak, że pod spojrzeniem, którym je ogarniamy, staje się straszne lub cudowne. Identyczne wydarzenia mogą zostać odczytane jako sukcesy lub katastrofy. Jeżeli w czasie ich kryzysu Catherine widziała historię ich małżeństwa jako historię kłamstwa, podczas ostatnich miesięcy, jakie spędziła na ziemi, całkowicie zmieniła punkt widzenia i dojrzała w niej wielką miłość.

Tak samo jest z niektórymi losami i świętymi księgami – to lektura nadaje im sens. Zamknięta

książka jest niema; przemówi tylko wtedy, gdy zostanie otwarta. A użyty w niej język będzie językiem tego, kto się nad nią pochyła, zabarwionym jego oczekiwaniami, pragnieniami, dążeniami, obsesjami, jego gwałtownością, jego kłopotami. Fakty są jak zdania w książce, same w sobie nie mają sensu, mają tylko ten sens, który im się nadaje. Catherine była szczerą, kochając Henriego, i szczerą, nienawidząc go; w każdym z tych przypadków widziała przeszłość przez pryzmat tego, co właśnie czuła. U progu śmierci znów zawładnęła nią miłość; więc tajemna złota nić, którą szyte były zdarzenia z ich życia i która stała się osnową książki, była nicią miłości.

Miesiąc po triumfalnej publikacji książki zaufana pielęgniarka Catherine została przyjęta przez prezydenta na spotkaniu w cztery oczy w Pałacu Elizejskim. Chociaż okazał się bardzo życzliwy, a może właśnie dlatego, że okazał się tak życzliwy, prosiła go o wybaczenie: jeżeli swego czasu w Domu Rity go oszukała, nie oddając mu zeszytu, którego żądał, to dlatego, że była posłuszna życzeniu pani Morel.

- Gdyby pan wiedział, jak ona pana ubóstwiała! Czekala na pana od rana do wieczora. Żyła tylko dla pana. Wiedząc, że jej koniec jest bliski,

postawiła sobie dwa cele: napisać tę książkę i nie przeszkadzać panu w wygraniu kampanii wyborczej. To dla pana walczyła. Oglądając pana sukces w telewizji, w niedzielę, płakała i mówiła: „Wygrał, to dobrze, teraz mogę odejść”. Kilka godzin później zapadła w śpiączkę. Tylko nadludzka miłość pozwoliła jej tak długo wytrzymać.

Druga kadencja Henriego Morela, jeżeli nawet znawcy polityki się o nią spierali – jak zresztą mogłoby być inaczej? – była dla wszystkich, nawet jego najbardziej nieustępliwych przeciwników, okazją do podziwiania go.

Nie tylko nikt już nie słyszał o żadnych jego kochankach, ale on sam zaczął wyznawać coś w rodzaju kultu swojej zmarłej żony, który wydawał się tym bardziej szczery, że dyskretny. Portrety Catherine, w postaci zdjęć, obrazów, opanowały prywatną przestrzeń prezydenta, nawet jego łazienkę. Wykorzystując swoje własne kapitały, z pomocą kilku mecenasów stworzył Fundację Catherine Morel, poświęconą sztuce współczesnej, którą pasjonowała się zmarła, aby zamówieniami, podróżami i dotacjami wesprzeć młodych artystów. Można też było odnieść wrażenie, że prezydent nadrabia stracony czas i czyta książki, które kiedyś polecała mu żona. Każdego wieczoru zamykał się samotnie

w ich dawnym salonie, włączał muzykę, za którą przepadała, rozpylał zapach, który kiedyś wybrała, i zatapiał się w lekturze. Pomiedzy stronami, pokonując jej śmierć, łączył się z nią i próbował dalej prowadzić – albo nawiązać? – rozmowę z nią.

To bezwzględne oddanie wzruszało wszystkich, przekraczało granice.

Czy istnieje uczucie, które nie łączyłoby się nierozzerwalnie ze swoim przeciwieństwem, jak tkanina i jej podszywka? Jaka miłość jest wolna od nienawiści? Ręka, która głaszcze, za chwilę schwyci sztylet. Jaka, choćby największa, namiętność nie zna szaleństwa? Czyż nie jesteśmy zdolni do morderstwa pod wpływem impulsu, który nas łączy, tego samego, który daje życie? Nasze uczucia nie są zmienne, lecz dwuznaczne, czarne lub białe w zależności od wydarzeń, rozpięte między przeciwieństwami, falujące, plastyczne, prowadzące zarówno do najgorszego, jak i do najlepszego.

Miłość zagubiła się w korytarzach czasu. On i Catherine najpierw się kochali, potem minęli, doceniając następnie siebie nawzajem w sporze; jedno rozpałało się, gdy drugie nienawidziło, aż śmierć położyła kres tej rzeczywistości razem z jej niedostatkami. Wspomnienie pozwoliło naprawić błędy, wykreślić nieporozumienia, wszystko odbudować. Od tej chwili Henri też wierzył, że miłość zwyciężyła. Szczerze.

Kiedy, rezygnując z trzeciej kadencji, prezydent Morel przeszedł na emeryturę, zagłębił się w swojej przeszłości. Samotny, pogodny, uśmiechnięty, wielki człowiek poświęcił pozostałe mu lata na spisanie pamiętników. Po raz pierwszy zwierzenia głowy państwa, choć przedstawiały oczywiście jego ambicje i dokonania polityczne, nosiły prosty tytuł, w hołdzie dla tej, której mu brakowało i którą uwielbiał ponad wszystko, *Wzorowa miłość*.

Nabrałem zwyczaju, aby do drugich wydań moich książek dołączać dziennik pisarza, który powstawał równocześnie z tymi książkami; po czym odkryłem, że czytelnicy cenią jego treść. Po raz pierwszy załączam więc zapiski z dziennika do pierwszego wydania. Są to fragmenty mojego dziennika dotyczące powstającej książki.

Wczoraj rano zakiełkowała w mojej głowie pewna myśl, tak urzekająca, tak nieodparta i tak natrętna, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, kompletnie się nie krępując, mieszkała już u mnie, zmieniła moje plany, nastrój, sprawy, nad którymi się zastanawiałem, i zawładnęła moją przeszłością. Uważa mnie za posłusznego partnera. A najgorsze jest to, że przyjechała z rodziną.

Gdy tylko otworzyłem przed nią drzwi, byłem skazany, nie miałem wyboru: musiałem pisać.

Jaka to myśl? Pewien mężczyzna w młodości zlekceważył to, że inny mężczyzna znalazł się w niebezpieczeństwie, i nie uratował go. W wyniku tego czynu zbrodniarz dostrzega swoją potworność, czuje do siebie żal i radykalnie się zmienia. Staje się wspaniałomyślnym altruistą. Dwadzieścia lat później odnajduje go jego ofiara. Ale drugi mężczyzna też przeszedł metamorfozę: jego cierpienie sprawiło, że jest teraz zawzięty, rozgoryczony, okrutny... Droga, jaką przeszli obaj mężczyźni, doprowadziła do zamiany miejsc: ofiara jest katem,

a zabójca zachowuje się jak dobry człowiek. Odkupienie wobec potępienia... Co się wydarzy?

Gdy tylko zapisałem tę myśl, niespodziewanie zjawily się jej siostry. Temat przemiany różnych osób w następstwie ich wyborów lub traum przyniósł mi inne historie.

Dziś mam ich już osiem albo dziewięć. Z radości nie czuję zmęczenia.

Więc mam pewność: oto książka, która domaga się wydania na świat.

*

Odwrotnie do tego, co się zwykle uważa, zbiór opowiadań jest samodzielną książką, ma własny temat i formę. O ile moje opowiadania są do pewnego stopnia autonomiczne, dzięki czemu można czytać je oddzielnie, o tyle są one częściami całościowego projektu, który ma swój początek, środek i koniec.

Wizja książki poprzedza opowiadania, ona przywołuje i tworzy opowiadania w mojej wyobraźni.

W ten sposób powstały *Odetta i inne historie miłosne* i *Marzycielka z Ostendy*.

Nie układam bukietu, zbierając rozproszone kwiaty, tylko szukam kwiatów w zależności od bukietu.

*

Czasem zdarza mi się pisać opowiadania związane z jakimś wydarzeniem, z jakąś rocznicą, z jakiegoś powodu. Pozostają na luźnych kartkach. Jeżeli pewnego dnia je zbiorę, nazwę je *Opowiadania zebrane*, aby odróżnić tę książkę od zbiorów opowiadań stworzonych jako spójne dzieło. Będą one zawarte w jednym tomie, lecz nie będą tworzyły jednego tomu.

*

Trucicielka...

Jak zwykle postać, której użyczam głosu, zawładnęła mną. Oto zostałem przemieniony w starą kobietę (do tego jestem przyzwyczajony), seryjnego mordercę z prowincji (a do tego już mniej...). Jak autorom kryminałów udaje się żyć normalnie? Boję się o swoich bliskich... Od kilku dni jestem równie zdeprawowany co moja bohaterka, nie okazuję nikomu żadnej życzliwości, zabijam ludzi swoimi uwagami i się z tego cieszę. W kuchni zamiast octu czy oleju widzę fiołki trucizny, gdy doprawiam sosy, nawiedzają mnie straszne myśli. Wczoraj wieczorem byłem wręcz zawiedziony tym, że do potrawki z grzybów nie dodałem nic niebezpiecznego.

Nawet wtedy, gdy nie piszę, nie mogę uwolnić się od tej postaci. Nawiedza mnie i czasem mówi za mnie. Przemiana w starą kobietę odciska się nie

tylko na moim ciele – to nie jest groźne – ale i na duszy. Uruchamia we mnie to wszystko, co jest do niej podobne. Jeżeli moja postać jest zła, pogłębia moją złośliwość.

Drżałem ze strachu już przy pisaniu *Przypadku Adolfa H.*, książki o Hitlerze...

Dziś w nocy czułem takie wzburzenie, że zacząłem się zastanawiać nad tym, czy przypadkiem nie zacząć biografii świętego Franciszka z Asyżu, aby się uleczyć...

Albo Casanovy?

*

Te historie toczą się kolejnami życia, wywołując pytanie, czy to ścieżki wolności, czy drogi determinizmu.

Czy jesteśmy wolni?

To pytanie ma się lepiej niż istniejące odpowiedzi na nie i przeżyje je wszystkie. Bo twierdzenie, że cokolwiek jest pewne, wydaje mi się nieuczciwe, albo zbyt zuchwale, albo głupie.

Czujemy się wolni, gdy zastanawiamy się nad czymś, wahamy się, wybieramy. Ale czy to uczucie nie jest iluzją? Czy powzięta decyzja tak czy inaczej nie zostałaby powzięta? Jeżeli nasz mózg przyjmuje jakieś rozwiązanie, to czyż nie jest tak uwarunkowany, aby je właśnie przyjąć? A gdyby

to była rozstrzygająca konieczność, która przybiera pozory wolnej woli...

Filozofowie, idąc śladami Kartezjusza, czyli twierdząc, że wolność istnieje, albo Spinozy – wolność nie istnieje, toczą ze sobą walkę, jednak z tej walki nie wylania się wygrany. Dlaczego? Bo jest to walka na argumenty, a nie na dowody. Teoria przeciw teorii. Efekt: problem pozostaje nierozstrzygnięty.

Przyznam, że bardziej poruszają mnie zwolennicy wolności, jak Kant albo Sartre, bo zdarzało mi się w życiu poczuć, że jej doświadczam. Poza tym z przyczyn moralnych mam potrzebę wierzyć w wolność: ani etyka, ani sprawiedliwość nie mają uzasadnienia, jeżeli człowiek nie jest wolny, nie decyduje o swoich czynach, więc nie jest odpowiedzialny; podobnie z karą i zasługą. Czy potępiamy kamień z tego powodu, że upadł? Czy go karzemy? Nie.

Jednak potrzebować wolności z przyczyn moralnych to nie to samo, co wiedzieć, że ona istnieje. Domaganie się wolności nie równa się udowodnieniu, że jest.

Więc pytanie nie znika.

To właśnie zasadnicza cecha kondycji ludzkiej: żyć pośród większej ilości pytań niż odpowiedzi.

*

W tym roku, w październiku, byłem na *tour-née* po Stanach Zjednoczonych i anglojęzycznej części Kanady, gdzie promowałem angielskie tłumaczenie mojego pierwszego zbioru opowiadań, *Odette i inne historie miłosne*. Za sprawą magii przekładu stał się on *The Most Beautiful Book in the World* (Najpiękniejszą książką świata, za ostatnim opowiadaniem) – czyż to nie najskromniejszy tytuł na świecie?

Spotkał się z pięknym przyjęciem. No proszę! To znaczy, że Francja ma w tej chwili dobrą prasę, bo odbiór tych niezwykle rzadkich książek francuskich, które się tutaj publikuje, odzwierciedla stan stosunków międzynarodowych. Bawi mnie, gdy się dowiaduję, że nie tylko u Francuzów anegdota przeplata się z filozofią po to, aby o poważnych sprawach mówić z lekkością, ale i głębią. Dzisiaj się temu przyklaskuje. Bywało, że mi to wypominano...

Zachwycają mnie reakcje słuchaczy i czytelników podczas tych literackich imprez, gdy zmuszam się do czytania przed publicznością amerykańskiego tłumaczenia. Po spotkaniu rzucają się do najbliższej księgarni, w której czasem nie ma już ani jednego egzemplarza, i mówią, że fascynuje ich moje wycucie szczegółu. A tych szczegółów jest przecież w moich książkach tak mało... Ale to poprzez takie elementy opowiadam całość. Stara

tradycja francuska, która nazywa miecz „klingą”, a statek „żaglem”. To się nazywa synekdocha – mówienie o części zamiast o całości – i obok zastosowania jej jako elementu stylistycznego rozciągamy ją na dramaturgię, na proces narracyjny.

Rzeczywiście, fakt, że Anglosasi zarazili się synekdochą, jest zaskakujący, gdyż w Ameryce pisze się książki grube, z założenia grube, przeładowane szczegółami i opisami, powstające w efekcie gigantycznej pracy badawczej i dokumentacyjnej, książki, z których informacje wylewają się przez setki stron.

Uważam, że sztuka pisania, tak jak sztuka graficzna, polega na dokonywaniu wyborów: dobrze wykadrować, określić najciekawszy do opowiedzenia moment, powiedzieć dużo, używając niewiele słów.

Ciągle Ameryka... Doświadczam autentycznej przyjemności, odkrywając książki i pisarzy, których nie znałem; spędzam z nimi całe wieczory przy kieliszku wina, zmieniając świat i wymyślając na nowo literaturę, jakbyśmy mieli po dwadzieścia lat... Ich pełna pokory uprzejmość i szacunek dla innych wzruszają mnie, inspirują.

Dzisiaj po południu kilku pisarzy czytało po kolei swoje teksty w wypchanym po brzegi

audytorium. Teksty były dobre, wszystkie czytali ich autorzy, Amerykanie lub Kanadyjczycy, a jednak miałem wrażenie, że to nieudolna kuchnia, że żywi, ale nie syci.

Niewątpliwie żaden z tych fragmentów, liczących do kilku stron, sam w sobie nie był wystarczający, bo odsyłał do całości książki.

Łatwo więc mi było wejść na podium z kompletnym opowiadaniem i czytając je, zadowolić publiczność.

W Amerykanach cudowne jest to, że grają *fair*. Moi koledzy pisarze, dalecy od zazdrości o sukces, gorąco mi gratulowali.

I tym razem też pomyślałem, że muszę się jeszcze wiele nauczyć...

*

W Toronto gawędzę z pewnym krytykiem literackim. Wokół nas stosy książek, wszelkich możliwych książek, tanich powieści, wypromowanych w ramach szalonego marketingu, prawdziwej literatury, książek napisanych przez gwiazdy sportu lub telewizji, które są sławne nie dlatego, że piszą, ale piszą, bo są sławne, i tak dalej. Opanowuje mnie coś w rodzaju mdłości, których nie ukrywam przed moim rozmówcą.

– Jak się panu udaje wyselekcjonować, wybrać coś z tych książek? – pytam go.

- Liczę trupy.
- Słucham?
- Liczę trupy. Jeżeli są więcej niż dwa, to książka bez wartości. Jeden lub dwa, to literatura. Jeżeli nie ma w ogóle – to książka dla dzieci.

*

Powrót.

Piszę go z dala od domu, jak marynarz z mojego opowiadania. Podróżuję między hotelowymi pokojami i dręczy mnie nostalgia za bliskimi. Niecierpliwie czekając na spotkanie z nimi, piszę ten tekst dla nich, aby gdy wrócę, wiedzieli, jak mi ich brakowało, jak bardzo ich kocham, a przede wszystkim jak bardzo bym chciał kochać ich lepiej.

Praca pochłania godziny, zdania, których długość nigdy nie jest taka sama, stają się miarami czasu.

Gdybym mógł pracować nad swoim życiem jak nad opowiadaniem, być może stałbym się naprawdę cudownym człowiekiem...

*

Zawsze wątpiłem w to, czy Vancouver naprawdę istnieje.

To miasto, położone na zachód od Zachodu, z drugiej strony Ameryki, która sama znajduje się

z drugiej strony oceanu, było dla mnie miejscem abstrakcyjnym, spekulatywnym, jak nieskończoność w matematyce. Vancouver wydawał mi się horyzontem, który – jak każdy horyzont – oddala się, w miarę jak się do niego zbliżamy; daleki Zachód, Zachód mityczny.

Daleki Zachód jeszcze dalszy niż Wschód, bo to marzenia i determinacja skłoniły ludzi, aby zapuszczać się tak daleko. Z trudem więc mogłem sobie wyobrazić, że są tam prawdziwe ulice, prawdziwi mieszkańcy, sklepy, teatry, lokalne gazety.

Oto stoję na półwyspie Grandville, centrum kultury alternatywnej, naprzeciw szklanych budynków, po których szybko płyną chmury.

Od razu polubiłem to miejsce. Polubiłem też czytelników, chodzące książki o bardzo różnych twarzach, bo wszyscy są tu wcieleniem jakiejś opowieści, historii ich przybycia tutaj, historii swojej fizyczności – indiańskiej, azjatyckiej, skandynawskiej, niemieckiej, angielskiej, historii ich zrekonstruowanego życia.

Vancouver podoba mi się tak bardzo, że pozwalalam mu się wprosić do mojego opowiadania. Będzie ojczyzną *Powrotu*.

*

Po powrocie do Europy wyglądam dwa pierwsze teksty.

Ponieważ jakiś czas temu widziałem, jak ktoś skrzywił się na wzmiankę o opowiadaniach, jakby te krótkie formy świadczyły o lenistwie lub zmęczeniu autora, zadałem sobie pytanie, dlaczego mamy we Francji tak niewielki szacunek dla tej sztuki, mimo Maupassanta, Daudeta, Flauberta, Colette czy Marcela Aymé.

Czy to, że ciągle wolimy powieść od opowiadania, nie świadczy o postawie drobnomieszczańskiej? Takiej, na mocy której pan i pani Fromage kupują do salonu raczej obraz olejny niż grafikę? „Grafika jest mniejsza, nie widać jej z daleka i nigdy nie wiadomo, czy jest dokończona”.

Zastanawiam się, czy w ten sposób nie wyraża się zły smak obfitości. Chcemy pisarstwa olejnego, wielu grubych warstw, rozdziałów z opisami, dialogów, które mają gęstość codziennej paplaniny; jeżeli powieść jest usytuowana w przeszłości, wymagamy od niej wiedzy historycznej, a jeżeli dzieje się współcześnie – potwierdzonych dowodami analiz dziennikarskich. Krótko mówiąc, lubimy znój, pot, udokumentowane umiejętności, pracę, którą widać: chcemy pokazać egzemplarz przyjaciółom, dowieść im, że nie daliśmy się oskubać artyście ani sprzedawcy.

„Otwierając ośmiusetstronicową powieść – wykrzykuje pan Fromage – mamy pewność, że autor się napracował”.

No właśnie – niekoniecznie.

Wyłuskanie z opowiadania tego, co w nim niezbędne, unikanie niepotrzebnych perypetii, sprowadzenie opisu do sugestii, odłuszczenie tekstu, pozbycie się wszelkich autorskich upodobań – to wymaga czasu, to wymaga godzin analizy i krytyki.

W gruncie rzeczy, jeżeli pan i pani Fromage oceniają powieść jako „większą sztukę niż opowiadanie”, to dlatego, że jest to sztuka pompierska.

*

Przebiegam wzrokiem poprzedni akapit i zdaję sobie sprawę z tego, że wpadłem w pułapkę polemiki: myślenie binarne.

Oto właśnie myślę tak jak ci, którym zarzucam, że źle myślą: dzielę na dwa, przeciwstawiam jedno drugiemu, oceniam jedno względem drugiego. To głupie! Myśleć to akceptować złożoność, a w polemice nie ma myślenia, ponieważ redukuje to, co złożone, do dwóch przeciwstawnych elementów.

Podsumowując, lubię powieść w takim samym stopniu jak opowiadanie, ale każdą z innych powodów.

*

We Włoszech dostałem nagrodę za *Marzycielkę z Ostendy*, mój drugi zbiór opowiadań. Mam wrażenie, że tutejsi krytycy doskonale zrozumieli, co próbuję robić, bo znają na pamięć *Wykłady amerykańskie* Italo Calvino, jedną z moich ulubionych książek. Nie szokuje ich to, że intelektualista dąży do lekkości, prostoty; wprost przeciwnie, są pełni uznania, bo wiedzą, jakie to trudne. Dzięki łacińskiej finezji potrafią odróżnić prostotę od uproszczenia.

Uproszczenie: ignorancja wobec tego, co złożone.

Prostota: rozwiązanie trudności.

*

W Weronie poznałem pewną ładną historię.

W pierwszej połowie XX wieku pewien ogrodnik zajmował się utrzymaniem cmentarza, na którym znajdował się grobowiec Julii. Turyści przyjeżdżali oglądać jej grób, zakochani przychodzili tam się całować, a nieszczęśliwi – płakać. Wzruszony scenami, których świadkiem był codziennie, ogrodnik postanowił hodować ptaki, które na jego polecenie będą siadywały na ramionach strapionych, po czym ukradkowo dawały im dzióbkiem całusa. Przyjezdnym się to podobało, intrygowało ich i stopniowo na cmentarz

zaczęły przychodzić listy z całego świata, których nadawcy prosili Julię o miłosne porady.

Ogrodnik nabrał zwyczaju własnoręcznie odpowiadać na te listy, podpisując je „Julia”.

Gdy umarł, w latach pięćdziesiątych, na cmentarz nadal napływały koperty, na których jako adres widniało jedynie: „Julia, Werona, Włochy”. Niektórzy mieszkańcy Werony postanowili utrzymać zwyczaj ogrodnika i stworzyli Klub Julii, grupę siedmiu kobiet, które odpowiadają na listy ludziom nieszczęśliwym lub opuszczonym, powierzającym im swoje problemy.

Wczoraj spotkałem się z tymi siedmioma współczesnymi Juliami; to intelektualistki, psycholożki, socjolożki, adwokatkę, które korespondują na przykład ze skazanymi na śmierć więźniami z Teksasu albo z latarnikiem z Chin...

Niezwykła Werona – wzniesiona przez Włochów, a rozśławiona przez Anglika, Shakespeare’a...

*

Jak zwykle – przestałem normalnie żyć. Pisanie mną zawiadnęło i na razie kazało zawiesić na kołku wszystko, co go nie dotyczy. Żyję jakby w nawiasie, jestem w zasadzie tylko skrybą, ręką na usługach naglącej potrzeby: postaci, które chcą żyć, historii, która pragnie przekształcić się w słowa.

W czasie grudniowych świąt jestem jak duch. Moja obsesja odpuszcza mi na kilka godzin, w czasie których wymieniam szczerze życzenia z rodzicami, siostrą, jej mężem, siostrzeńcami, po czym, gdy tylko wychodzę z pokoju, gdzie byłem z nimi, moja książka znów mnie pochłania.

Czasem wydaje mi się, że pisarstwo nie lubi mojej rodziny, przyjaciół. Niczym bezkompromisowa kochanka izoluje mnie od nich, odrywa.

To bez wątplenia dlatego zapraszam ich, moich bliskich, aby uczestniczyli w procesie pisania. Myślę o nich, o tym, jak będą mnie w przyszłości czytać, staram się ich zaskoczyć, rozbawić, robię zakłady co do tego, co każdemu z nich będzie się na danej stronie podobało lub nie. Uczestniczą w moim pisaniu jako potencjalni czytelnicy pisanego tekstu.

Ale gdy tylko stoję z nimi twarzą w twarz, nie ma mnie. Udaję, że jestem sobą, i staram się pamiętać, że oni to oni.

*

Opowiadanie jest szkicem powieści, powieścią, z której wykreślono wszystko, co zbędne.

Ten wymagający gatunek nie wybacza zdrady.

O ile powieść można traktować trochę jako gra-ciarnię, o tyle nie jest to możliwe w wypadku opowiadania. Trzeba dokładnie odmierzyć przestrzeń

przeznaczoną na opis, na dialogi, na rozwój wydarzeń. Najmniejszy błąd w budowie utworu jest od razu widoczny. Upodobania też.

Czasem myślę, że opowiadania mnie rozwijają, bo jestem przede wszystkim człowiekiem teatru.

Od czasów Czechowa, Pirandella i Tennessee Williamsa wiadomo, że dramaturdzy lubią opowiadania. Dlaczego? Autor ma wtedy wrażenie, że prowadzi czytelnika: ujmuje go za rękę przy pierwszym zdaniu, aby doprowadzić go do ostatniego, bez przerwy, bez międzylądowania, tak jak ma to w zwyczaju robić w teatrze.

Dramaturdzy lubią opowiadanie, bo wydaje im się, że odbiera ono czytelnikowi wolność, że przekształca go w widza, który nie może wyjść w trakcie przedstawienia, chyba że chce definitywnie opuścić fotel. Opowiadanie daje pisarzowi taką właśnie władzę, władzę nad czasem, moc tworzenia napięcia, oczekiwań, niespodzianek, moc ciągnięcia za sznurki emocji i inteligencji, a potem, nieoczekiwanie, spuszczenia na wszystko kurtyny.

W rzeczywistości zwięzłość stawia opowiadanie w tym samym rzędzie, w którym stoją muzyka lub teatr: jest to sztuka czasu. O czasie czytania – tak jak słuchania czy oglądania – decyduje twórca.

Zwięzłość powoduje, że lektura trzyma czytelnika w napięciu.

*

Jestem czuły na coś, o czym niewiele się mówi: odpowiednią długość książki.

Jako czytelnik uważam, że większość książek, które wpadają mi w ręce, nie ma odpowiedniej długości: jedna liczy trzysta stron, chociaż jej temat wymagałby co najwyżej stu, a druga tylko sto dwadzieścia, mimo że powinna mieć pięćset. Dlaczego krytycy literaccy wciąż nie zwracają uwagi na to kryterium? Na ogół ograniczają się do wytykania dłużyzn, ale i to tylko wtedy gdy są one bardzo rażące.

Jest to tym bardziej zaskakujące, że w wypadku innych sztuk zwraca się uwagę na adekwatność treści i formy. Wszyscy by się dziwili, gdyby artysta wyrzeźbił monumentalną scenę w małym kamieniu lub wyrył dmuchawca w granicie wysokim na sześć metrów; w malarstwie oceniamy stosunek między kadrem, jego rozmiarem, a tematem; w muzyce twierdzi się czasem, że taki czy inny materiał muzyczny jest niewystarczający w odniesieniu do czasu trwania danego utworu. W literaturze – nigdy.

Noszę w sobie przekonanie, że każda historia ma swój ciężar gatunkowy, który wymaga odpowiedniego formatu pisarskiego.

Wiele powieści przypomina wyrób czekoladopodobny, w którym brak czekolady, inaczej mówiąc, więcej wypełniania dziur niż czyste

treści. Często tekst jest rozciągnięty, wyczerpujące opisy przypominają raczej protokół komornika, dialogi są przeniesione prosto z życia i psują styl, teorie znoszą się nawzajem w sposób dowolny, wydarzenia mnożą się niczym komórki rakowe.

Gdy w nowojorskim wydawnictwie był publikowany *Pan Ibrahim i kwiaty Koranu*, jeden z redaktorów zapytał mnie, czy nie mógłbym jeszcze raz napisać tego osiemdziesięciostronicowego opowiadania tak, aby miało minimum trzysta pięćdziesiąt stron – chodziło mu o rozwinięcie wątku dotyczącego pani Ibrahim, rodziców Momo, dziadków, kolegów ze szkoły...

*

Koncert Pamięci anioła.

Piszę go do muzyki Albana Berga, który rzucał na mnie urok i wywołuje u mnie odczucia, o jakich nigdy nie słyszałem, zupełnie nowe myśli.

A więc nigdy nie zwróciłem uwagi na to, jak bardzo, z upływem lat, stajemy się wolni. W wieku dwudziestu lat jesteśmy tym, co uczyniło z nas wykształcenie, ale już około czterdziestu – tym, co powstało w wyniku własnych wyborów, jeżeli takich dokonaliśmy.

Młody człowiek staje się takim dorosłym, jakiego chciało jego dzieciństwo. Zaś człowiek dojrzały jest dzieckiem młodego człowieka.

*

Czy można się zmienić? A przede wszystkim czy człowiek zmienia się z własnej woli?

● Ciągle, pisząc te historie, konfrontuję się z problemem wolności...

Dla zwolenników determinizmu jest jasne, że człowiek się nie zmienia, ponieważ nie ma żadnej autonomii, żadnej wolnej woli. Wola to tylko nazwa, jaką nadaje się ostatniemu zauważonemu uzależnieniu; w rzeczywistości to złudzenie. Jeżeli człowiek staje się inny, to pod wpływem nowych, zmuszających go do tego sił – społecznej tresury – lub jakiegoś traumatycznego przeżycia. Poza przypadkiem wewnętrznego zużycia maszyny zmiany przychodzą z zewnątrz...

Dla tych, którzy wierzą w wolność, sprawa staje się złożona. Czy wola jest na tyle silna, aby odmienić usposobienie?

Tak – dla niektórych, tych ambitnych, nazywanych przeze mnie „zwolennikami świętości”. Żydzi, buddyści czy chrześcijanie, a nawet ateści jak Sartre, którego bohater, Goetz z *Diabła i Pana Boga*, przechodzi radykalną przemianę,

z człowieka złego staje się dobrym – wierzą w całkowitą moc metamorfozy człowieka.

Nie – dla innych, w tym dla mnie, ostrożnych, nazywanych tu „naprawiaczami”. Człowiek się nie zmienia – ale może się poprawić. Wykorzystuje swój temperament w nowy sposób, nagina go tak, aby służył innym wartościom. Tak właśnie dzieje się z Chrisem, bohaterem *Koncertu Pamięci* anioła, który wyrósł w kulcie współzawodnictwa, w marzeniu o doskonałości, pod wpływem nieszczęśliwej, sfrustrowanej matki. Gdy już prawie dokonał zabójstwa, jest wstrząśnięty i choć zachowuje swój charakter – energiczny, wojowniczy, ceniący sukces nade wszystko – zaprzęga go w służbę dobru. Pozostaje taki, jaki był, ale efekty jego działania są inne, bo duszę indywidualisty wymienił na duszę altruisty.

*

Siła woli.

Bez niej wszyscy ulegalibyśmy impulsom przemocy. Kto, ogarnięty nagle gniewem, strachem, wściekłością, nie pragnął, przez ułamek sekundy, uderzyć, a nawet zabić drugiego człowieka?

Czasem myślę, że wszyscy jesteśmy mordercami. Większość ludzkości, ta, która panuje nad

sobą, jest złożona z morderców wyobrażonych;
mniejszość – z morderców realnych.

*

Marguerite Yourcenar mówiła: człowiek się nie zmienia, człowiek staje się głębszy. Podobnie André Gide radził, aby iść swoją drogą, choćby nawet była stroma, choćby pod górę.

Gdy wola spotyka inteligencję, człowiek staje się znośnym zwierzęciem.

*

Bruno i Yann odkryli *Koncert Pamięci anioła*. Podchodzą do mnie wzruszeni, mówiąc mi, że napisałem piękną historię miłosną.

Zdziwienie. Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

*

Elizejska miłość.

Pisząc tę baśń o miłości, której bohaterowie się rozmijają, czuję się prawie jak w teatrze. Henri i Catherine to silne osobowości, od pierwszej chwili spektakularne. Są mistrzami pozorów, noszą wiele masek, widać w nich bogactwo ludzi, którzy się kontrolują, i cierpienie tych, którzy milczą.

Równocześnie miejsce akcji w tej historii to ryzyko różnych pułapek: Pałac Elizejski musi pozostać tłem, a władza – ramą uzasadniającą to, że postacie, które go zamieszkują, boją się opinii publicznej.

Aby znaleźć odpowiedni punkt widzenia, musiałem wiele razy pisać początek; w końcu udało mi się napisać właściwy, bardzo prosty, sprawiający, że czujemy sympatię dla osamotnionej kobiety, która czuje się porzucona.

Jeżeli to opowiadanie, *Elizejska miłość*, zamyka książkę, to dlatego że dostarcza do niej klucz: ludzie, tak jak Henri i Catherine, gubią się w korytarzach czasu, prawie nigdy nie przeżywają podobnych uczuć jednocześnie, cierpią przez bolesne rozdźwięki.

Podobnie mijają się trucicielka i jej proboszcz...

Tak samo Greg, marynarz, zapomina o tym, by być ojcem, gdy jego córki są jeszcze dziećmi.

I wreszcie ten mechanizm dotyka też Chrisa i Axla: zbyt się różnią, aby się wzajemnie cenić; a gdy się zmieniają, właściwie to samo, tylko w lustrzanym odbiciu, prowadzi do ich oddalenia...

Jeżeli nawet pewnego dnia będziemy mogli zrozumieć, dzięki wyjaśnieniom, co nam się nie udało, one już tego nie naprawią.

Odkupienie, którego dokonujemy dzięki uświadomieniu sobie różnych rzeczy, zwykle przychodzi za późno. Zło się dokonało... Poprawa nie wymaże nic z tego, co już się stało. Córki Grega, okrętowego mechanika, zawsze będą cierpieć z tego powodu, że nie były kochane i że za mało poświęcono im uwagi...

Mógłbym nazwać tę książkę *Rozdźwięki miłosne*.

*

Rita, święta od przypadków beznadziejnych, od spraw niemożliwych, połyskuje w tych historiach jak brylant. Czasem błyszczy ironią, czasem cynizmem, niekiedy wyzwała jakieś działanie albo niesie nadzieję. Jej nadejścia są dwuznaczne, jak dobro: to, co wydaje się dla kogoś dobre, powoduje nieszczęście innego, to, co zgubi Pawła, uratuje Piotra.

Święta Rita to motyw, który sam w sobie nic nie mówi, ale można poprzez niego wyrazić siebie.

Nie ma ona być wytłumaczeniem wszystkiego, pochodzącym ode mnie, pisarza, ale raczej szpilczką, bodźcem, tajemniczym jądrem, które ma zmusić czytelnika do namysłu.

Dziś rano otrzymałem listy od niemieckich gimnazjalistów, którzy czytali *Pana Ibrahima i kwiaty Koranu*. Pośród komplementów znalazł

się jednak wyrzut jednego z nich: „Dlaczego nie wyjaśnił pan, z jakiego powodu pan Ibrahim powtarza »Wiem, co jest w Koranie«?»

Odpowiedziałem mu jednym zdaniem:

„Bo chciałem, żebyście sami znaleźli powód...”.

*

Gdy książka jest ukończona, zaczyna się jej życie.

Poczawszy od dzisiejszego wieczoru, nie jestem już jej autorem. Jej autorami będą od tej chwili czytelnicy...

Wolter mówił, że najlepsze książki to te, które w połowie zostały napisane przez wyobraźnię czytelnika.

Podpisuję się pod jego myślą, ale w głębi duszy mam zawsze chęć dodać: pod warunkiem że czytelnik ma talent...

*

Sprecyzujmy: to, że czytelnik może mieć większy talent ode mnie, w ogóle mi nie przeszkadza. Wprost przeciwnie...

Spis treści

Trucicielka	5
Powrót	59
Koncert <i>Pamięci anioła</i>	87
Elizejska miłość	155
[Pamiętnik autora]	221